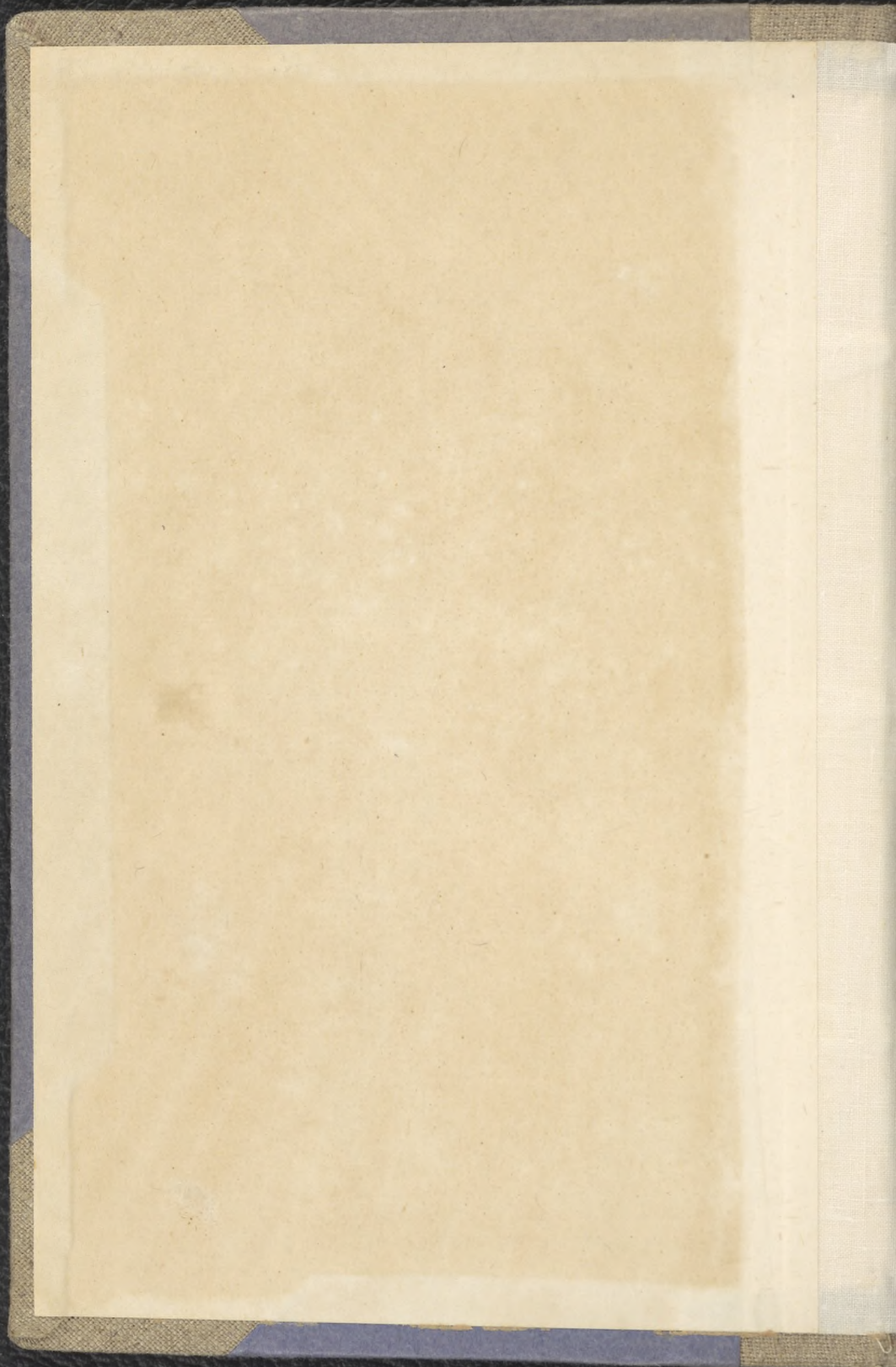
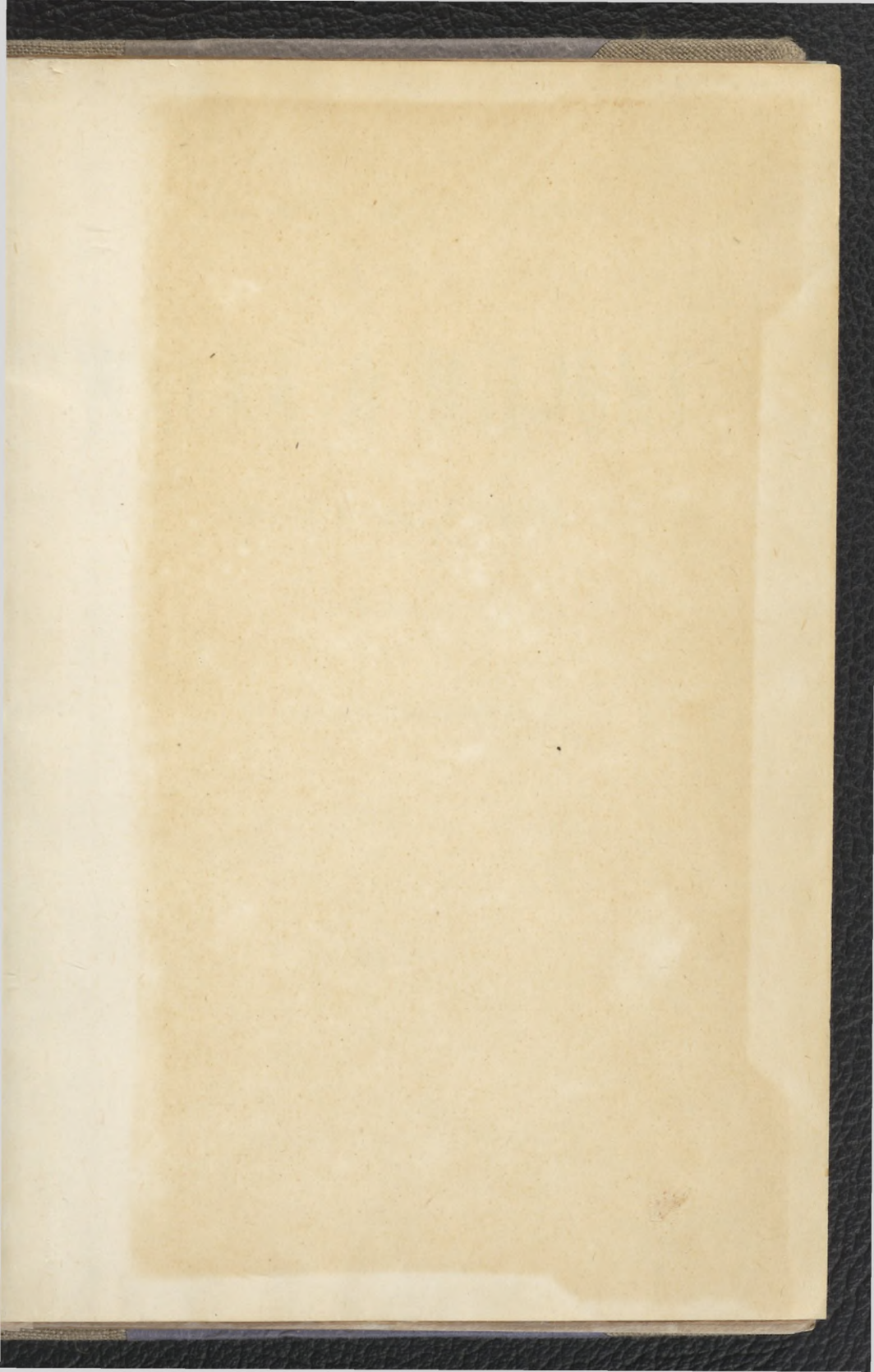
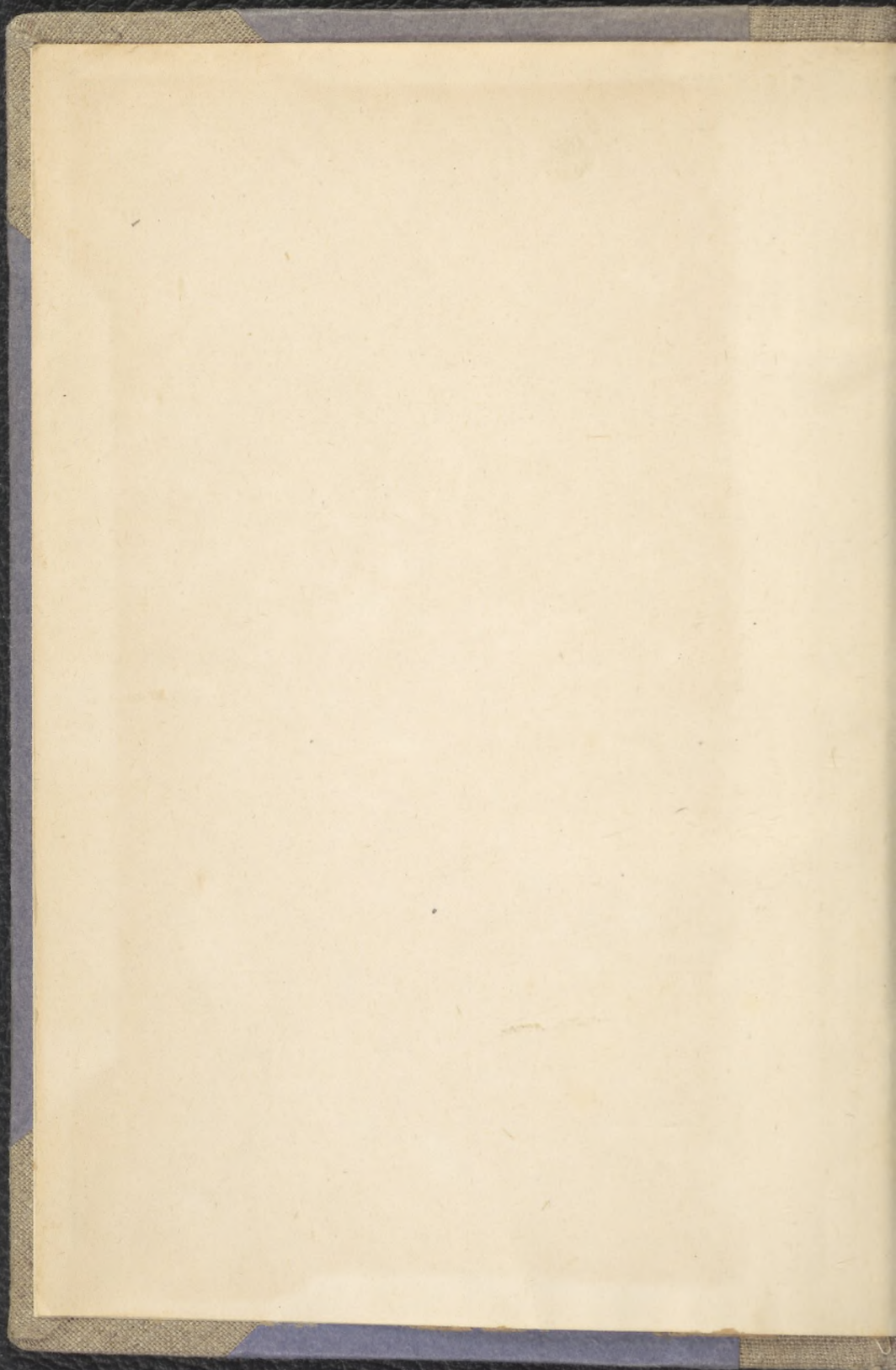


807







11 949.807

KSAWERY DE MONTÉPIN.

---

# WALKA O MILJONY.

POWIEŚĆ W SZESCIU TOMACH.

---

Przekład z francuskiego.

TOM I.

---

GRÓDEK.

NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO.

1900.



II 949.807

1975 K 1730/15 a

I.

W gabinecie Jana Mortimera, jednego z najbogatszych bankierów Indyj, zegar wskazywał dziesiątą zrana. Do Kalkuty to bowiem na początku naszej powieści prowadzimy czytelnika. Dwaj mężczyźni znajdowali się w tym gabinecie. Jednym z nich był wspomniany bankier, Mortimer, drugim jego sekretarz.

Jan Mortimer miał lat przeszło pięćdziesiąt. Z pod siwiejących jego, krótko przystrzyżonych włosów wizerowało wysokie czoło, znamionujące inteligencję. Długie, zupełnie już prawie białe faworyty, okalały wyrazistą twarz jego, nacechowaną energją i dobrotliwością zarazem, stanowiąc dziwną sprzeczność z ciemno-brunatną cerą jego oblicza. Ubrany był w biały, płócienny garnitur, jak wymagał tego przygniatający upał, który mimo spuszczonej storów, wnikał do wnętrza gabinetu.

Sekretarz Mortimera, Karol Gerard, był urodziwym dwudziesto-ośmioletnim młodzieńcem, o nader kształtnej, wyniosłej postaci. Brunet, z oczyma barwy ciemnej stali, mieniącemi się w żywsze lub bledsze odblaski, nosił przy blado-matowej twarzy długą jedwabistą czarną brodę, która niemało wdzięku dodawała jego obliczu, nacechowanemu jednak pewnym wyrazem okrucieństwa i silnej, niezłomnej woli.

4

Karol Gerard był francuzem, co za pierwszym rzutem oka łatwo odgadnąć się dało.

W chwili gdy przedstawiamy obu tych mężczyzn naszym czytelnikom, pochyleni po nad biurkami, pracują w milczeniu. Bankier sprawdza rachunki, przedstawione sobie przez głównego buchaltera; Gerard otwiera stopy korespondencji z markami różnych stron świata.

Długa ta i żmudna robota stanowiła część jego zajęć obowiązkowych; on jeden tylko w biurze Banku Anglo-Indyjskiego był zdolnym do jej prowadzenia, dzięki otrzymanemu w młodości starannemu wykształceniu.

Młody ten człowiek mówił dziewięcioma językami; posiadał francuzki, niemiecki, angielski, włoski, ruski, hiszpański, arabski, chiński i indyjski.

Więcej niż sto pięćdziesiąt listów obecnie przed nim leżało. Obowiązany był odczytać je wszystkie, a zebrawszy treść każdego w kilku wyrazach, przedstawić bankierowi i zapytać go o szczegóły odpowiedzi.

Wkrótce poznamy się ściślej z Karolem Gerard, jako jedną z głównych osobistości naszej powieści.

W gabinecie, wśród głębokiego milczenia, słychać było jedynie szelest pióra Mortimera, kreślącego szybko cyfry na papierze i szmer rozdzieranych kopert przez sekretarza. Nagle bankier, przestawszy pisać, podniósł głowę.

— Panie Gerard, przemówił we francuskim języku, w którym przebijał akcent angielski, proszę, pójdź pan na chwilę tu do mnie.

Sekretarz zbliżył się do pryncypała.



— Potrzebujesz pan jakich objaśnień? zapytał.

— Tak... Powiedz mi pan, czy kasjer przygotował rachunek naszego klienta, Edmunda Beraud?

Gerard sięgnął ręką ku stosowi leżących na stole papierów, wydobywając z nich wielki arkusz, pokryty cyframi.

— Jakaż jest ogólna suma kapitału Edmunda Beraud, u nas złożonego?

Sekretarz, spojrzawszy na arkusz, odpowiedział:

— Dwa miliony dziewiętnaście tysięcy funtów szterlingów, co na francuską monetę czyni pięćdziesiąt jeden milionów czterysta siedmdziesiąt tysięcy franków.

— Wspaniały majątek! odrzekł Mortimer. Oto człowiek, który przybył do Indji przed trzydziestu pięciu laty bez jednego penny, a który dziś jest bogatszym odemnie.

— Pozwól mi pan zapytać, na czem mianowicie nasz klient, a mój, współziomek, Edmund Beraud, zrobił tak wielki majątek? rzekł Gerard.

— Na poszukiwaniu najprzód, a następnie na odnalezieniu i sprzedaży djamentów. On mi sam opowiadał całą tę historję. Jako wychowaniec szkoły górniczej, w młodym wieku opuścił Paryż, aby próbować szczęścia tu u nas. Tysiące innych byłoby w jego miejscu zginęło, jemu udało się zdobyć bogactwa. Za pierwszym rzutem oka, wiedziony wrodzoną sobie przenikliwością, odkrył żyłę djamentów, na wydobywanie których pozyskał koncesję za przystępną roczną opłatą. Pozostawało mu tylko pracować, co czynił z łatwym do zrozumienia zapałem. Po upływie dwóch lat stał się je-

dnym z najznakomitszych kupców djamentów w naszej okolicy. W pięć lat później nabył w Ceylonie za sto dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów prawo połowu pereł, które odprzedał następnie za potrójną cenę. Posiadał własne domy handlowe w Obock i Port-Said. Zgłaszali się do niego nabywcy, pragnący traktować o kupno klejnotów za wysoką cenę. I oto nakoniec masz pan przed oczyma ogólną olbrzymią cyfrę, jako rezultat prac jego. Ach! Edmund Beraud jest prawdziwie szczęśliwym człowiekiem.

— Szczęśliwym szczęściem niezasłużonem, rzekł Gerard z sarkazmem.

— Dlaczego niezasłużonem? pytał Mortimer.

— Wszystko dla niego! Czyż to sprawiedliwie, gdy inni niemniej inteligentni, niemniej pracowici, nigdy nie zdobędą czegoś podobnego!

— Panie Gerard, rzekł bankier, podnosząc się z krzesła, jeżeli te słowa stosujesz do swej obecnej sytuacji, niesłusznie to czynisz. Miejże, na Boga, trochę cierpliwości... nie bądź nazbyt gorącym. Nie nie przeszkadza, abyś i ty został kiedyś równie bogatym, jak Beraud. Przyjdzie kolej na każdego. Bądź pewnym, iż znam twoje zasługi, twą zdolność, pilność i ocenić je umiem. Odrywając cię z mojego biura na Regent-street i z Anglii tu sprowadzając, powodowała mną jedynie myśl dostarczenia ci środków do zebrania majątku. Na początek dałem ci miejsce przy sobie, miejsce, którego wszyscy ci w biurze zazdroszczą. Wysoka twa pensja pozwala ci coś na bok odkładać. Pracuj dalej gorliwie, staraj się mnie zadowolnić, a nadewszystko

nie trać ufności. Nie wiesz bowiem, co przyszłość dla ciebie kiedyś zachowuje.

— Czuję ja, panie, rzekł Gerard z lekkim odcieniem ironji, czuję, jak dobrym jesteś dla mnie i na zawsze ci za to wdzięcznym pozostanę. Nie mógłbym jednak, wierząc pan, mimo najwyższych usiłowań, zebrać z mych oszczędności pięćdziesiąt jeden milionów.

— I Edmund Beraud na początku swojej kariery mówił, jak ty dziś mówisz, być może, odparł z uśmiechem Mortimer.

— To prawda... Są jednak ludzie, którym się wszystko udaje... Miał szczęście... a ja go nie mam! Czy pan Beraud przyjdzie dziś regulować swój rachunek? zapytał Gerard po chwili.

— Tak... Dziś właśnie, w dniu 2-im kwietnia 1884 roku, mam mu wypłacić kapitał, wynoszący pięćdziesiąt jeden milionów czterysta siedmdziesiąt tysięcy franków.

Sekretarz uśmiechnął się zlekka.

— Nie wypłacisz mu pan zapewne tej olbrzymiej sumy w brzęczącej monecie, ani w biletach bankowych? zapytał. Byłoby to albowiem nader kłopotliwem dla pana Beraud.

— Zapewne... prawdopodobnie zażąda on przekazów na Londyn lub Paryż... Powiedz mi pan, czy liczną jest dzisiaj nasza korespondencja?

— Ogromna, panie.

— A zatem bierz się do pracy... Nie będę ci już przeszkadzał.

Tu bankier usiadł przy biurku i wzięwszy pióro, począł dalej sprawdzać rachunki.

Gerard, położywszy arkusz z cyframi kapitału kupca djamentów na stosie papierów, zajął się otwieraniem listów, lecz podczas, gdy je przebiegał oczyma, usta jego bezwiednie szeptały :

— Pięćdziesiąt jeden milionów... pięćdziesiąt jeden milionów !

Zadumał się ; drzenie wstrząsało nim całym.

Wtem lekkie puknięcie do drzwi zwróciło uwagę obu pracujących.

— Wejść ! zawołał bankier.

Drzwi się otwarły. Służący w brązowej liberji, z metalowemi guzikami podał wizytową kartę Mortimerowi.

— Oczekuję na pana Beraud, rzekł tenże, przeczytawszy nazwisko, wprowadź go bezzwłocznie.

Służący wyszedł, a za chwilę wprowadziwszy przybyłego, sam się oddalił.

Edmund Beraud wszedł żywo i z uśmiechem na ustach uścisnął podaną sobie rękę bankiera. Gdy próg przestąpił, sekretarz obrócił się nagle, patrząc ciekawie na tę nieznaną sobie osobistość, na posiadacza owego olbrzymiego majątku, którego cyfry tak zawładnęły jego umysłem. Po paru sekundach rysy twarzy milionera utrwaliły się niezatarcie w jego pamięci.

## II.

Gerard zabrał się powtórnie do przeglądania listów, powtarzając zcicha.

— Postać pospolita... gminna ! Żadnego w twarzy wyrazu... Czoło niskie... najmniejszego blasku w spoj-

rzeniu. Tak... nie swojej to on inteligencji, lecz szczęściu ślepemu zawdzięcza zdobyte miliony. I podobnie olbrzymi majątek dostał się takiemu zwierzęciu!... To oburzające... niesprawiedliwe!...

Sąd Karola Gerard zbyt był surowym pod względem wewnętrznej wartości i charakteru przybyłego; nie był nim jednak co do strony fizycznej.

Edmund Beraud nie posiadał sympatycznej powierzchowności. Nie będąc brzydkim, nie miał nic jednak w rysach twarzy, czemby mógł zwrócić na siebie uwagę. Zwykła pospolita jego fizjonomia nie przedstawiała nic indywidualnego, obok czego brakło mu dystynkcji w zachowaniu się. Należał on do rzędu tych postaci, jakich tysiące spotykamy w świecie, jakby ukutych według jednego wzoru. Wysoki, barczysty, o szeroko rozrosłych ramionach i grubych, wielkich rękach, wogóle źle się przedstawiał. Ów poszukiwacz djamentów, ten górnik zuchwale odważny, rozpoczął przed kilkoma dniami sześćdziesiąty rok życia. Zwiędła i czarno pokropkowana cera jego twarzy, sprawiała wrażenie pergaminu, tysiącznemi pooranego bruzdami. Krótko przycięte włosy miał jak śnieg białe. Wogóle przedstawiał się o lat dziesięć starszym, niż nim był rzeczywiście.

— Otrzymałem depeszę twoją, kochany kliencie, rzekł Mortimer, wskazując ręką krzesło przybyłemu, oznajmiłeś mi w niej swą bytność, oczekiwałem przeto na ciebie. Pośpieszyłeś się jednak nieco, dodał z uśmiechem, wizyta twoja oznaczoną mi została o kwadrans

na jedenastą, a obecnie jest dopiero dziesiąta minut dziesięć.

— Punktualność jest według mnie jednym z koniecznych warunków egzystencji człowieka, rzekł Beraud, a w szczególności niezbędnym dla handlującego. Iluż to ludzi zwichnęło swoją karierę i z rąk wypuściło majątek przez opóźnienie się o kilka minut! Mógłbym ci zacytować, bankierze, liczne podobne przykłady. Co do mnie, staram się zawsze wyprzedzać umówioną godzinę, ażeby nie chybić. Wielekroć razy na innych oczekiwalem; na siebie jednakże czekać nie pozwalałem nikomu.

Sekretarz słuchał z uwagą. Pogardliwy uśmiech wykrzywił mu usta, który jasno mówić się zdawał:

— Drobiazgowość ta znamionuje umysł ciasny, niską i niewolniczą naturę. Ja wolałbym kazać czekać innym, niżli na drugich oczekiwać. Prawda, że jestem człowiekiem o szerokich na świat poglądach.

— Przybywasz z Ceylonu? pytał Mortimer milionera.

— Tak... przyjechałem dziś rano, ukończywszy interes sprzedaży mojego domu handlowego z nabywcą.

— Zatem ukończyłeś już wszystko?

— Tak... prawie wszystko... pozostaje mi tylko do uregulowania z tobą rachunek, co długo czasu nie zajmie, poczem złożę wizytę memu następcy w Kalkucie i jutro rano jadę do Francji, do mego ukochanego kraju, do mego rodzinnego Paryża. Nie uwierzyłbyś, bankierze, jak silnie mi serce uderza na myśl ujrzenia tego drogiego tyle dla mnie miasta, które od tak dawna opuściłem !...

— Od lat trzydziestu pięciu, jak sędzę... wyrzekł Mortimer.

— Trzydzieści pięć lat upłynęło od owej chwili, trzy miesiące, dni osiem... Wyjechałem młodym, starym powracam.

— Tak... ale wyjechałeś ubogim, a wracasz bogatym! zawołał, śmiejąc się bankier.

— Zdaje ci się więc, że kompensata jest dostateczną? zapytał Beraud, przyznam, iż nie dzielę twojego przekonania. Młodość to cacko czarowne, które oceniamy wtedy należycie, gdyśmy je na zawsze stracili. Ach! ona więcej warta, niżli miljony całego świata.

Mortimer westchnął, nie odpowiedziawszy, być może iż w głębi duszy podzielał przekonanie swojego klienta.

— I opuszczasz Indje bez żalu? zapytał po chwili.

— Tak jest... bez żalu.

— Przywykłeś jednak do wygod miejscowych, których brak we Francji, przykro uczuć ci się dać może.

— Nie obawiam się o to... Tęsknota za rodzinnym krajem owładnęła mną od pewnego czasu do niepokozenia, dłużej walczyć z nią niepodobna mi było. Mam lat obecnie sześćdziesiąt, lecz pracowałem nad siły a lata kampanji, jak ci wiadomo, bankierze, podwójnie się rachują. Mimo z pozoru silnej mojej budowy ciała, czuję się być mocno znużonym, niezwykle spracowanym i starszym nad wiek mój. Potrzebuję spokoju i wypoczynku... Niechciałbym umierać w Indjach, sam, opuszczony, jak to jest fatalnym przeznaczeniem starego kawalera, przebywającego na obczyźnie.

— Ha! twoja to wina, żeś został starym kawalerem. Trzeba się było ożenić.

— Gdy była właściwa ku temu pora, czasu nie miałem; dziś jest niestety zapóźno!

— Lecz we Francji będziesz równie samotnym, jak w Kalkucie albo Bombaju?

— Nie... nie! w tym razie mylisz się, bankierze.

— Masz więc we Francji rodzinę?

— Bardzo liczną... mnóstwo krewnych, których mój przyjazd wprawi w osłupienie.

— Dlaczego? Czyś ich niepowiadomił o swoim przybyciu?

— Nie, ponieważ chcę im sprawić niespodziankę. Od czasu mego wyjazdu z Paryża, nie pisałem do nich wcale. Sądzą z pewnością, że umarłem, jeżeli pamiętają notabene, że umarłem kiedyś. Zdumienie ich, nie będzie miało granic.

— Nie zwrócisz jednak uwagi na pewien szczegół...

— No! na cóż takiego?

— Że ci, których spodziewasz się znaleźć we Francji, nie żyją już być może.

— W rzeczy samej... przez ten tak długi przeciąg czasu wielu mi krewnych ubyło; wielu wszelako jeszcze pozostało i przy nich to znajdę dla siebie tę rozkosz rodzinną, jakiej mi przez całe życie brakowało, a do której tak tęsknię obecnie. Przed sześciu miesiącami poleciłem jednemu z agentów w Paryżu czynić poszukiwania w tym względzie.

— I cóż?

— Zostały uwieńczone jak najlepszym skutkiem. Po-



siadam jeszcze obecnie brata, siostrę, siostrzeńców, synowców, siostrzenice, kuzynki, kuzynów, słowem całą gromadę bliższych i dalszych krewnych, w ogóle bardzo ubogich, z wyjątkiem dwóch lub trzech osobistości. Wyobraź sobie zatem mą radość, gdy spadnę pośród tej nędzy z mojami milionami i będę im mógł dopomóc! Chcę aby owi ucziwi ludzie przeszli od razu z ubóstwa do majątku, ponieważ ja ich zbogacę, jak w sztuce teatralnej, za jednym dotknięciem mej czaroksiężkiej laseczki.

— I możesz to uczynić bez szkody dla siebie, odrzekł Mortimer, posiadając tak olbrzymią fortunę.

— Obrachowałem, iż mam złożonych u ciebie pięćdziesiąt jeden milionów, czterysta siedmdziesiąt tysięcy franków, rzekł Beraud. Czy tak jest?

— Tak... najzupełniej.

— Prócz tego mam ulokowane i gdzieindziej kapitały. Co chcesz, kochany bankierze, z łatwością mi przyszło zebrać te pieniądze. Moje osobiste wydatki są nader skromnymi, nie posiadam kosztownych nawyków, zwyczajów. Potrafiłbym się utrzymać i żyłbym zadowolony przy tysiącu talarach rocznej renty. Za przybyciem do Francji rozdzielię natychmiast majątek pomiędzy krewnych, zachowując dla siebie trzy albo cztery miliony. Będzie to nawet dla mnie za wiele, jeżeli Bóg żyć mi dłużej pozwoli, w przeciwnym razie pozostawię to na koszt mego pogrzebu.

— Ach! drogi kliencie... zawołał Mortimer, mówisz o śmierci w tak radosnej chwili... gdy wracasz do Francji... do swego ukochanego Paryża... wybacz, lecz to

przeciwnie logice.

— Co począć? Mam smutne przeczucia!... zdaje mi się iż policzonemi są dni moje.

— Wybryk imaginacji... chimera, brednie! wybacz, iż ci to mówię otwarcie, zawołał Mortimer, czyliż podobna, ażeby człowiek, tak jak ty, silny fizycznie, hartowny, wierzył w podobne banialuki?

— Ja wierzę w moje przeczucia... nigdy mnie one jeszcze nie omyliły! rzekł Beraud. Przez czas trzydziestoletniego mego pobytu w Indjach, wielokrotnie bywałem owładnięty ową jak ty nazywasz niedorzeczną chimerą, a nigdy... uważasz mnie... nigdy nie chybiła ta tajemnicza przestroga. Zawsze rzecz szczęśliwa, albo bolesna spełniała się nieodmiennie. W takich warunkach, powiedz mi, czyż nie należy przeczuciu dać wiary?

— Dlaczego zatem chcesz koniecznie wracać do Francji? zapytał bankier, skoro masz przekonanie, iż pomieniona podróż fatalną ci będzie?

— Nikt nie jest w stanie umknąć przed swem przeznaczeniem, odparł Beraud. Nie wiem, czyli ta podróż fatalną dla mnie będzie, jak to powiedziałaś przed chwilą, mam jednak przekonanie, iż nie długo już żyć będę. Otóż śmierć wyda mi się mniej straszną w mym rodzinnym kraju, wśród swoich, otoczonemu tymi, których szczęśliwymi uczynię, przed wybraniem się w ową daleką podróż, z której nie powracamy już więcej.

— Utworzonym jesteś na stuletniego człowieka, mam więc nadzieję, iż długie jeszcze lata będę korespondował z tobą z Kalkuty.

— Dzięki za tę pomyslną wieszczbę... rzekł Beraud, smutno się uśmiechając.

— Zatem nieodmiennie postanowiono... zaczął bankier po chwili, jutro wyjeżdżasz?

— Tak... jutro z rana, okrętem, przewożącym depesze.

— Udajesz się wprost do Francji?

— Nie, zatrzymam się w Obock, dla odebrania kapitału od nabywcy, któremu odstąpiłem mój dom handlowy w tem mieście. Zabawiwszy tam z jakie dwa lub trzy dni, popłynę do Port-Saïd, kanałem Suezkim, gdzie również przez dni kilka pozostanę. Prawdopodobnie zatem nie wyląduję we Francji jak około piętnastego kwietnia.

— Pragniesz zapewne zabrać wraz z sobą znajdujące się w mym banku kapitały?

— Tak... żegnam na zawsze Kalkutę. Pozostawię w Indjach jedynie kilku prawdziwych przyjaciół i ciebie w ich liczbie, interesów wszakże finansowych w tej stronie świata mieć nie chcę, dla tego, prosiłbym jeżeli można, o wypłacenie mi sum moich. Będieszże mógł to, bankierze, zaraz uskutecznić?

— Bez wachania! Suma jest wprawdzie olbrzymią, gdyby jednak była i podwójnie wielką, Mortimer złoży ją na każde zawołanie. W jakiej formie życzysz bym ci wypłacił?

— Jako doświadczony finansista, poradź mi w tym względzie.

Na te słowa Karol Gerard, sekretarz bankiera przestał otwierać korespondencyjne koperty, chwytając chci-

wie wyrazy rozmowy między pryncypałem, a kupcem djamentów.

— Pięćdziesiąt jeden milionów, odrzekł Mortimer, w biletach bankowych francuzkich albo angielskich, stanowiłyby olbrzymi pakunek. Do zabrania ich trzebaby specjalnego kufra, co byłoby nie praktycznem i kłopotliwem dla ciebie, nie powierza się bowiem biuru bagażów skrzyni z podobnie wysoką zawartością. Zdaje mi się, że najodpowiedniejszym byłoby wydanie przekazu na bank francuzki, ponieważ jedziesz do Paryża.

— Zgoda! niech i tak będzie.

— Zawiadomię najprzód depeszą, następnie listem dyrektora Banku o ważności czeku, wydanego przez moją firmę i zostaniesz pan tamże natychmiast za zgłoszeniem się zapłaconym.

— Czy mógłbym zostawić tę sumę w Banku francuzkim na bieżący rachunek?

— Zostawić obecnie... nie! Złożyć ją jednak możesz po spełnieniu niektórych formalności. Jaśniej to tłumaczając, najprzód odbierzesz z Banku pieniądze, poczem wybrawszy z pomiędzy handlujących dwóch uczeiwych ludzi z pośród firm najznakomitszych, zaprosisz ich na chrzestnych do swego kapitału. Pod ich patronatem przyjmą od ciebie w Banku pieniądze otwierając ci bieżący rachunek.

— Ach! ileż formalności przy złożeniu pieniędzy!... zawołał Beraud.

— Prawo tego wymaga... Ostrożność ta jest niezbędną dla uchronienia Banku francuzkiego od przyjęcia ukradzionych pieniędzy, a tem samem zostania pomi-

mowolnym współnikiem złodzieja.

— No! za przybyciem do Paryża, rozpatrzę się w tem bliżej, rzekł kupiec djamentów, tymczasem proszę, wydaj mi przekaz!...

— Natychmiast. Panie Gerard, rzekł bankier, zwracając się do sekretarza, podaj mi pan rachunek pana Edmunda Beraud.

— Oto jest, rzekł Gerard, przynosząc bankierowi arkusz papieru, który tenże poprzednio już przepatrywał przed przyjściem swojego klienta; poczem wróciwszy do biurka usiadł, zajmując się rozpieczętowaniem korespondencji. Pilny jednakże obserwator dostrzedz mógł bez trudu, iż czynność swą sekretarz dokonywał machinalnie, uwaga jego była zwróconą gdzieindziej.

Zmarszczone brwi, zasępione czoło, wskazywały pracę jakiejś ukrytej myśli wewnętrznej. Usta mu drgały, bez wymówienia jednak wyrazu. Słuchał, jak człowiek, którego życie zależy od słów, mających zostać wygłoszonymi wobec niego.

Mortimer z piórem w ręku przebiegał kolumny cyfr a zsumowawszy rachunek, rzekł:

— W rzeczy samej, kochany mój kliencie, ogólna suma twego kapitału wynosi pięćdziesiąt jeden milionów, czterysta siedemdziesiąt tysięcy franków, licząc na francuską monetę.

— Zatem, chciej mi wypłacić, bankierze, czterysta siedemdziesiąt tysięcy franków w biletach bankowych, rzekł Beraud, a wydaj mi czek, na pięćdziesiąt jeden milionów.

— Nie jestem pewien, czy we francuzkich biletach

bankowych będą miał u siebie powyższą sumę...

— Mniejsza z tem... przyjmę zarówno i angielskie banknoty.

— Panie Gerard, zwrócił się bankier do sekretarza, zażądaj, by wypłacono ci z kasy czterysta siedemdziesiąt tysięcy franków w francuzkich biletach, a w braku tychże, w angielskich.

Gerard, wzięwszy pióro, wypisał sumę żadaną na pół arkusza papieru z firmą handlową domu Mortimera, wstał, a zbliżywszy się do okienka w ścianie umieszczonego, obrócił blachę ruchomą, zamykającą owe okienko z pod której ukazała się tuba okrągłych kształtów prostopadła.

Mosiężny otwór w tej tubie służył do połączenia gabinetu bankiera z kasjerem, mającym swe biuro na wyższym piętrze.

Sekretarz, położywszy papier, przez siebie napisany na małej tacy mosiężnej, nacisnął guzik elektryczny. Tacla w oka mgnieniu w tubie zniknęła, poczem Gerard powrócił do swej czynności.

Mortimer, wzięwszy leżącą przed sobą na biurku książkę z czekami, zappełnił całą jedną z kart tejeże cyframi pięćdziesięciu jeden milionów płatnemi osobście Edmundowi Beraud, albo za jego upoważnieniem.

W chwili, gdy kładł swój podpis na dole czeku, głos dzwonka zabrzmiał ponad sufitem gabinetu.

Sekretarz zbliżył się do małego otworu, w górze umieszczonego, w którym ukazała się tacla mosiężna napelniona pękami biletów bankowych.

Zdjawszy z niej paczki pieniędzy Gerard, zamknął okienko i położył bilety na biurku przed bankierem.

— Chciej przerachować, rzekł ten ostatni.

Stanawszy przy biurku, sekretarz zaczął przeliczać banknoty. Palce mu drżały nerwowo, dotykając jedwabistych papierów Francji i Anglii.

— Suma znajduje się w całkowitości, rzekł, ukończywszy rachunek.

— Racz sprawdzić sam, kochany kliencie, rzekł bankier do Edmunda Beraud.

— Niepotrzeba, odparł tenże. I zabrawszy paki banknotów wsunął je w skórzanną torebkę, jaką miał na sobie przewieszoną, pod lekkim, sukiennem okryciem.

— Panie Gerard, wyrzekł Mortimer do sekretarza, przygotuj bezzwłocznie list do dyrektora Banku w Paryżu, powiadamiający go o wartości czeku, jaki posyłam. Dasz mi ten list do podpisania, a wyślesz go pierwszym z odpływających okrętów. Depesza, wysłana jednocześnie, uprzedzi ów list.

Gerard wziął arkusz papieru i zaczął pisać. Ręka jego kreśliła bezwiednie wyrazy według przyjętej formuły; myśl jego wszak była daleko.

Chciwość gwałtownie nim zawładnęła.

— Pięćdziesiąt jeden milionów!... powtarzał z cicha, prawdziwie królewska fortuna, zawarta w jednym czeku, w jednym skrawku papieru, który zamienić można na kupy złota i stopy biletów bankowych! I jedno tylko na nim nazwisko... Edmund!... Ów czek, gdyby się znalazł w czymkolwiek ręku, zostałby również wypłaconym. Jakież sen... jakie złudzenie... Złudzenie, które przy od-

robinie odwagi zmienić się może w rzeczywistość. Ów świetny błysk losu na który tak długo oczekiwałem, którego od tak dawna wyglądałem, zjawia się nareszcie. Aby mu wymknąć się z rąk pozwolić, szalonym chybaby być trzeba!

Tak myślał Karol Gerard, pisząc list, polecony sobie przez bankiera, co nie przeszkadzało mu przytem przysłuchiwać się rozmowie, prowadzonej pomiędzy Mortimerem a kupcem djamentów.

— Oto czek, rzekł bankier, podając swemu klientowi papier drogocenny, pozostaje mi tylko prosić pana o pokwitowanie.

— Natychmiast, odpowiedział Beraud. A przybliżywszy się z krzesłem do biurka, nakreślił kwit dużem, wyraźnem pismem, poczem otworzywszy torebkę skórzaną, wsunął czek między bilety bankowe.

— Mam nadzieję, iż stanąwszy szczęśliwie w Paryżu, napiszesz do mnie, mówił Mortimer.

— Nieomieszkam, i proszę wzajem o odpowiedź. Zostawię ci bankierze, mój adres tymczasowy, zanim się stale urządzę.

— Podyktuj proszę, rzekł bankier.

— Edmund Beraud, w Paryżu, Hotel Indyjski, ulica Joubert'a.

Mortimer zapisywał adres, lecz nie on sam tylko. Gerard jednocześnie kreślił go szybko na kawałku papieru, jaki następnie schował do kieszeni.

Beraud, wstawszy z krzesła, podał rękę bankierowi.

— No, żegnaj mi, wyrzekł.

— Dla czego żegnaj, a nie do widzenia?



— Ponieważ jestem przekonany, iż nie zobaczymy się już więcej.

— Kto wie? Wybieram się do Londynu z końcem roku, dla uregulowania niektórych spraw finansowych w mym biurze przy Regent-street. Być może, iż interesa popchną mnie do Paryża. Cieszyłbym się natenczas niewymownie, mogąc uścisnąć ci rękę i pośmiać się wraz z tobą z obecnych twych przeżyć fatalnych.

Edmund Beraud smutnie potrząsnął głową.

— Nie zastaniesz mnie tam już, odpowiedział.

— Jakto... a gdzież będziesz?

— W mogile!...

— E! mój drogi kliencie, nie mówisz tego przecie na serjo?

— Owszem, zupełnie na serjo. Radbym, wyznam ci, nieco pożyć jeszcze, lecz oto właśnie, w chwili, gdy zamykał w torebce tę całą moją fortunę, myśl czarna, ponura, obsiadła mnie na nowo... Obłok czerwono-krwisty przesunął się przed memi oczyma i pomyślałem mimowolnie: „Na co to wszystko się przyda? Z tyloletniej mej pracy i bogactw, w pocie czoła zebranych nic nie użyję... tak!... bo wkrótce umrzeć mi przyjdzie.“

Mortimer, ujawszy rękę Beraud'a uścisnął ją w swojej.

— Ależ to szaleństwo! zawołał, ulegając podobnym dziwactwom, sam torturujesz się bezpotrzebnie. Okażże się na Boga mężczyzną... i odegnaj te błędne idee. Silna twa budowa ciała i zdrowie zahartowane, żyć tobie co najmniej do stu lat pozwolą. Tak, powtarzam ci to raz jeszcze, nie mówiąc: Żegnaj, lecz tylko Do widzenia.

— Niech i tak będzie, rzekł Beraud z lekkim uśmiechem, do widzenia zatem, skoro tak żądasz.

Tu wyszedł z gabinetu wraz z Mortimerem, który w dowód wysokiego szacunku wyprowadził swego klienta aż przed bramę domu.

## III

Gdy bankier powrócił i siadł przy swoim biurku, Gerard, ukończywszy właśnie list do dyrektora banku w Paryżu, podał go pryncypałowi.

— Dobrze, rzekł tenże, odczytawszy z uwagą; i list podpisał. Słyszałeś naszą rozmowę, Gerardzie? zapytał po chwili.

— Zajęty byłem pisaniem, odparł sekretarz, niektóre jednak wyrazy dobiegły mnie pomimowolnie.

— Wyraźnie... jakieś zboczenie umysłu, mówił bankier dalej. Rzecz dziwna, człowiek tak poważny, inteligentny, który potrafił zdobyć królewską prawie frotunę, człowiek ten zdrow na umyśle i ciele, odjeżdża z Indji z tem stałym przekonaniem, iż umrze w krótkce po przybyciu do Francji. Prawdziwe nieszczęście, dać się do tego stopnia owładnąć przesądom!

— Pan Beraud twierdzi, iż jego przeczucia nigdy go nie omyliły, odparł sekretarz obojętnie.

— To wynik owej niezwalczonej idei, która go ogarnęła. Jakież to głupstwo wierzyć w przeczucia podobnego rodzaju!

— Głupstwo... kto wie? mruknął Gerard w zamyśleniu.

— Jakto?... miałżebyś i ty wierzyć w podobne rzeczy?

— Wierzę w to, panie.

— Wstydź się! to słabość ducha, niegodna mężczyzny. Bądź co bądź, rodzina Edmunda Beraud nie pożałuje, iż przybył do Francji. Pięćdziesiąt jeden milionów, rozdzielonych pomiędzy krewnych, chociażby ich nawet było dwunastu, stanie się dla każdego z nich żyłą peruwiańskiego złota, tem więcej, że odkrycie tej żyły jest dla nich całkiem niespodziewane. Przez lat trzydzieści pięć rodzina, nie odbierając od niego żadnych wiadomości, sądzi na pewno, że umarł. Jakaż niespodzianka, skoro go ujrzą powracającego z pięćdziesięcioma milionami.

— Tak... w samej rzeczy... rozkoszna niespodzianka, odparł sekretarz.

Po tych słowach Mortimer podał Gerardowi list, zaadresowany do dyrektora banku w Paryżu.

— Nie zapomnij, że to ma być wysłane najrychlej, rzekł do niego, i kończ jaknajprędzej czytanie korespondencji. Wyjadę dziś na dzień cały, a przedtem chcę wiedzieć, czy pomiędzy listami nie znajduje się coś ważnego.

— Natychmiast, panie, pośpieszę.

— Oto pokwitowanie Edmunda Beraud, mówił dalej Mortimer, oddasz je kasjerowi dla zamieszczenia w księgach.

Gerard, podniósłszy się, odebrał pokwitowanie, poczem wrócił do swego biurka. Przez kilka sekund siedział z pochyloną głową, pogrążony w głębokiej zadumie.

— Zatrzyma się w Obock i Port-Said, myślał, tym sposobem, ktoby wyjechał jutro wraz z nim jednocześnie, przybyłby na tydzień pierwiej przed nim do Paryża... Prócz tego, gdyby ów śmiałek odważny zapragnął zostać posiadaczem pięćdziesięciu jeden miljo-

nów, wystarczyłoby zabrać czek, który on unosi z sobą, i zażądać nań z banku wypłaty, z banku, który powiadomiony depeszą i listem Mortimera, wypłaci wartość czeku przedstawiającej się z nim osobistości. Gdzież więc zapora do spełnienia tego? Na czeku nie ma nic, prócz nazwiska Edmund Beraud... Ani wieku, ani rysopisu... nic... nic!... Dlaczegożby okaziciel czeku nie mógł ujść za Edmunda Beraud? Nie zażądają od niego żadnych osobistych dowodów, ponieważ nigdy tego nie wymagają. Zresztą podpis na pokwitowaniu Edmunda Beraud zasługuje na wiarę... a ów podpis, oto go mam w ręku... dodał, spoglądając na trzymaną kartkę papieru. Wielkie litery, regularne, bez zakrętów... dziecko naśladowałyby je potrafiło. Śmiało więc... powtarzam, szalonym być potrzeba, aby nie skorzystać z podobnej sposobności! Rodzina kupca djamentów sądzi, że on umarł. Po trzydziestu pięciu latach nieobecności któż o nim pamięta? Nikt! Działając roztropnie i zręcznie, można uniknąć wszelkich podejrzeń... Trzeba jedynie, ażeby zniknął ów człowiek.

Tu Karol Gerard ocknął się nagle. Przypomniał sobie, iż zamyślenie i bezczynność jego w chwili, gdy Mortimer zalecił mu pośpiech w robocie, mogą zwrócić uwagę bankiera. Zaczął więc szybko rozpieczętowanie koperty i wyjmować z nich listy. Po chwili jednak pomimowolnie zagłębił się znowu w dumanie i szepnął zcicha.

— Beraud ma słusność... przecucie go nie myli... W samej rzeczy mało mu czasu do życia pozostaje, ponieważ ten olbrzymi majątek to bogactwo, przecho-

dzące wszelkie moje marzenia, ja osiąść muszę... ja je mieć chcę... mieć będę!... Lecz, aby je pochwycić, cóż zrobić potrzeba?... Oto przedewszystkiem opuścić dom Mortimera... Lecz jak się ztąd wydalić bez żadnego słusznego powodu? To najtrudniejsza rzecz do zwalczenia! Nagły mój wyjazd mógłby niebezpieczne na mnie zwrócić podejrzania... a jednak dozwolić wymknąć się z rąk takiej sposobności... Nie! to niepodobna! Ach gdybym był wolnym! Mój plan jest już wytkniętym... jest! całkowicie jasno, w mym mózgu. W Hotelu Indyjskim, przy ulicy Joubert, Beraud wysiadzie... Tam to on zamieszka w chwili przyjazdu swego do Paryża... tam więc wypada na niego oczekiwać... Nieco śmiałości, odwagi, a wszystko pójdzie dobrze. Z owym olbrzymim majątkiem, jakim ten głupiec chce z bogacić kilku idjotów, ja panem świata się stanę!...

Tu z gestem niecierpliwości Gerard chwycił po raz trzeci za pióro, a rozpoczynawszy wydobywanie korespondencji, kładł porządkowe numera na każdym z listów, przez siebie odczytanych.

Pozostało mu z dziesięć zaledwie do przejrzenia. Pierwszy z nich, jaki otworzył, nosił napis na nagłówku.

JAN MORTIMER et COMP.

Domy handlowe w Kalkucie i Londynie.

Dom w Londynie.

— List od dyrektora pańskiego biura w Londynie! rzekł głośno Gerard.

— Zobacz, co on zawiera, odparł bankier, kończąc

w tej chwili ważną robotę, której przerywać nie mogę. Opowiesz mi treść jego za kilka minut.

Gerard przebiegał oczyma, co następuje:

„Szanowny nasz pryncypale.

„Przesyłam ci przykrą wiadomość. Jeden z najdawniejszych, a zarazem i najzdolniejszych pracowników naszego biura, Wilke Spiegel, naczelnik oddziału korespondencyj, zmarł nagle wczoraj, rażony atakiem apoplektycznym. Pan znasz najlepiej ważność obowiązku tego rodzaju.

„Wilke Spiegel był poliglotą; mówił i pisał poprawnie sześcioma językami. Kto go nam teraz zastąpi? Podobnych ludzi rzadko znaleźć można: ztąd też znajduję się obecnie w niezwykle kłopotliwym położeniu. Dla wydobycia się z tego widzę jeden tylko środek; czy jednak pan na niego zgodzić się zechcesz? Oto wypadłoby przysłać dla naszego domu w Londynie jaknajprędzej pańskiego sekretarza, Karola Gerard, którego nam pan zabrał. On jeden tylko byłby zdolnym do pełnienia obowiązków zmarłego naszego pracownika“.

Dalej następowały szczegóły interesów finansowych bankierskiego domu w Londynie, obojętne naszym czytelnikom.

Przeczytawszy pierwszą część listu, sekretarz Mortimera zapłonął radością.

— Wracać do Londynu! szepnął, ach! chyba sam szatan dopomaga mi w mych planach! Pozór, jakiego szukałem napróżno, sam wpada mi w ręce. Tak... teraz nie zwrócę na siebie najmniejszego podejrzenia. Odjadę! rzecz prosta, lecz zamiast udać się do Lon-

dynu, pojedę do Paryża, gdzie popróbuję losu fortuny.

List kończył się temi słowy:

„Widzisz więc, szanowny pryncypale, jak pilną, a nawet nagłą jest rzeczą, ażebyś się zdecydował bezwłocznie na mój projekt i aby powyższa decyzja z twej strony nie była odmowną.

„Zechciej mnie powiadomić telegramem, skoro tylko list ten odbierzesz, iż wyprawiasz do nas pana Karola Gerard“.

Sekretarz, wstawszy z krzesła, zbliżył się z listem w rękę do Mortimera.

— Wybacz pan, jeśli przerywam, rzekł, lecz list dyrektora pańskiego biura w Londynie zawiera niezmiernie ważną wiadomość; potrzebujesz go pan przeczytać jaknajspieszniej, ponieważ rzecz jest pilna.

Mortimer podniósł żywo głowę.

— Cóż tam takiego? zapytał z niepokojem.

— Biuro pańskie w Londynie poniosło wielką stratę...

— Stratę pieniężną?

— E! to byłoby drobnostką dla pana... o ważniejszą stratę tu chodzi. Naczelnik oddziału korespondencyj zmarł nagle.

Bankier zerwał się z krzesła.

— Co?... Wilke Spiegel... umarł?

— Tak... na atak apoplektyczny... Racz pan przeczytać ten list...

Mortimer przebiegł oczyma podany sobie list, poczem zmarszczył czoło i zadumał się niezadowolony.

— Czytałeś list do końca? zapytał sekretarza.

— Czytałem go, panie.

— Pojmujesz więc, że mimo wielkiej straty, jaką ponieśliśmy przez śmierć Wilkego, rzecz ta da się wynagrodzić, ponieważ ty nam pozostajesz. Wszak zrozumiałeś to... nieprawdaż?

— Pojmuję, co pański reprezentant chciał powiedzieć... obawiam się jednak, czy nie przecenił mych zdolności?

— Nie nie przecenił... Wszak on zna twoją robotę; podzielałam w zupełności jego opinię w tym razie. Ty jeden tylko możesz nam zastąpić Wilke Spiegla.

Gerard uklonił się, jak gdyby dziękując z wdzięcznością pryncypałowi, lecz w rzeczy samej uczynił to jedynie, ażeby ukryć radość, błyszczącą w jego spojrzeniu. Pragnąc odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, uważał, iż nie wypada mu nazbyt pochopnie zgodzić się na ów projekt.

— Nie umiem wyrazić, wyrzekł po chwili, swej wdzięczności za pańską dla mnie dobroć. Czuję, że nie zasłużył na tak wysokie pochwały. Staram się dokładnie wykonywać me obowiązki.... ot! wszystko. Dzięki posiadanej znajomości obcych języków, być może, iż zdołałbym zastąpić w Londynie zmarłego naczelnika oddziału korespondencyj, lecz czyliż moja obecność nie byłaby panu tu pożyteczniejszą niż w Anglii?

— Rzecz pewna, iż brak pomocy z twej strony w moich zajęciach, ciężko da mi się uczuć, rzekł bankier. W każdym jednak razie, ja łatwiej dam sobie radę; ty tam potrzebnym jesteś nieodwołalnie. Podzielałam zdanie mego reprezentanta.

— Od niedawna jestem w Kalkucie, rzekł Gerard,



a już nawykłem do tego miasta... bardzo mi się tu podoba...

— Pojmuję, iż nieprzyjemnie jest przenosić się z miejsca na miejsce, odparł Mortimer, powinieneś jednak uczynić tę ofiarę dla mego domu, domu, w którym jedynie jest dla ciebie przyszłość. Okażesz mi tem dowód prawdziwej życzliwości.

Sekretarz opuścił głowę w milczeniu.

— Wachasz się? pytał bankier dalej.

— Przyznam, iż będzie mi nader przykro rozłączyć się z panem.

— Nie sądz aby to i dla mnie zarówno przykrem nie było. Przywiązałem się do ciebie, posiadasz szacunek mój i zaufanie, wszakże interesa domu Mortimer i Spółka przedewszystkiem. Podwajam ci pensję, a przed wyjazdem otrzymasz gratyfikację w sumie dziesięciu tysięcy franków.

— Ach! Jakże mam wyrazić mą wdzięczność? mruknął Gerard.

— A zatem zgoda, nieprawdaż? pytał bankier. Przyjmujesz? Trzeba, ażebyś przyjął, ponieważ ty jeden tylko możesz mnie wybawić z tego ciężkiego kłopotu. Wyjedziesz jutro o świcie statkiem, odpływającym z nad brzegów Gangesu. Otrzymasz odemnie list do mego korespondenta.

— Lecz kto mnie zastąpi tu, panie?

— Jeden z moich siostrzeńców, przebywający obecnie w Bombaju. Może chcesz teraz przygotować się do podróży?

Gerard zaledwie ukryć zdołał swą radość.

Jak słyszeliśmy go mówiącym do siebie, szatan rzeczywiście zdawał się mieszać w tę sprawę, tak wszystko w zadziwiający sposób układało się według życzeń tego młodego łotra.

— Będę potrzebował kilku godzin czasu na przygotowanie moich pakunków, odpowiedział.

— Użyj go, ile ci trzeba. A po śniadaniu pójdz zamówić miejsce dla siebie na statku. Jeden z mych urzędników, Dudley, zastąpi cię w twoich czynnościach, zanim mój siostrzeniec nadjedzie. Dziękuję ci kochany Gerardzie, nie zapomnę nigdy, coś dla mnie obecnie uczynił.

Tu bankier podał mu rękę, którą on w swojej uściśnił.

## IV.

Mortimer po owem uściśnieniu otworzył kasę żelazną, stojącą przy biurku, dobywając z niej paczkę banknotów, przedstawiającą wartość piętnastu tysięcy franków.

— Oto, rzekł do Gerarda, podając mu bilety, twoja gratyfikacja wraz z kosztami na podróż. Czy odebrałeś swą pensję za upłyniony miesiąc?

— Nie jeszcze...

— Idź więc do kasy, niech ci wypłacą.

— Dziękuję panu.

— Ukończyłeś już przeglądanie korespondencji?

— Skończę za kilka minut.

— Ja zaś tymczasem przygotuję list do Jerzego Stanlej, mego reprezentanta w Londynie.

Tu bankier zasiadł przy biurku.

W godzinie, oznaczonej na śniadanie, Gerard wyszedł, chcąc jaknajprędzej zająć się przygotowaniami do podróży i udał się do swego mieszkania, położonego w pobliżu domu bankowego, gdzie kazał sobie podać walizy indjaninowi, pełniącemu obowiązki służącego.

— Otóż nareszcie i szczęście przedemną, które mnie poprowadzi na najwyższy stopień wielkości, wołał z radosnym upojeniem. Pragnę milionów Edmunda Beraud i mieć je muszę... mieć będę! O! ty naiwny Mortimerze, dodał z uśmiechem, posyłasz mnie do Londynu do swego biura handlowego, jakie nigdy mnie nie zobaczy! Jadę do Paryża bo tam mnie oczekuje wielkość... majątek. Kładąc ubranie w walizę, Gerard przerwał to zajęcie na chwilę i rozmyślać począł. W Paryżu jednak, wyszepnął z cicha, zanim pochwycę tę wielką sumę, na prowadzenie o nią walki, potrzeba mi będzie pieniędzy. Oczekują mnie wielkie wydatki, jeżeli pragnę zapewnić zwycięstwo memu przedsięwzięciu. Pieniądz jest nerwem wojny! Zobaczymy zatem jakiej cyfry dosięga mój zasób monetarny.

I otworzywszy szufladkę w biurku na klucz zamkniętą, dobył z niej szkatułkę, z której wysypał na stół pieniądze. Do garści złota i kilku bankowych biletów, dołączył to co otrzymał obecnie i wszystko przerachował. Ogół wykazał dwadzieścia dziewięć tysięcy franków.

— Dwadzieścia dziewięć tysięcy franków, powtórzył, kładąc banknoty i złoto w szkatułkę i umieszczając ją w szufladce biurka, wystarczyć to powinno do chwili,

w której położę rękę na czterystu siedemdziesięciu tysiącach franków jakie Edmund Beraud wiezie przy sobie. Później przybędą miliony!... Nie chodzi mi o ich inkasowanie, ale na teraz o otrzymanie czeku, podpisanego przez Mortimera, mego wielce szanownego pryncypała, i mieć go będę!

Tu zapiął walizę, a po otrzymaniu z kasy swej pensji za miesiąc ubiegły, udał się na wybrzeże Gangesu, aby zamówić miejsce dla siebie na statku w biurze żeglugi.

Jeden z okrętów miał wypłynąć nazajutrz rano o ósmej godzinie. Zapisawszy się nań jako pasażer, zapłacił za miejsce, poczem powrócił do biura bankierskiego.

Mortimer wyjechał na dzień cały, co pozwoliło sekretarzowi rozporządzać wszechwładnie gabinetem swego pryncypała. Przeszukał starannie szufladki biurka, przeznaczonych do jego osobistego użytku, związał w paczkę papiery i różne notaty, do których dołączył pewną liczbę blankietów listowego papieru i kopert firmowych bankierskiego domu: „Jan Mortimer i Spółka“. Następnie umieścił z przezornością w portfelu własnoręczne pokwitowanie Edmunda Beraud z odbioru milionów wydane bankierowi, które to pokwitowanie, jak wiemy, miał oddać kasjerowi.

Ten kwit był mu potrzebnym dla wystudjowania w wolnej chwili podpisu kupca djamentów.

Ukończywszy to wszystko, czekał powrotu Mortimera aby go pożegnać i odebrać od niego ostatnie polecenia wraz z listem do dyrektora banku w Londynie, z listem jakiego nigdy oddać nie miał zamiaru.

Mortimer ukazał się nareszcie. List był gotowym. Oddał go Gerardowi z zapytaniem.

— Zatem wyjeżdżasz jutro z rana?

— Tak, panie... o ósmej godzinie!

— Pozostaje mi więc tylko życzyć ci szczęśliwej podróży, podziękować za nowooddaną mi przez ciebie usługę i upewnić cię, o czem nie wątpisz, jak sądzę, że możesz liczyć na pomoc z mej strony zawsze i w każdym wypadku.

— Jestem o tem przekonany, a wdzięczność dorównywa mojej ufności.

— Pamiętaj napisać do mnie, skoro tylko staniesz w Londynie.

— Przyrzekam to panu, i z rozkoszą słowa dotrzymam.

Bankier uścisnął życzliwie rękę sekretarza, poczem oddalił się Gerard.

Wszystko do jego podróży już było przygotowanem, potrzebował jedynie wyekspedjować do biura transportów, swe niezbyt liczne bagaże, czem zajął się jego służący, indjanin.

Zostawił do zabrania przy sobie jedynie torebkę skórzaną, w jakiej umieścił papiery i pieniądze.

Późno w noc udał się na spoczynek, lecz nie po to by zasnąć, czuł bowiem dobrze, że sen ucieka mu z powiek, ale położył się dlatego, aby ściślej ułożyć swe plany, rozpatrzyć słabe ich strony i zdecydować wykonanie. Zadrzemnął ledwie na parę godzin, poczem wyskoczywszy z łóżka równo ze dniem, zaczął się śpiesznie ubierać i wyszedł z mieszkania, aby doń nie wrócić już więcej.

Idąc ku wybrzeżu, wstąpił do kawiarni na śniadanie i przed siódmą stanął po nad Gangesem, gdzie czuwał nad przenoszeniem swoich pakunków, na okręt, jaki miał go unieść w dal od Kalkuty.

Godzina odjazdu nadeszła.

Gerard przy wsiadaniu na okręt, spostrzegł Edmunda Beraud, spieszącego szybkim krokiem na wybrzeże z walizką w rękę.

Traf łączył go w podróży z człowiekiem, którego majątku pożądał chciwie, a tem samem zagrażał i życiu jego. Dziwny ów zbieg losu, niepodobał się sekretarzowi. Przeklinając owo spotkanie, wcisnął się w kąt okrętu po za stos bagażów, ażeby zostać niedostrzeżonym. Natychmiast po przybyciu milionera odjęto kotwicę i statek wypłynął. Była to wielka barka mająca około piętnastu metrów długości, a pięć szerokości. Mogła pomieścić około sześćdziesięciu pasażerów. Ośmiu wioślarzów w ruch ją wprowadziło.

W dopłynięciu Gangesem do morza, wiatr pomyślny pomagał czarnym indyjskim wioślarzom; potrzebowali na to około czterech godzin czasu.

Barka przybyła na godzinę przed wypłynięciem okrętu z morskimi posyłkami, który to okręt pełnił regularną służbę, między Kalkutą, Pondichery i Ceylonem.

W Ceylonie to właśnie Gerard postanowił wsiąść na statek, płynący do Hawru, Tulonu albo Marsylji.

Edmund Beraud, płynął tym samym okrętem, co sekretarz Mortimera i w trzy dni później wylądowali razem obadwaj w Ceylonie, gdzie musieli czekać do dnia następnego na odpłynięcie drugiego okrętu.

Gerard nocował w tymże samym hotelu co kupiec djamentów i obaj nazajutrz płynęli znów tymże samym okrętem.

Były sekretarz Mortimera zmienił ubranie, i o ile można starał się zmienić swą fizjonomię, ku czemu posiadał właściwy sobie talent aktorski. Prócz tego, wiedziony przezornością, kupił sobie bilet do drugiej klasy, aby uniknąć zetknięcia się z kupcem djamentów, który jechał pierwszą. Obaj zatem spotkać się z sobą nie mogli ani na pokładzie, ani przy obiedzie, czego właśnie unikał Gerard, nie tracąc mimo to z oczu ani na chwilę swego towarzysza podróży.

Okręt zatrzymał się w Obock nareszcie, przy ujściu Suezkiego kanału. Gerard, zajrzawszy w notatki przez siebie spisane, podczas gdy Beraud rozmawiał z Mortimerem, upewnił się, że Obock było pierwszą stacją, w jakiej zatrzymał się Beraud przed podróżą do Francji. Drugą jego stacją, miało być Port-Said, gdzie rzeczywiście był sekretarz spostrzegł wysiadającego miljonera, Gerard mógł teraz odbywać swobodnie swą podróż.

Pozostawiwszy go w tej morskiej wędrówce, oczekiwać będziemy na niego w Tulonie, gdzie przybył okręt z morskimi posyłkami we dwadzieścia siedem dni po wypłynięciu z Kalkuty.

Gerard, spiesząc się do Paryża, kilka godzin tylko zabawił w Tulonie, by spocząć nieco po tak utrudzającej podróży.

Nazajutrz opuściwszy hotel, gdzie się zapisał pod przybranem nazwiskiem, udał się na stację drogi żelaznej wraz z posłańcem, niosącym jego bagaże.

Pociąg do Paryża, idący przez Marsylję, wyjeżdżał o czwartej minut pięćdziesiąt, a przybywał nazajutrz o dziesiątej z rana. Były sekretarz Mortimera, kupiwszy bilet do pierwszej klasy, wszedł do wagonu z torebką w rękę, w którego przedziale sam tylko się znalazł.

Maszyna świsnęła.

Pociąg wyruszył, przebiegłszy w godzinę minut czterdzieści, siedmdziesiąt kilometrów, dzielących Tulon od Marsylji, w którym to mieście odczepiono wagony drugiej klasy, zakładając w ich miejsce wyłącznie tylko pierwszo klasowe.

Siedząc, a raczej leżąc na miękkiej kanapie w swoim przedziale, Gerard, podczas, gdy zmieniano wagony, palił doskonale cygaro, marząc o olbrzymim swym przedsięwzięciu, jakie w krótkim czasie dokonać postanowił, i nie wysiadał wcale na owym przystanku, trwającym dwadzieścia pięć minut.

## V.

Pozostawiwszy go w wagonie, zwróćmy się do sali poczekalnej na stacji w Marsylji.

Była godzina szósta.

Od dziesięciu minut pociąg znajdował się na torze.

Liczni podróżni dnia tego, tłoczyli się przy kasie, kupując bilety, oddając bagaże, przebiegając gorączkowo przez sale poczekalne, z których drzwi otwierano na plant kolejowy.

Dwie młode kobiety, z których jedna mogła mieć lat około dwudziestu sześciu, druga ośmnastoletnia za ledwie, zbliżyły się do okienka kasy.



Starsza, mimo nadzwyczajnej skromności w zachowaniu się, zwracała na siebie uwagę swoim ubiorem zakonnym, jaki noszą siostry św. Wincentego á Paulo.

Zaądała dwóch biletów pierwszej klasy do Paryża. Jej towarzyszka trzymała w ręku małą walizkę z czarnej skóry, nader elegancką, z pośrebrzanemi zamkami. Po otrzymaniu biletów odeszły obie, ustępując miejsca innym pasażerom. Zakonnica wzięła walizkę z rąk młodego dziewczęcia mówiąc do niej:

— Trzeba pójść zapisać nasze bagaże, droga Anielko. Spieszmy się, inaczej bowiem możemy nie znaleźć miejsca w damskim przedziale, a bardzoby mi było przykro podróżować wraz z tobą w wagonie nie rezerwowanym

Tu obie kobiety zwróciły się w stronę biura pakunków.

Siostra Marja, tak bowiem nazywała się zakonnica, wskazała bagaże, które natychmiast pod jej nadzorem zważono. Odebrawszy kwit, wyszła wraz ze swą towarzyszką na plant kolejowy, szukając wzrokiem damskiego wagonu.

Nieszczęściem, młode podróżne przybyły za późno. Wszystkie miejsca w damskich przedziałach były już zajęte. Konduktor zamykał drzwiczki wagonów, dając znak do odejścia pociągu.

— Pośpiesz się, siostrze, rzekł, uchylając czapki przed zakonnica, czas nagli. Wyruszamy natychmiast. Oto wygodny wagon, dodał, wskazując, jeden w nim tylko pasażer, człowiek nader przyzwoity z pozorów, będzie ci tu dobrze!

Tu otworzył drzwiczki wagonu, w którym siedział Gerard. Były sekretarz Mortimera spojrział na dwie wsiadające podróżne, oblicze młodszej wywarło na nim silne wrażenie.

— Jakież zachwycające dziewczę! pomyślał, czemu nie towarzyszyła mi z Marsylji do Paryża. Gdybym jednak pragnął zacząć z nią rozmowę, nie dopuści tego zakonnica. E! postępując z taktem, rozumnie, trudność zwyciężyć można.

I zerwawszy się, podał rękę aby dopomódz wsiąść przybyłym.

Młode dziewczę, nazwane przez towarzyszkę Anielą, wsiadło pierwsze, wspierając lekko swą drobną rączkę na podanej sobie dłoni Gerard'a.

— Dziękuję, rzekła, wchodząc do wagonu.

Gerard pochylił się powtórnie, nie ośmielając się jednak podać ręki zakonnicy, której przyjąć nie dozwoliłaby jej może reguła, rzekł tylko uprzejmie:

— Racz podać mi, siostrze, swój podróżny kuferek, łatwiej wsiąść ci przyjdzie.

Siostra Marja, podawszy młodzieńcowi walizkę, wsiadła do wagonu, którego drzwi bezzwłocznie zamknięto.

Obie kobiety umieściły się w dwóch przeciwnych rogach temu, jaki zajmował były sekretarz Mortimera.

Kilka sekund upłynęło, gdy świstawka gwizdnęła, zahuczła para w maszynie, stuknęły koła wagonów i pociąg ruszył do Paryża.

Gerard dobył z kieszeni książkę, i czytać ją zaczął, czyli raczej udawał, że czyta, gdyż jego oczy nawpół przymknięte, zwracały się bezustannie z kart książki

na obie towarzyszki podróży, prowadzące z sobą cichą rozmowę.

Aniela, jak oznajmiłszy powyżej, liczyła zaledwie lat ośmnaście. Miała postać wiotką i kształtną, twarz białą jak lilja, przy blado-różowej barwie policzków i karminowych usteczkach. Długa frendzla jasno blond włosów, okalała jej urocze oblicze, oświetlone dwojgiem śmiejących się oczu ciemnolazurowych. Zdawała się być szczęśliwą i z życia zadowoloną. Kostjum podróżny z ciemno-popielatego materiału okrywał zgrabną jej kibić. Drobne rączęta obciśnięte w ciemne rękawiczki, zachwycały swoją małością. Piękne to dziewczę zwracało pomimowolnie na siebie uwagę, nie dziwno przeto, iż i na Karolu Gerard wywarło żywe wrażenie.

Zajęcie to jego wzrastało z każdą chwilą. Im dłużej sekretarz Mortimera wpatrywał się w młodą towarzyszkę podróży, tem silniejszym uczuwał się być owładnięty czarem.

— Jakież zachwycające to dziewczę! pomyślał, przykuwa do siebie pomimowolnie. Jej idealnie piękne oblicze nie zatrze się nigdy w mojej pamięci. Dlaczegoż nie miałbym dowiedzieć się kto ona jest i starać się zbliżyć do niej? Być może iż ona zarówno jedzie do Paryża? Jeżeli tak, wynajdę sposób, aby jej z oczu nie stracić. Do czego mnie to jednak doprowadzi? Ha! doprowadzi tam, dokąd dojść pragnę! odrzekł sam sobie. Z majątkiem, jaki wkrótce zdobędę, niema niepodobieństwa! Najtwardsza cnota kapituluje przed miljonami! Chcieć mi jedynie potrzeba, a cały Paryż po-

dziwiac będzie to śliczne cacko, mnie tylko oddane. Obecność tej zakonnicy krzyżuje mi jednak me plany, inaczej starałbym się niezwłocznie z tem pięknem dzieckiem zawrzeć bliższą znajomość.

Tak rozmyślając, Gerard spojrzął po raz pierwszy z uwagą na postać siostry miłosierdzia.

Zakonnica jak wspomnieliśmy, miała około lat dwudziestu sześciu. Równie piękna jak jej towarzyszka, posiadała rysy twarzy rzadkiej regularności. Przepaska śnieżysto-biała zachodząca aż po brwi, ukrywała włosy o ciemnej barwie zapewne, sądząc po złotawej cerze jej oblicza. Wielkie ciemno-błękitne oczy, o głębokim jak morze spojrzeniu, wyrażały wysoką inteligencję wraz z silną wolą i niezrównaną słodyczą charakteru. Drobne usta, czysto zarysowane, z nieco grubszą wierzchnią wargą, oznajmiały dobroczynność, litość i miłosierdzie dla wszelkiego cierpienia. Otoczona cieniem śnieżystego welonu o szerokich skrzydłach, twarz siostry Marji przypominała jedną ze świętych dziewic Rafaela. Długie, delikatne, arystokratyczne jej ręce, nie odziane rękawiczkami były przejrzysto-białymi.

— Uroczo piękna zakonnica! pomyślał Gerard. Można by sądzić, iż to jakaś mniszka z szesnastego wieku, zbiegła z którego z klasztorów Italji. Nie ona to mnie jednak zajmuje! Lecz co ona znaczy przy tem jasnowłosem dziewczęciu. Jest że jej krewną, przyjaciółką, lub tylko dozorczynią? Dziewczę to, ukończyło pensję bezwątpienia. Widocznie była wychowaną w klasztorze, łatwo to odgadnąć i jedna z sióstr zakonnych odwozi ją rodzinie. Czy jednak ta rodzina mieszka w Paryżu?

Obie kobiety rozmawiać z sobą nie przestawały.

Gerard zagłębiwszy się pozornie w czytaniu, nad-  
słuchiwał z uwagą. Mimo, iż mówiły z sobą bardzo  
cicho, pochylona jedna ku drugiej, miał nadzieję, iż  
pochwycić zdoła może jakiś urywek rozmowy, który  
go objaśni w tem, o czem dowiedzieć się pragnął.  
Niekóre zdania w przelocie go dobiegły.

— O której godzinie przybędzie pociąg do Paryża?  
pytała Aniela.

— O dziesiątej, minut dziesięć, odpowiedziała za-  
konnica.

— Zatem jutro rano uściśniemy mojego ojca.

— Tak... drogie dziecko.

Spojrzenie Gerarda radością zabłysło. Obie podróżne  
jechały do Paryża.

— Piętnaście dni nieobecności w domu, mówiła  
dalej Aniela, pomyśl kuzynko, jak to czas długi, do-  
dawszy, że u naszej ciotki w Marsylji nie było wcale  
wesoło.

— O! to przezacna kobieta!...

— Nie przeczę, ale wiekowa i pełna dziwactw. Gdy-  
bym ciebie nie miała przy sobie, kuzynko, zanudziła-  
bym się tam na śmierć, jestem tego pewną!

— Jesteś niesprawiedliwą, Anielko, nasza ciotka sta-  
rała się o ile mogła nas rozweselić.

— To prawda. Nie czynię jej też zarzutu bynajmniej  
w tym razie. Nie jej to wina, że nuda tak mnie stra-  
szliwie tam ogarnęła... ach! nuda ciężka... do niezwal-  
czenia, śmiertelna.

— Nie pojmuję dla czego tak się tam nudziłaś? pytała zakonnica z uśmiechem.

— Dlaczego? rzecz prosta i jasna. Wszak wiesz, kuzynko, o ile kocham nasz Paryż. Jestem paryżanką ze krwi i kości, i w tym to tylko rodzinnym mym mieście żyć i oddychać mogę pełnemi płucami. Nie potrafiłabym istnieć gdzieindziej!... Nie wyobrazisz sobie, o ile jestem szczęśliwą znajdując się u siebie, w domu mojego ojca, patrząc na ów ruch bezustanny, na tych ludzi idących i wracających. Tęskno mi było za moją ulubioną przechadzką do Bulońskiego lasku, którą przekładałam nad wszystko na świecie! Czy nie podzielasz mojego zdania, kuzynko, że w Paryżu jedynie szczęśliwą być można?

— Co do mnie, odparła siostra Marja, wszędzie gdziekolwiek się znajduję, czuję się zarówno szczęśliwą.

— Tak, ponieważ żyjesz na ziemi, lecz nie dla ziemi, oderwana od wszelkiej nizkości i kochająca tylko dobrego Boga. Świat pożegnałaś z wszelkiemi jego ułudami, utworzywszy sobie pustelnię wśród tłumów. W twym wieku, siostró, bardzo to pięknie! Wierzaj mi, ja to uwielbiam, lecz naśladować ciebie nie miałabym odwagi.

— Nie zasługuję na uwielbienie, odparła poważnie zakonnica; żyjąc, jak żyję obecnie, idę tylko za głosem mego powołania. Modlić się, pielęgnować chorych, nieść pomoc biednym, pociechę tym, którzy cierpią, to dla mnie jest wszystkiem... Nie widzę dla siebie wyższego szczęścia! Ach gdybyś wiedziała, jaka rokosz napęlnia

me serce, jaka nadziejska radość unosi duszę, gdy które z tych biednych dzieci ludu przychodzi mi dziękować i ze łąą wdzięczności śle w niebo spojrzenia! Lud ten jest dobrym, kocham go... kocham wszystkich moich ubogich! I zdaje mi się, że wszelka inna egzystencja, przeciwna mojej, jest próżną, życiem bezpożytecznem, dającym jedynie gorycz i zawody! Zapomnieć o sobie, a myśleć jedynie o drugich, to, według mnie, tylko jest życiem! A to życie naówczas jest tak pełnem rozkoszy, iż proszę Boga, by mi je zachował na długo, abym wraz z memi siostrami pełnić mogła dalej dzieło miłosierdzia.

— Tak, siostró Marjo, odrzekła Aniela, twa egzystencja jest jednym zaparciem się siebie, jednym poświęceniem. Piękne to... godne uwielbienia, podziwu... Daremnie powtarzać mi będziesz, iż tobie się to wydaje tak prostą i zwykłą rzeczą. Nie! ja nie mogę przestać cię wielbić, bo wierzaj mi, trzeba nadludzkiej siły, by w młodym wieku, bez skargi, bez żalu, wyrzec się wszelkich nadziei i radości tego świata.

— Nasze radości i nadzieje są tam... wyżej... i dalej!...

— Zatem wkrótce po naszym przyjeździe do Paryża, wrócisz kuzynko do klasztoru?

— Nie zaraz; pozostanę jeszcze czas jakiś przy tobie, ukochana. Zwolniono mnie ze szpitala, gdzie dotąd służbę pełniłam. Wakacje jakich mi udzielono dla odwiedzenia ciotki w Marsylji, nie ukończyły się jeszcze. Będąc z odwiedzinami u przełożonej, dowiem się, gdzie mnie nadal przeznaczają.

— Poślą cię zapewne do innego szpitala.

— Pragnęłabym tego, ale spodziewać się nie śmiem. Wkrótce mają nas podobno z posług szpitalnych usunąć zupełnie, mimo oporu lekarzy i błagań chorych, którzy nas tak kochają. Dlaczego? nie wiem. Naszym jedynym celem jest przynosić ulgę nędzom ludzkości, a te nędze, och! droga Anielo, są one tak strasznemi, że przerażają do głębi. Aby je dobrze poznać i zbadać tych, którzy je w sobie ukrywają, trzeba przypatrzeć się im zbliska. Ach gdybyśmy mogły ukoić wszystkie rozpaczę, otrzeć łzy wszystkim nieszczęśliwym. Co poznać jednak gdy nas od tego usuwają, mimo, iż, Bóg świadkiem, jedynym naszym celem miłosierdzie! Tak, pragnęłabym zostać nanowo przeznaczoną do szpitala, nie śmiem jednakże w to wierzyć.

— Mogliby cię kuzynko w szkole umieścić?

— I temu rada byłabym bardzo. Jest to piękne, szlachetne zadanie, przygotowywać dzieci na ucziwych ludzi, tworzyć z dziewczątek dla przyszłości zacne matki rodzin. Tak... bo po Bogu, jedno jest tylko, rodzina!... wszystko zresztą jest niczem!

— Ach jednej rzeczy tylko się obawiam, zaczęła Aniela po chwili.

— Czego takiego?

— Ażeby nie wysłano cię, kuzynko, na prowincję, bo w takim razie musiałybyśmy się z sobą rozłączyć!

— A jednak potrzeba nam przygotować się na to rozłączenie, które nastąpi rychlej lub później, odpowiedziała zakonnica. Uczyniłam ślub posłuszeństwa, pojedę, gdzie mi rozkażą.

— Lecz przynaj, że to nie nastąpi bez żalu.



— Z żalem za tobą tylko jedynie.

— Na myśl o tem naszym rozłączeniu serce mi się ściska, a oczy łzami zachodzą, mówiło dziewczę ze wzruszeniem.

— Przyjedziesz mnie odwiedzić.

— Och! często, często przyjeżdżać będę. Sercem i duszą będę przy tobie, kuzynko!

Tu pociąg bieg zwolnił; wjeżdżano na stację Tarascon. Obie kobiety przerwały rozmowę.

Mimo, że mówiły one cichym głosem, a drżenie wagonu na relsach przytłumiło dźwięk ich wyrazów, Gerard, dzięki ostremu swemu słuchowi, pochwycił całą prawie rozmowę, tracąc z niej zaledwie słów parę. Wiedział, że obie podróżne były kuzynkami, że siostra miłosierdzia nazywała się Marją a młode dziewczę Aniłą.

Dowiedział się, że bawiły przez dwa tygodnie u swojej ciotki w Marsylji, oraz, że zakonnice miano przenieść do innego szpitala lub szkoły, jak również, że uroczą, młoda blondynka jechała do swego ojca, zamieszkałego w Paryżu, że lubiła życie światowe, Paryż, który przekładała nad jednostajność prowincji.

Wszystko to jednak nie objaśniało jeszcze dokładnie Gerarda, do której z warstw społecznych należały obie kobiety?

Rodzina Anieli była bogatą, łatwo to odgadnąć się dawało, lecz czy ta rodzina była mieszczańską, kupiecką, lub należała do arystokracji finansowej, o tem dowiedzieć się pragnął.

Piękność młodego dziewczęcia czarowała go, dziwne, nieznane dotąd wywierając na nim wrażenie. Nie-

jednokrotnie doznawał on już tkliwszych uczuć miłości, nigdy dotąd jednakże nie czuł się tak głęboko wzruszonym, słowem uwieczonym, pojmanym i onieśmielonym wobec kobiety.

Powiedzmy otwarcie to, czego nie śmiał sam wyznać przed sobą, że uczuł rodzącą się w swem sercu jedną z owych gwałtownych miłości, przeciwko którym walka staje się niemożliwą.

Przeciwnie zaś zakonnica, którą znajdował bardzo piękną, budziła w nim wstręt z pewnym rodzajem trwogi.

— To fanatyczka! mówił sobie; za wiele w niej li-  
tości, za wiele poświęcenia, cnoty za wiele. Wszystko to mi się niepodoba. Ta kobieta jest to wcielony anioł dobrego, gdy ja przeciwnie. Śmiesznem byłoby doprawdy, gdyby nam kiedy przyszło rozegrać jaką partję pomiędzy sobą... Ha! ha! anioł z szatanem... Lecz to nie nastąpi... Nie! Ona żyje zdala od świata, z kąd więc moglibyśmy spotkać się z sobą na drodze życia? Za przybyciem do Paryża, wspólnego celu podróży, mamże śledzić to dziewczę, rozmyślał Gerard, lub też, porzucawszy o niej wspomnienie, iść zakreśloną drogą dla zdobycia milionów?

To ostatnie zdawało mu się o wiele praktyczniej-  
szem ze względu osobistego interesu; lecz dla czego nie mógłby jednocześnie zawiązać miłosnej intrygi obok strasznego dramatu, jaki w jego mózgu dojrzewał?

Ów dramat w pierwszej chwili zajmie mu pewną część życia; osiągnąwszy wszelako upragnionego celu, odda się miłości całkowicie, a wtedy to piękne dziewczę do niego należeć będzie.

Człowiek, któremu miliony nadają potęgę bez granic, zwalczy opór wszelki. Jego wysokość pieniądza nie jestże panem świata?

Gerard wierzył w siebie, w swą zręczność i swą zuchwałość... Zakreśliwszy sobie cel jakiś, nie wahał się iść śmiało naprzód ku niemu, zamykając oczy na wszelkie złe strony swych planów.

Postanowienie, powzięte przezeń w Kalkucie, daje nam tego dowody. Powiedział więc sobie, że po kilku godzinach wspólnej podróży, wynajdzie sposób przełamania lodów i rozpoczęcia rozmowy z dwiema swojemi towarzyszami.

Szukał tego sposobu.

Kilka słów małoznaczących zostało wymienionemi zdaleka, odnoszących się do spuszczenia lub podniesienia szyby w wagonie. Wyrazy te jednak nie doprowadziły go do upragnionego rezultatu. Próbował więc zręcznie rozmowy o przedmiotach, zwykłych, banalnych.

Aniela, niedoświadczoną dziewczę, żywe i pełne ufności, chętnie odpowiadała na słowa towarzysza podróży, siostra Marja jednakże okazywała się obojętną, zamkniętą w sobie i baczną, mimo, iż uznawała, że ów podróżny zdawał się być człowiekiem z wyższego świata, dobrze wychowanym.

Aniela stosowała więc swe zachowanie się do postępowania kuzynki, powściągliwiej odpowiadała na zapytania, mimo czego Gerard nie uznawał się za zwalczonego.

Noc wreszcie nadeszła.

Aniela, zdjawszy z głowy swój mały kapelusik, o-

toczyła błękitną gazową woalką bujne swe blond włosy i wsparłszy się na aksamitnej poduszce wagonu, wkrótce zasnęła.

Nie uczyniła tego zakonnica. Czuwała bez przerwy noc całą, podczas gdy jej usta z cicha się poruszały a palce przesuwały ziarna hebanowego różańca, okręconego wokoło jej ręki.

## VII.

Skoro tylko dzień zabłysnął, co wcześniej nastąpiło, jak zwykle w pierwszych dniach maja, Aniela się przebudziła, a wyjąwszy z kieszeni małe lusterko, uporządkowała swe włosy, rozrzucone w nieładzie i wdziała swój kapelusik.

Pociąg dojeżdżał do stacji Dijon.

— Możebyśmy wyszły do bufetu? zapytała kuzynki.

— Jesteś głodną? odrzekła siostra Marja z uśmiechem.

— Zbyt głodną nie jestem. Chętniebym jednak wypiła filiżankę bulionu lub czekolady.

— Mało nam na to czasu pozostaje, pociąg zatrzymuje się tu tylko przez dziesięć minut.

Aniela chciała coś odpowiedzieć, gdy Gerard, korzystając z pomyslniej dla siebie sposobności, odrzec pospieszył:

— Jeżeli panie pozwolą, ja pójdę do bufetu i przynieść rozkażę, co panie żądają...

— Wdzięczne jesteśmy za pańską uprzejmość, odpowiedziała zakonnica, lecz proszę, nie zadawaj sobie trudu.

— Racz pani przyjąć mą prośbę, począł na nowo Gerard, wszakże to dla mnie jako dla mężczyzny, drobnostka, podczas gdy damie wysiadać i wsiadać jest rzeczą nader kłopotliwą. Przyjm pani moją ofiarę, nalegał dalej, będę szczęśliwym, myśląc, iż małą ową przystugę dla pań z mej strony, wyświadczy ktoś wzajem mej matce lub siostrze, gdyby kiedyś znalazły się same w podróży.

Aniela spojrziała na swą kuzynkę, a to spojrzenie jej mówić się zdawało: Dlaczego odmawiasz?

Ofiara była wygłoszoną przez Gerarda w nader zniewalających wyrazach. Tak powierzchowność, jak i całe jego zachowanie, zdradzały w nim człowieka z wyższego świata, siostra Marja więc pomyślała, że należy jej nieco powściągnąć swą zimną obojętność, nie okazując jednak nazbyt tej zmiany.

— Pragnęłybyśmy korzystać z pańskiej grzeczności, odpowiedziała, lecz w tych bufetach dają zwykle gorące bardzo napoje, zbraknie nam czasu do ich ochłodzenia. Racz więc pan, jeśli wysiądziesz, przysłać nam kilka ciastek.

— Pozwól mi pani jednak dołączyć do nich maleńki flakonik malagi, dodał z uśmiechem.

Dziewczę jednocześnie dobyło portmonetkę z kości słoniowej w srebro oprawną, a wyjąwszy z niej złoty pieniądz, podało takowy uprzejmemu towarzyszowi podróży.

Gerard wziął luidora.

Maszyna świsnąwszy zwolniła biegu, dojeżdżano do stacji. Skoro się pociąg zatrzymał, były sekretarz z Kal-

kuty, otworzywszy drzwi wagonu, na plant wyskoczył, a pobiegłszy do bufetu, wybrał dwanaście najsmaczniejszych ciastek, dołączył do takowych flakon malagi, wraz z maleńkim kieliszkiem kryształowym, sam zjadł pasztecik, popił szklanką wina Porto i z temi wszystkimi pakunkami wrócił do wagonu.

Przysługa jaką wyświadczył, winna była według niego zawiązać ściślejszą znajomość pomiędzy nim a dwiema towarzyszkami podróży.

Mylił się jednak.

Zakonnica wraz z młodem dziewczęciem uprzejmie podziękowały za grzeczność i na tem skończyło się wszystko. Rozmowa nie zawiązała się już powtórnie.

Kilka słów, wymienionych w drodze pomiędzy Dijon a Paryżem, o niczem go nie powiadomiły.

W obec tak silnego przeciwnictwa, przeklinał w duszy siostrę Marję.

— Czart chyba wniósł tu tę bigotkę, powtarzał w myśli. Gdyby nie ona, otrzymałbym już mnóstwo zwieżeń od tej uroczej blondynki. Nie uznaję jednak za zwalzonego. Muszę dowiedzieć się, kto jest to piękne dziewczę, które do tego stopnia zawróciło mi głowę.

Pociąg szedł ze zwykłą szybkością. Z Laroche do Paryża nie zatrzymywał się wcale. O oznaczonej godzinie przybył na stację w Paryżu. Gerard wyskoczywszy z wagonu, podał rękę Anieli, aby dopomódz jej wysiąść, jak to w Marsylji uczynił.

Dziewczę, podziękowawszy oddało też przysługę swej towarzysze i obie weszły na salę, dążąc ku wyjściu.

Szły bardzo prędko. Gerard postępował za nimi.

— Wsiądą do powozu, bezwątpienia, wyszepnął. Posiadam słuch dobry, zapamiętam adres, jaki wskażą woźnicy i według tego dalej mój plan ułożę.

Nagły, niespodziewany wypadek pomieszał jego zamiary.

Tuż przy drzwiach wyjścia, prawie na progu sali, ukazał się mężczyzna około pięćdziesięciu sześciu lat mieć mogący, eleganckiej powierzchowności, nader wytwornie ubrany.

Spostrzegłszy go, Aniela wydała okrzyk radosny.

— Ojciec... mój ojciec! wołała, rzucając się z dziecięcą żywością w jego objęcia.

Po mnóstwie uścisków, ojciec pięknej blondynki zwrócił się z powitaniem do zakonnicy i wyprowadził obie na zewnątrz.

Wytworne lando, zaprzężone w parę prześlicznych anglo-normandów, oczekiwało przed stacją; obok landa stał mały omnibus familijny z temiż samemi co lando na drzwiczkach inicjałami.

— Daj mi kuzynko, kwit od swoich bagażów, rzekł ojciec Anieli do zakonnicy; omnibus na nie czeka. Jan zajmie się ich odbiorem i przywiezie do pałacu. My jedźmy naprzód, nie tracąc chwili. Śniadanie na was oczekuje.

Siostra Marja podała kwit swemu wujowi, który kolejno oddał go służącemu z rozkazem odebrania bagażów i przywiezienia ich, poczem połączywszy się z dwiema przybyłemi, wsiadł wraz z niemi do powozu.

Gerard stojąc nieruchomy na najwyższym stopniu schodów, wszystko to widział i słyszał.

Gdy lando ruszyło z miejsca, uwożąc obie kobiety, Aniela, siedząca na przedzie, rzuciła okiem w stronę stacji. Były sekretarz Mortimera pozdrowił ją ukłonem. Dziewczę oddało mu ukłon skinieniem głowy.

— Komu się kłaniasz? zapytał ojciec, spostrzegłszy ruch dziewczęcia.

— Temu panu, którego widzisz ot! tam, ojcze, stojącego na schodach.

— Naszemu towarzyszowi podróży, dodała zakonnica.

— Człowiek to niezmiernie grzeczny, uprzejmy, dorzuciła Aniela.

— Nieco nazbyt jednak ciekawy i gadatliwy, odezwała się siostra Marja. Gdyby tak moje, jak i Anielki zachowanie się nie było mu nakazało powściągliwości, jestem pewną, że okazałby się bardziej poufałym, aniżeli pozwala na to przyzwoitość towarzyska.

— Jam tego nie zauważyła, odparła wesoło Aniela. Wydał mi się on zupełnie na swoim miejscu. W podróży wolno przecie porozmawiać z osobami, które nam nie były przedstawionemi. To bawi... rozrywa.

— Bądź ostrożną, moje dziecię, zaczął, śmiejąc się żartobliwie, ojciec Anieli.

— Dlaczego?

— Rozrywki podobnego rodzaju mogą być kompromitującemi. Taki towarzysz podróży, wyglądający przyzwoicie z pozoru, zdaje się być dobrze wychowanym. Poczyna rozmowę, odpowiada mu się. Z tych kilku słów zamienionych obojętnie, wynika bliższa znajomość. I jest się zmuszoną bądź na bulwarach, bądź w teatrze, przyjąć i oddać ukłon nawzajem jakiemu ryce-



rzowi przemysłu zaufkowego.

— Twój ojeiec ma słuszość, rzekła siostra Marja, mówi to właśnie, o czem ja myślałam.

Po tych słowach rozmowa przeszła na inny przedmiot i zapomniano zupełnie o towarzyszu podróży.

Gerard jednakże nie zapomniiał Anieli. Gdy uwożący ją powóz zniknął mu z przed oczu, zeszedł ze schodów, a spostrzegłszy lokaja, stojącego przy omnibusie, w którym pakował bagaże, podszedł ku niemu, postanawiając w jakikolwiekby sposób dowiedzieć się, kto była owa uroczą blondynka.

— Słuchaj no, mój przyjacielu! rzekł do służącego.

— Co pan rozkaże?

— Udzielisz mi małe objaśnienie.

— W czem takim?

— Wszak się nie mylę, że ów mężczyzna, który ci oddał kwit na te bagaże i odjechał powozem w towarzystwie młodej panienki i zakonnicy, jest panem baronem de Borny, deputowanym, mieszkającym przy ulicy Bourbogne nr. 28?

— Ależ bynajmniej, odparł służący z uśmiechem, mój pan jest podobnym być może do wymienionej przez pana osoby, lecz nie jest on ani deputowanym, ani baronem, ale bankierem. Nazywa się Juliusz Verriere, mieszka pod numerem 54 na bulwarze Haussmana.

Gerard notował w pamięci udzielone sobie objaśnienie.

— Omyliłem się widocznie, odrzekł po chwili; podobieństwo jednak pomiędzy panem Verriere a panem de Borny jest tak wielkie, że każdy z łatwością mógłby

wziąć jednego za drugiego. Dziękuję ci mój przyjacielu i przepraszam.

— Nie nie szkodzi, panie, drobnostka.

Tu Gerard odszedł powtarzając:

— Juliusz Verriere, bankier, bulwar Haussmana, nr. 54. Trzeba to zapisać w notatniku.

I opuścił stację, pozostawiając do dnia następnego odebranie swoich bagażów.

### VIII.

Za przybyciem do Paryża były sekretarz Mortimera miał już plan wytknięty. Postanowił tymczasowo na bok odłożyć miłość dla Anieli Verriere, a zająć się głównym celem swojej podróży.

Gerard, którego przeszłość przedstawimy wkrótce szczegółowo naszym czytelnikom, znał doskonale Paryż i wszystkie jego zakątki. Idąc Liońską ulicą, wszedł do pierwszej jaką napotkał, restauracji, a zbliżywszy się do kontuaru, prosił kasjerki by mu przez chwil parę przechowała walizę, którą trzymał w ręku, poczem zasiadł przy stole, rozkazawszy podać sobie śniadanie.

Był bardzo głodnym; jadł więc żarłocznie, popijając winem Pontet-Canet, następnie zapłaciwszy rachunek, wyszedł, oznajmiając iż powróci na obiad i wtedy zabierze walizę.

Minawszy plac Bastylji, wszedł na ulicę de Tournelles.

— Okręg spokojny, mało uczęszczany, pusty prawie, rzekł sam do siebie, tutaj to trzeba wynaleźć sobie mieszkanie. I zaczął odczytywać karty, powywieszane na bramach.

Osoby, znające dobrze Paryż z jego oddalonymi od środka miasta okręgami, wiedzą, że ulica de Tournelles wychodzi z placu Bastylji i biegnie równolegle z bulwarem Beaumarchais aż do ulicy Saint-Gilles...

Przeszedłszy połowę tej ulicy, Gerard zatrzymał się przed jednym z domów, po nad bramą którego dojrzał tablicę z następującem ogłoszeniem:

Pawilon zaraz do wynajęcia, wraz z pracownią dla artysty.

— Z pracownią? powtórzył; to mi niepotrzebne, lecz nie zaszkodzi zobaczyć. I wszedł.

Ciężka, masywna brama, pokryta sklepieniem, prowadziła na dziedziniec zapełniony w kwadrat budynkami, na których widniały zatarte przez czas, rzeźby i tarcze herbowe. Ów budynek widocznie był niegdyś pałacem jakiejś zamożnej rodziny. Z końcem ubiegłego stulecia zmieniono go na dom mieszkalny, podzieliwszy na drobniejsze apartamenta.

Izba odźwiernego znajdowała się po nad schodami, gdzie właśnie stała w tej chwili żona pomienionego oficjalisty.

— Pan szukasz kogoś w tym domu? zapytała.

— Nie, odrzekł Gerard. Wszak macie pawilon do wynajęcia?

— Tak, panie.

— Jest on niezajętym?

— Od trzech tygodni jest wolnym. Mieszkał w nim poprzednio pewien malarz-artysta, który do Włoch wyjechał. Muszę jednak pana uprzedzić, iż nie jest to zbyt obszerne mieszkanie.

— Ileż pokojów zawiera.

— Cztery wraz z pracownią, i tak: jest sypialnia, pokój jadalny, kuchnia i pracownia, a do tego bardzo ładny ogródek.

Gerard spoglądał badawczo w dziedziniec.

— Lecz gdzież, u czarta, jest ten pawilon? zawołał, nie widzę go wcale.

— Po nad budynkami, tam, w głębi, od strony bulwaru Beaumarchais.

— A! to co innego.

— Jest jeszcze pewien szczegół, nader wygodny dla lokatora.

— Cóż takiego?

— Oto oddzielne wyjście na bulwar, wyjście specjalne dla pawilonu.

— Zatem są dwa wejścia i dwa wyjścia w tem mieszkaniu? Tu... i na bulwar.

— Tak, panie.

— Jakaż cena tego lokalu?

— Rocznie tysiąc dwieście franków.

— To drogo.

— Nie, panie. Gdyby to mieszkanie znajdowało się w innym okręgu miasta, warte byłoby co najmniej trzy razy tyle. Rozkład jest bardzo wygodny. A może pan zechcesz obejrzeć?

— Dobrze, rzekł Gerard.

— Pójdę po klucze i wrócę natychmiast. To mówiąc, odzwierna weszła do izby, poczem w chwil kilka ukazała się z pękiem kluczów w ręku. Tędy panie, wyrzekała, idąc w stronę korpusu, a następnie zwracając

się ku głównym schodom. Minawszy korytarz, otworzyła drzwi, wychodzące na inne schody. Otóż przejście do pawilonu, powtórzyła, zwracając się ku idącemu za sobą Gerardowi. Lokator tegoż posiada wyłączone prawo do tych schodów, od których drzwi są na klucz zamknięte.

Były sekretarz, wraz z odźwierną szli po stopniach na górę. Schody były bardzo ciemne, oświetlało je słabo jedyne okienko, w górze wycięte. Na przedziale drugie drzwi były otwarte, prowadziły one do pawilonu.

Gerard rozpatrywał się bacznie w szczegółach mieszkania, którego okna wychodziły na podwórze.

To podwórze, nazwane ogródkiem, poprzecinane było trawnikami, wśród których rosło kilka krzaków bzu i agrestu.

Pracownia była oświetloną szerokimi oknami. Z tych okien, przez sztachety żelazne, okalające dziedziniec, widać było bulwar Beaumarchais.

— Lecz jak się dostać do owego, jak go pani nazywasz, ogródka, chcąc wyjść drzwiami wychodzącymi na bulwar? zapytał Gerard.

— Prowadzą tam schody, w murze wycięte w jadalni.

— Chciałbym je widzieć.

— Pójdź pan za mną.

Tu zaprowadziła przybyłego na ciemne wąskie schodki, z kilkunastu stopni złożone.

Znalazłszy się na owym podwórku, ochrzczonej nazwą ogródka, Gerard zbliżył się do sztachet, wyjrzał na ulicę, poczem odwróciwszy się, rzucił okiem na fasadę pawilonu.

Budynek ten zdawał się być niejako przyczepionym do muru sąsiedniego domu, muru zczerniałego przez czas, w którym nie znajdowało się ani jedno okno. Gdzieś zdala na dachach widać było jedynie okienka w podstrychowych facjatkach.

Grunt owego podwórza, czyli raczej ogródka, nie miał płaskiej, równej powierzchni. Wznosił się on stopniowo do wysokości bulwaru, do którego dojść również można było kamiennymi schodami, w rogu umieszczonemi.

Gerard poszedł temi schodami i dosięgnął sztachet żelaznych, pokrytych od tej strony gęstą siatką żelazną, dla uchronienia podwórka od wyrzucania zeń nieczystości z bulwaru. Następnie spojrzął na ów pawilon dla przekonania się, czy i o ile okna były opatrzone okiennicami. Przy każdym z nich znajdowały się one, z wyjątkiem pracowni, w której, jak powiedzieliśmy, okna te były bardzo szerokie.

Na zapytanie, dlaczego te nie posiadają okiennic, odpowiedziała odźwierna:

— Owszem, są do nich okiennice, ale z przyczyny nadzwyczajnej szerokości, zdjęto je i w szopie złożono.

Wrócili do pawilonu.

Gerard zdawał się być zadowolonym.

— No, jakże się panu podoba ten lokal? pytała odźwierna; jeżeli pan nie potrzebujesz pracować, możesz pracownię łatwo zamienić na piękny salon.

— Myślałem o tem, w rzeczy samej. A teraz proszę, powiedz mi pani, na jaki przeciąg czasu wynajmujecie mieszkania?

— Nie mniej, jak na rok, panie, lecz za pół roku

z góry zapłacić potrzeba.

— Zgoda.

— Czy pan żonaty... z rodziną?

— Nie, jestem zupełnie samotnym.

— Nie trzymasz pan nawet służącego?

— Ha! pytam, gdziebym go tu pomieścił? Mieszkanie to podoba mi się, ale szczupłem jest ono.

— Na czwartym piętrze, tuż po nad pawilonem, jest stancja do wynajęcia. Przydałaby się ona może panu dla służącego.

— Później... zobaczę... jeżelibym się zdecydował przyjąć lokaja albo służącą.

— Zanim to nastąpi, pan potrzebować będziesz usługi, polecam się więc łaskawej pańskiej pamięci, do dała odźwierna.

— Miałażbyś pani czas na to? Dom jest obszerny, wielu w nim pewno lokatorów...

— O! panie, ja nie jestem samotną, mam męża i córkę. Jest nas troje i wszyscy pracujemy. U nas nie żartuje się z robotą.

— Dobrze więc, skoro się tutaj urządzę, powiem pani, co robić będzie potrzeba.

— A jak prędko obejmiesz pan to mieszkanie?

— Dziś jeszcze.

— Pan zamieszkuje w Paryżu?

— Tak, lecz dotąd mieszkałem w pokojach umeblowanych. Teraz więc będę potrzebował kupić sobie sprzęty.

— Wszystko zatem będzie nowe. Trzeba to będzie w porządku utrzymać.

— Zechciej mi pani kwit przygotować, zapłacę ci naprzód za sześć miesięcy.

— Mój mąż wyda panu pokwitowanie i odbierze pieniądze, skoro tylko powróci od właściciela.

— Właściciel zamieszkuje w tym samym domu?

— Nie, panie.

— Dobrze więc, zapiszesz sobie pani moje nazwisko, a skoro twój mąż powróci, niech dla mnie kwit przygotowuje. Pójdę tymczasem za kupnem mebli. Gdyby przypadkiem nie mogli dostarczyć ich dzisiaj, w takim razie przyniosą je jutro zrana. Bagaże moje dziś zwiozą.

— Jak panu dogodniej. Pootwieram okna w pokojach, by wpuścić nieco powietrza.

Uczyniwszy to, odźwierna wyszła z nowym lokatorem z pawilonu, wracając do siebie.

## IX.

W stancyjce, do której weszli oboje, siedziała dwudziestoletnia dziewczyna, szyciem zajęta. Była to córka odźwiernej.

— Taziu, rzekła do niej matka, pawilon jest już wynajętym. Bierz pióro i zapisz nazwisko tego pana. Skoro ojciec powróci, wyda pokwitowanie na odbiór pieniędzy za sześć miesięcy.

— Dobrze, mamó, odpowiedziała dziewczyna i umaczawszy pióro w atramencie, otworzyła starą zatłuszczoną księgę pytając:

— Nazwisko pańskie?

— Arnold Desvignes, odpowiedział Gerard bez wahania.



Dziewczyna zapisała nazwisko.

— Czem się pan zajmujesz? pytała dalej.

— Nie rozumiem celu tego zapytania, rzekł Gerard. Cóż kogo moje zajęcia obchodzić mogą?

— Wybacz pan, ale właściciel żąda powyższych wyjaśnień, odezwała się odźwierna, lęka się on osobistości niespokojnych, hałaśliwych.

— Zapisz więc pani; profesor obcych języków. Jest to zajęcie, nie czyniące żadnego hałasu i nie przeszkadzające nikomu.

— Dobrze, panie, odpowiedziała Anastazja, przesuważąc piórem po papierze.

— Oto dla pani, za jej fatygę, rzekł Gerard, kładąc luidora w rękę odźwiernej. Należność za sześć miesięcy przy odebraniu kwitu zapłacę. Ale, dodał, jakże się pani nazywasz?

— Pillois, do usług pańskich, wołała uradowana tak sutem wynagrodzeniem odźwierna. Rozalia Pillois. Mój mąż Piotr Pillois, a moja córka Anastazja. Nazywamy ją zwykle Tazią, bo to mniej długie do wymawiania.

— A zatem pani Pillois, do widzenia! Lecz jakież numer nosi ten dom od ulicy des Tournelles?

— Numer 36, a pański pawilon od bulwaru Beaumarchais 41.

— Dziękuję.

Tu Gerard wyszedł, zwróciwszy się ku przedmieściu św. Antoniego, gdzie kupił sobie potrzebne meble do jadalni, sypialni, salonu i kuchni. Przyobiecano mu, iż przed piątą wieczorem wszystko to dostarczonem zostanie na ulicę des Tournelles. W magazynie nowości

kupił franki, kapy, serwety, gdzie też samą uczyniono mu obietnicę. Pozostawało mu tylko jechać po odbiór bagażów ze stacji drogi żelaznej.

Około czwartej, zabrawszy na fiakr owe pakunki, jechał do swego nowego mieszkania.

Tak meble, jak i przedmioty, nabyte przezeń w magazynie nowości, przybyły z nim jednocześnie. W godzinę wszystko ustawionem zostało.

— Pan będzie nocował tu dzisiaj? pytała Rozalja Pillois, wyniesiona do godności gospodyni młodego lokatora.

— Być może... nie wiem...

— Ależ byłoby tu panu doskonale... Pościelę łóżko, zamiotę... Weź pan klucze, są one podwójne, drugie u mnie pozostaną. Oto są...

— Dobrze, rzekł Gerard, biorąc je z rąk odzwiernej. Idę teraz na obiad... Lecz jeszcze jedno polecenie...

— Cóż takiego, panie?

— Nie jestem podejrzliwym, rzekł były sekretarz Mortimera, wszakże nienawidzę ciekawości.

— Ja również, panie, a ztąd nie jestem wcale ciekawą.

— To wielka zaleta, pani Pillois. Lecz ktoś mógłby tu panią kiedy zastąpić wypadkowo. Nie lubię, aby obcy do mnie wchodzili. Nikt słowem, prócz pani, niechaj nie stąpi w próg mego pawilonu.

— Możesz pan być pewnym, iż nikt tu nie przyjdzie, pod tym względem możesz być zupełnie spokojnym. Moja córka i mój mąż nie zajmują się wcale gospodarstwem. Nie obawiaj się pan więc. Nie zajrzy

tutaj żadna żyjąca istota.

— Otóż, czego pragnę najgoręcej! Posiadam nader rzadkie książki, drogocenne papiery, potrzebne do moich studjów naukowych. Ktoś ciekawy mógłby mi porzucić to wszystko, a ja lubię porządek aż do dziwactwa! Lubię znaleźć każdą rzecz w miejscu, gdzie ją położę. Gdybym spostrzegł, że ktoś tu był podczas mojej nieobecności, nie ufałbym pani więcej i musiałbym w jej miejsce postarać się o kogo innego do posług.

— Jeszcze raz pana upewniam, że możesz spać spokojnie. Wierny jest ze mnie pies podwórzowy.

— Liczę na panią w tym względzie, i zamiast trzydziestu franków miesięcznie, jakich odemnie żądałaś, przeznaczam ci czterdzieści.

— Ach! to być musi jakiś książe przebrany, jak w Tajemnicach Paryża, pomyślała kobieta, olśniona tak wielką wspaniałomyślnością.

— Kwit dla mnie gotowy? pytał dalej Gerard.

— Tak, panie. Już podpisany przez właściciela. Mój mąż jest w stacji, zaraz go panu odda.

— A więc do widzenia wieczorem, pani Pillois.

— Żegnam, panie Desvignes.

Tu Gerard, wyszedłszy z pawilonu, wstąpił do odźwiernego, wyliczył mu sześćset franków złotem, odebrał kwit i poszedł na obiad do restauracji, w której zostawił walizę.

Wybacz, czytelniku, nazbyt długie być może rozpisanie się o szczegółach lokacji Gerarda. Znajomość jednak powyższych szczegółów była niezbędną dla u-

zupelnienia dalszego ciągu powieści.

Sekretarz z Kalkuty, zadowolony pomyślnym dotąd obrotem rzeczy, jadł obiad z apetytem, powtarzając:

— Nazwisko Karola Gerard mogło mnie być skompromitować, zachować go dłużej nie mogłem. Gdy przeciwnie, nazwa Karola Desvignes nie ściągnie na mnie podejrzania. Znam pewnego nader zręcznego człowieka, który mi dostarczy za dobrą zapłatą wszelkich legitymacyjnych papierów, przekonywających, że to imię jest mojem własnem nazwiskiem. Gdybym kiedyś potrzebował złożyć akt autentyczny mego pochodzenia, uczynię to i żadna wątpliwość co do mojej tożsamości miejsca mieć nie będzie. Przezornie działałem, wynajmując mieszkanie w osobnym domu, zamiast się mieścić w pokojach umeblowanych. Tym sposobem wymykam się kompletnie z pod kontroli policyjnej prefektury. Jan Mortimer, mój były pryncypał, skoro się dowie że nie pojechał do jego domu bankierskiego w Londynie, zaniepokojony o mnie, rozpocznie poszukiwania. Rzecz prosta, iż mnie nie odnajdą, ponieważ zniknąłem bez śladu. Będą przekonani, że stałem się ofiarą jakiegoś wypadku, albo że jacy rabusie, napadłszy mnie, wrzucili po obdarcie do Tamizy. I przestaną się mną wreszcie zajmować. Otóż dobrze przedsięwzięta ostrożność na przyszłość. A teraz trzeba przygotować starannie cios, jaki pragnę wymierzyć. Mam pięć dni czasu przed sobą. To więcej, niż mi potrzeba.

I ukończywszy obiad, Karol Gerard, którego odtąd nazywać będziemy Arnoldem Desvignes, aby nie czynić zamieszania w umyśle czytelników, wzięwszy swoją

waliżę i zapaliwszy dobre cygaro, szedł ku ulicy des Tournelles.

— Otóż powracam, pani Pillois, rzekł, przechodząc koło odzwiernej. Czuję się mocno znużonym, wypocząć pragnę.

— Łóżko pańskie jest usłane, odpowiedziała kobieta. Postawiłam świecę z lichtarzem na pierwszym stopniu schodów. Wszystko w porządku. Mam nadzieję, iż będziesz pan zadowolonym.

Desvignes, minawszy dziedziniec, szedł korytarzem aż do drzwi, wiodących na schody, a znalazłszy tam świecę, zapalił ją, zamknął pierwsze drzwi na klucz i wszedł do mieszkania.

Odzwierna prawdę mówiła. Porządek panował wzdłuż; wszystko, aż do ściennego zegara po nad kominkiem, wygłaszającego swój ruch monotony, ustawnem było na swoim miejscu.

Zegar wskazywał dziesiątą. Arnold spojrzął na swój kieszonkowy zegarek, który się zgadzał z tamtym co do minuty, rozpiął waliżę i powymywał z niej różne przedmioty ubrania.

W głębi, na samym spodzie, znajdowała się paka papierów, zawierających ważne notaty, a między niemi owo pokwitowanie z odbioru milionów z własnoręcznym podpisem poszukiwacza djamentów. Schował ową paczkę wraz z pieniędzmi w komodę, stojącą w sypialnym pokoju, nakrył ją z wierzchu bielizną i spojrzął powtórnie na zegar.

— Dziesiątą, minut czterdzieści, rzekł, powinienbym znaleźć ich tam jeszcze, jeżeli nie zmienili zwyczajów

od lat trzech, gdym ich również znajdował w Londynie przy ulicy de Ponthieu.

Tu rozpakował szybko jeden z tomożków, przywiezionych z Kalkuty. Z pomiędzy ubrań jakie się tam znajdowały, wybrał garnitur z szarego ciemnego sukna, krojem angielskim zrobiony, ubrał się weń, wdział miękki kapelusz wsunawszy go po oczy i włożył do kieszeni rewolwer, upewniwszy się przedtem, że jest nabitym.

Ukończywszy to wszystko, wyszedł ze świecą na schody, prowadzące do ogrodu. Przy ostatnim stopniu zagasiwszy świecę, szedł aż do drzwi, umieszczonych w sztachetach, któremi udał się na bulwar Beaumarchais. Przywoławszy fiakra na placu Bastylji, kazał się wieść na ulicę Bauvau, gdzie wysiadł, zapłacił za kurs i szedł przedmieściem św. Honorjusza aż do ulicy Ponthieu, ostatecznego celu swej nocnej wyprawy.

## X.

Znana przez wszystkich mieszkańców tego okręgu, fabryka pierników, kilka budynków zajętych przez utrzymujących wynajem powozów i koni, nadają w ciągu dnia pewne ożywienie ulicy de Ponthieu; sklepy jednakże znajdują się tu w nader szczupłej liczbie, a te które istnieją, równo ze zmierzchem bywają zamykane.

Owóz z nadejściem nocy, ulica ta przybiera nader smutną powierzchowność, co zwiększa się wraz z późniejszymi godzinami. Przechodnia rzadko się spotyka. Żadne światło nie błyska z poza okiennic domów szczelnie zamkniętych. Płomienie gazu oświetlają jedynie

środek ulicy i trotuary.

Desvinges, szedł szybko w stronę ulicy Berry, po lewej stronie domów. Na krótko przed przybyciem na ulicę Colysee, zwolnił kroku i zatrzymał się przed sklepem szczelnie zamkniętym.

— To tu, rzekł sam do siebie, tak, ja się nie mylę.

Sklep znajdował się na parterze domu starożytnej struktury. Obok tego sklepu drzwi zielono malowane tworzyły wejście do korytarza, wiodącego na schody do wszystkich trzech pięter. Po nad drzwiami płonęła czerwona latarnia z przezroczystym na niej numerem. Nazywano powszechnie w całym okręgu ów dom domem pod czerwonym numerem.

Arnold Desvinges, ponieważ tak odtąd nazywać będziemy Gerarda, sięgnął ku guzikowi dzwonka, umieszczonego w wydrążeniu ściany, lecz zamiast go pociągnąć ku sobie, szukał palcami sprężyny znajdującej się na spodzie wgłębienia. Znalazłszy ją, nacisnął. Drzwi się natychmiast otwarły z suchem skrzypnięciem i zamknęły po za wchodzącym.

W korytarzu, do którego wszedł Arnold, było ciemno jak w piecu. Na odgłos jego kroków, światło zabłysło ze drzwi nagle otwartych, w których się ukazała jakaś otyła kobieta z miną buldoga, zapytując w francuskim języku, lecz z akcentem mocno angielskim:

— Co pan chcesz?

— Odwiedzić stary Londyn, odrzekł Desvignes po angielsku.

Słowa te były widocznie hasłem umówionem, ponieważ zaraz po ich wygłoszeniu, gruba jejmość cofnęła

się, zostawiając wolne przejście przybyłemu, który wszedł do izby, służącej w dzień za mleczarnię. Mała lampka oświecała tę izbę.

— Dużo dziś macie gości? zapytał Arnold.

— Yes, master, odpowiedziała angielfka, pan wiesz drogę? dodała.

— Wiem.

— Nie potrzebuję więc pana prowadzić. Zostanę oczekując na gości.

Desvignes, postąpiwszy w głąb izby, otworzył dwoje drzwi, jedno widoczne, drugie przysłonięte kobiercem i wszedł do wielkiej sali sklepowej, służącej niegdyś za kawiarnię, oświetlonej gazem.

Owa piwnica, był to palace-Gin czyli piekło jak nazywają w Londynie.

Gwar pomieszanych głosów uderzył słuch przybyłego, a wszystkie te głosy miały obce akcenta, bądź to angielskie bądź irlandzkie, lub amerykańskie. Francuzi znajdowali się tu widocznie w małej liczbie.

Zrazu, były sekretarz Mortimera, rozeznać nie nie był w stanie. Cierpki dym złego tytoniu rozciągał się jak mgła przed jego oczyma, szczypiąc mu powieki, a woń przykra palonej wódki, dżinu, piwa i wina dusiła go do kaszlu pobudzając.

Zwolna wzrok jego przebijać mgłę zaczął i rozeznawał jak po za gazą wewnątrz tawerny. Była to nora ponura, jedna z owych najwstrętniejszych szynkowni starego Londynu, przeniesiona do Paryża.

Ciężkie czworograniaste słupy podtrzymywały sklepienie, tworząc wgłębienia, w których znajdowały się



stoliki i ławki drewniane, nasiąkłe tłustością, od dymu zczerniałe. W około stolików poruszał się tłum dziwny, jakiego zebrać razem trudno byłoby gdzieindziej.

Stangreci w długich liberyjnych surdutach, obok handlarzy koni z okolic Paryża, odznaczających się długimi błękitnymi bluzami i trójkątnymi czapkami; dalej woźnice od utrzymujących wynajem powozów i sami tychże zakładów właściciele, wyróżniający się przyzwyczajeniami swym zachowaniem, starannym ubiorem, pośród którego na białym krawacie widniała u niejednego z nich szpilka pozłacana, przedstawiająca podkowę, albo łeb koński.

Przy innych stołach siedzieli lokaje i stangreci bez miejsca, kłowni cyrkowi, chudzi wynędzniali z tak wybladłymi twarzami, jak tradycyjna mąka na ich obliczach; wszystko to brudne, obdarte, widocznie jednak nie o pustych kieszeniach, gdyż pili bez przestanku i grali w karty i kości zapamiętane.

Bardzo mało francuzów znajdowało się wśród tego tłumu, który mimo, że wstrętny z pozoru, nie składał się wyłącznie z rabusiów, ale po większej części ze służby anglików, zamieszkałych w okolicy Pól Elizejskich i przedmieścia św. Honorjusza. Woźnice, stajenni i groomy, przychodzili do domu pod czerwonym numerem, prowadzeni tu wspomnieniami własnego kraju, ażeby się pokrzepić swym ulubionym napojem, jaki najczęściej do pijaństwa prowadzi.

Inni należeli do rasy łotrów wszelkiej narodowości. Spadkobiercy w prostej linii Jack'a Sheppard'a, złodzieje z powołania, mordercy ze sposobności, przybyli

do Francji w podwójnym celu, raz, aby tu korzyść osiągnąć ze swych zdolności, a powtóre, aby uniknąć stryczka. Jaki ich w rodzinnym kraju niechybnie oczekiwał.

Z prawej strony, w pobliżu wejścia, stał wielki bufet, napełniony butelkami z wódką, dżinem, porterem, winem i piwem, oraz różnego rodzaju przekąskami; można tu było albowiem tak dobrze jeść i pić, jak i grać w karty.

W owej piwnicy, napełnionej gęstą, nieczystą atmosferą, gdzie powietrze nigdy odnawianem nie było, panował upał do niewytrzymania. Pot sływał po wszystkich twarzach.

Arnold postąpił w głąb tawerny, badając wzrokiem grupy obecnych, przechodząc od jednych do drugich.

Chłopiec posługujący zbliżył się ku niemu, pytając po angielsku co podać sobie rozkaże.

— Butelkę dżinu i kawał rostbeefu, odrzekł, siadając przy stole.

Za chwilę posługacz przyniósł przedmioty żądane, a postawiwszy je przed przybyłym chciał odejść.

— Znasz Wiljama Scott? zapytał go Arnold.

— Znam doskonale!

— Jest on tu obecnie?

— Jest.

— Gra w karty?

— Nie, przegrał i śpi, ot tam na ławie.

— Obudź go i powiedz, że pewien dżentleń jego przyjaciel, chce się z nim widzieć.

-- Dobrze panie. Tu chłopiec pobiegł w ciemny kąt tawerny.

W tym kącie, siedział mężczyzna z rękoma na stole położonemi, na których wsparłszy głowę, spał głęboko.

-- Hej! Master Will! zawołał chłopiec, wstrząsając go za ramię.

Śpiący, otworzył oczy, podniósł głowę i z gniewem zawołał:

— Czego mnie budzisz do kroć piorunów?

— Ktoś pragnie widzieć się z tobą.

— Kto?

— Jakiś dzentlemen, twój przyjaciel, Williamie.

— Gdzie on jest?

— Siedzi po za trzecim filarem z lewej.

— Idę do niego.

Tu roztrzęziony zupełnie, wstał z ławki i poszedł w miejsce wskazane.

Will Scott, był mężczyzną trzydziesto-letnim, średniego wzrostu, krzepkim i silnym, o dość przyjemnem obliczu. Powierzchność jego nie wzbudzała wstrętu, przeciwnie, okrągła i mocno rumiana twarz jego, zawsze była uśmiechniętą. Duże błękitne oczy, wyrażały czyli raczej wyrażać się zdawały, łagodność i dobroćliwość. Włos gęsty, tej machoniowej barwy, którą Angliki nazywają aubaru, miał krótko przyciętym. Z pod grubych czerwonych ust jego wyzierały zęby olśniewającej białości. Ubrany był ubogo, odzienie jego jednak nie będąc porozdzieranem ani łatanem, mocno było zużytem. Obcisłe pantaloney z szarego sukna, wełnianą kamizelkę i rodzaj kurtki myśliwskiej nakrywał

z wierzchu stary paltot; mały, okrągły kapelusz dopełniał całości. Bielizna zupełnie prawie była niewidzialną, mały jednak stojący kołnierzyk podejrzaney białości, wyzierał mu z ponad krawata.

## XI.

Arnold, spostrzegłszy wyż opisaną osobistość, przywołał ją ku sobie skinieniem ręki.

Scott krzyknął zdumiony i poskoczył ku niemu.

— Ty w Paryżu? ty tu? zawołał w francuzkim języku, podając rękę wzywającemu go ku sobie.

— Siadaj, rzekł Desvignes.

— Jakież okoliczności sprowadzają cię tutaj, po tak długim czasie? zapytał Will Scott, siadając ciężko na ławce. Miałżebyś na widoku jaką nową sprawę?

— Być może, odparł z cicha były sekretarz z Kalkuty.

Anglik rzucił w około siebie nieufnem spojrzeniem.

— Chcesz więc pomówić ze mną? zapytał.

— Tak.

— W ważnej sprawie.

— W nader ważnej.

— Wyjdźmy ztąd zatem. Zapłać za rostbeef i umykajmy z tej pułapki.

Arnold zadrżał

— Z pułapki? powtórzył.

— Tak. Od trzech lat jak tu nie byłeś, wiele się zmieniło. Policja zwróciła uwagę na stary nasz Londyn, schodzi tu ona od czasu do czasu. Niczemby było to jeszcze, mając się na baczności i z przezornością działając, ale co gorsza, utrzymuje tu ona bezprzestannie

agentów, z byстрыm słuchem, i otwartemi szeroko oczyma. Zbierają się tu albowiem wyrzutki Londynu, przebrani za stangretów i groomów, kłopot wszystkim nam czyniąc. Prawdziwa to filja ze Scotland-Yard. Sam nawet właściciel udziela cichaczem powiadomień policji, pragnąc ażeby jego zakład tolerowano. Otóż, nie jest się już pewnym, jak niegdyś, pod czerwonym numerem. Przed pięcioma dniami, zabrano ztąd pięciu dzielnych chłopaków, przybyłych z Londynu w niewinnym celu przeszukiwania kieszeni Paryżan. Odesłano ich do Anglii.

Arnold się podniósł.

— Skoro tak, rzekł do towarzysza, podając mu pieniądze, idź, zapłać za mnie, niechcę zbliżyć się do bufetu. Źle, że chłopiec widział mą postać. To mówiąc wyszedł z tawerny.

Anglik, po zapłaceniu należności, połączył się na ulicy z byłym sekretarzem bankiera.

— Możemy teraz rozmawiać, aby nie zbyt głośno, rzekł, biorąc go pod rękę poufale. Nikt nas tu nie śledzi.

— Cóżeś robił przez te trzy lata?

— Nie zebrałem majątku, to pewna, odparł Scott. Stało się wysoko, i nisko, stosownie do okoliczności. Niestety jestem zbyt znanym, a ztąd i dozorowanym; musiałem trzymać ręce we własnych kieszeniach, zamiast niemi operować w cudzych. Wypadły ztąd nader niekorzystne rezultaty. Po za sprawami jakie nam przybywają z Londynu ze szczegółowemi objaśnieniami, nic tu do roboty nie było. Zaledwie wyżyć w tej nędzy zdołałem. Rzemiosło nasze upada widocznie... tak! cał-

kiem upada! zupełna stagnacja...

— Dlaczego?

— Za wiele konkurencji, jak wszędzie, wszyscy do tego się garną. Znam szesnastoletnich wyrostków paryzkich, którzyby mogli udzielać lekcje naszym pickpockets z City. Cóż z tego, policja bezustannie cięży ci tutaj na karku. Nic nie ma do roboty na tym przekętym bruku Paryża! Umarłbym z głodu, gdybym się był nie postarał o posadę dla siebie.

— Ty... o posadę?! zawołał Arnold z uśmiechem. A to doskonałe...

— Tak o posadę.

— Jakaż to posada?

— Jestem jedną z najużyteczniejszych osobistości w cyrku Fernando, pół kłownem, pół figurantem a nawet niekiedy artystą.

— Dziwna ci też myśl przyszła.

— Nie było w czem wybierać. Miano mnie wydalić z Paryża jako cudzoziemca, gdybym nie udowodnił w najrychlejszym czasie, z czego się utrzymuję i żyję. Prócz tego pozostać tu chciałem. Liczę wciąż na jakąś korzyść niespodziewaną, która nie przyszła dotąd wprawdzie, lecz nadejść może. A może ty mi ją przynosisz? dodał po chwili.

— Trilby czy żyje? zapytał Arnold w miejsce odpowiedzi.

— Żyje, a raczej wegetuje w biedzie wraz ze mną.

— Widujesz się z nim często?

— Codziennie, pracujemy razem w cyrku Fernando. Trilby poszedł mym śladem, zastępuje kłownów, przy-

nosi obręcze zaklejone bibułką, przedstawia z dobrem powodzeniem niedźwiedzie i małpy w pantominach.

— Tak więc ty, w którym podziwiałem zmysł bystry, spostrzegawczy, rzekł Desvignes, żywą i płodną wyobraźnię, zakończyłeś wraz z nim swoją karierę w tak nędznym rzemiośle. Ależ wy obaj z głodu tam zamrzecie!

— Mogłoby to już nastąpić, gdyby nas nie podtrzymywała nadzieja. Wierząc w lepszą przyszłość, oczekujemy.

— Lecz na co?

— Na ową jasną godzinę, na zysk, o jakim przed chwilą mówiłem. Przynosiszże go nam? pytam powtórnie?

— Od was to zależy.

— A więc jak gdybyśmy już mieli pieniądze w kieszeni. Cóż robić trzeba?

— Być mi posłusznym bez wahania.

— Ileż dajesz zarobku?

— Dziesięć tysięcy franków.

— Dla nas dwóch?

— Nie; dla każdego z osobna po dziesięć.

Oblicze angiłka radością zapromieniało.

— Dziesięć tysięcy dla Trilbego i dziesięć tysięcy dla mnie! Ach! otóż szansa przyszła nareszcie! No! możesz rozkazywać nam, mistrzu, bez obawy, każde twe polecenie najdokładniej spełnionem zostanie.

— Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy Lecip, nr. 19, na Montmartre.

— Sam?

— Nie, z Trilbym.

— Jutro zatem w południe do was przybędę.

— Nie czyn tego! zawołał z trwogą Will Scott.

— Dlaczego?

— Odzwierna w naszym domu niezmiernie jest ciekawą i gadatliwą. Przyglądałaby się tobie. Masz minę dżentlemana. Twe odwiedziny zwróciłyby jej uwagę. Nie przyjmujemy nikogo, prócz kilku kolegów z cyrku i paru chłopców, nie grzeszących wytwornością ubrania. Ty masz zupełnie inną powierzchowność. Rozgadałaby o tem w całym okręgu. Bądźmy ostrożni, ponieważ, jak widzę chodzi tu o grubą sprawę. Nie pozostawiajmy za sobą żadnego śladu, któryby nas mógł zdradzić.

— Gdzież więc się z tobą zobaczę?

— W mej wiosce...

Były sekretarz Mortimera rozśmiał się głośno.

— W twej wiosce? powtórzył.

— Tak, w mojej... w twojej... we wsi całego świata. Jest to zakład do którego można się zbierać na pogawędkę bez obawy podsłuchiwania.

— Gdzież leży ta wioska?

— Po za okopem Montmartre, na rogu ulicy des Saules, w pobliżu starego cmentarza i kościoła Sacré-Coeur, którego przebudowywanie właśnie rozpoczęto.

— Dobrze... przyjdę tam...

— O której godzinie?

— W południe.

— Zgoda! zjemy razem śniadanie, już od tak dawna nie siedzieliśmy razem przy stole i nie trącili się kieliszkami.

— Każę podać śniadanie, rzekł Arnold, lecz w takim



razie zamiast w południe, przybędę o jedenastej.

— Na jedenastą więc zamówię śniadanie, Scott odpowiedział.

— Nie opóźnię się... przybędę.

— Poznasz zakład Królika A. Gill...

— Królika Gill? powtórzył Desvignes zdziwiony.

— Tak... tak... zobaczysz... Wychylimy kieliszki w sali, gdzie co tydzień ma miejsce Obiad morderców.

Były sekretarz Mortimera zmarszczył brwi z niezadowolaniem.

— Dlaczego do naszej rozmowy, zapytał, mieszasz ten wyraz morderców?

— Opowiem ci to tam na miejscu, odparł, śmiejąc się anglik; poczem, zmieniając przedmiot rozmowy: Tak, więc nie mieszkasz już na Regent-street, dodał, i nie pracujesz w domu bankierskim Mortimera?

— Porzuciłem bank, odrzekł Desvignes.

— Na zawsze?

— Tak.

— Ażeby próbować zdobyć majątek?

— Odgadłeś.

— Jestże dobrą i pewną ta sprawa?

— Gdyby złą była, nie ryzykowałbym, rzecz jasna. Co do was obu, Trilbego i ciebie, mówił Arnold dalej, żadna wam strata nie zagraża, ponieważ w każdym razie dostaniecie odemnie swoje dwadzieścia tysięcy franków.

Twarz Scotta, powtórnie zajaśniała.

— A kiedy wypłata? zapytał.

— Dziesięć tysięcy franków w chwili, gdy was za-

potrzebuję, przed rozpoczęciem działania. A drugie dzień, w godzinę po ukończeniu sprawy.

— A zadatek prócz tego?

— Ma się rozumieć...

— Ile?

— Tysiąc franków, nie liczących się do przyobiecanej przezemnie sumy. Tu Arnold podał towarzyszowi bilet bankowy, wydobyty z pugilaresu.

— Nie próżno oczekiwałem na moją dobrą gwiazdę, rzekł anglik, chowając banknot do kieszeni. Ożywasz nas. Jesteś naszą opatrnością. Za tobą pójdziemy na śmierć i życie! Trilby i ja nie zapomnimy nigdy, że w Londynie dostarczyłeś nam sposobów do uniknięcia stryczka.

— Rzykując sam siebie za was na szubienicę.

Tak rozmawiając, minęli przedmieście św. Honorjusza, przeszli ulicę Castiglione i zbliżyli się do Halles, napelnionych ruchem i wrzawą.

## XII.

Tu Arnold zatrzymał się.

— Czas nam się rozejść, rzekł do Will Scotta, podając mu rękę. Do jutra zatem, o jedenastej.

Klown z cyrku Fernando dotknął dłonią palców towarzysza mówiąc: Do jutra... I odszedł.

Były sekretarz Mortinera, minął ulicę Rivoli, ulicę św. Antoniego na bulwar Beaumarchais.

Była trzecia nad ranem, gdy spać się położył, zadowolony z odnalezienia Scotta i Trilbego, których potrzebował.

Jakim sposobem Arnold Desvignes, któremu na chwilę przywrócimy jego właściwe nazwisko Gerarda, i z kąd mógł znać lepiej od dyrektora policji te tajemnicze nory Paryża, owe brudne jaskinie występku, z których jedną ukazaliśmy czytelnikom, prowadząc ich do Starego Londynu, na ulicę de Ponthieu? Jak mógł ów młody człowiek, tyle wyróżniający się obejściem, wykształceniem, posiadający w wyższym stopniu naukę, mówiący dziewięcioma językami, jak mógł powtarzamy, zostawać na stopie koleżeńskej poufałości z rabusiami najniższego gatunku? Czas nam wyjaśnić to czytelnikom.

Będziemy się starali o ile można w krótkości przedstawić dziwną przeszłość tego człowieka, który w naszej powieści zajmie główną rolę.

Karol Gerard, obecnie liczył lat dwadzieścia osiem. W dniu ósmym lutego 1858 roku około godziny pierwszej po północy, młoda, dziewiętnastoletnia kobieta wyszła z jednego z owych starych, ponurych domów Paryża, przy ulicy Belleville położonych. Niosła ona na ręku przedmiot, starannie owinięty, otulając go troskliwie wielkim, czarnym szalem, zarzuconym na głowę, z pod którego wyzierała jej blada, wychudła twarz i mocno zapadłe oczy o smutnem wejrzeniu. Szła zwolna ulicą Paryża, aż do zewnętrznego bulwaru.

O tej tak późnej porze, ulice były milezające i puste zupełnie. Oprócz strażników miejskich, przechadzających się pod domami, zatulonych w kaptury, nikogo widać nie było. Spostrzegłszy ich z daleka przy świetle gazowej latarni, kobieta, o której mówiliśmy, zesła

z trotuaru i zwróciła się ku stronie la Villette.

Jej chód dotąd chwiejny i wolny, stał się bardziej stanowczym. Stapała pewniej i szybciej, przykładając chwilami rękę do oczu, aby obetrzeć łzy, spływające po jej policzkach, i przytłumić łkanie. Szła wprost przed siebie bulwarami de la Chapelle, Rochechouard i bulwarem de Clichy, nie zatrzymując się wcale. Do sięgnąwszy placu Blanche, weszła w aleę Frochot, gdzie przystanąła, spojrzawszy wokoło siebie. Wokoło żadnej żyjącej istoty... żadnego ruchu ni życia.

Przebiegłszy szybko puste alee, zatrzymała się przy małym domku, otoczonym drzewami, z których zima postrącawszy liście, pokryła zlekką szronem gałęzie. Słabe światło błyszczało z poza zapuszczonych rolet na pierwszym piętrze mieszkania. Podniósłszy głowę ku oknom, kobieta dojrzała to światło.

— On jest tam, szepnęła, przytłumiając łkanie, siedzi w ogrzonym pokoju, przy ognisku, w domu dobrze opatrzonym, zapominając, iż ja cierpię głód i zimno, zapominając, iż walczę z tą czarną nędzą, nieubłaganą, która mi nie pozostawia ani kęsa chleba, dla pożywienia się, ani kropli mleka dla dziecka, jego dziecięcia! Och! nędznik, podły... nikczemny! A więc... skoro tak... mówiła dalej, ja ci nakazę nad tem dzieckiem opiekę. Będiesz musiał je przyjąć i żywić!... Ja nie nie żądam dla siebie... umrę, rzucając ci przekleństwo!...

I nagłym ruchem, odrzuciwszy szal z głowy, pochyliła się ku przedmiotowi, który niosła na rękę, tuląc go do swych piersi.

Było to dziecię... biedne, szczupłe i blade niemowlę. Nieruchome, z zamkniętymi oczyma, spać się здавало. Czy jednak rzeczywiście spało? Czy owa ponura bezwładność nie pochodziła z wpływu mroźnej temperatury? Wyczerpane głodem to maleństwo, nie znajdując mleka w matczynej piersi, czy nie zasnęło snem wiecznym?... Młoda kobieta okrywała je pocałunkami, szepcąc z po za łez:

— Żegnaj! ty biedna, drobna istoto, na niedolę stworzona! Pragnęłam cię kochać... żyć z tobą... dla ciebie... Lecz niepodobna! przechodzi to moje siły... Cztery miesiące upłynęły od dnia twoich urodzin... przez cztery miesiące walczyłam z nędzą... Dłużej nie mogę... upadam... Żegnaj mi... żegnaj na zawsze!...

Tu uścisnęła dziecię po raz ostatni, gorąco, namiętnie, a okrywszy je zdjętym z siebie szalem, zadzwoniła silnie do drzwi domu, przed którym się zatrzymała. Milczenie i cisza panowały tak wewnątrz, jak zewnątrz domostwa. Czekwała przez kilka sekund.

Z po za zapuszczonych rolet na pierwszym piętrze światło błyszczało łagodnie.

Młoda kobieta pociągnęła za dzwonek powtórnie i silniej niż pierwej.

Dał się słyszeć szmer u okna, jak gdyby przy pociąganiu rolety, i w ramach tegoż ukazał się mężczyzna, odziany w czerwony, flanelowy kaftanik.

— Kto dzwoni? zapytał opryskliwie.

— Ja!... Walentyna... odpowiedziała drżącym głosem.

Mężczyzna ów rzucił się gniewnie.

— Trzeba być bezczelną! zawołał, by o podobnej

godzinie sen ludziom przerywać. Odejdź natychmiast!

— Nikezemny! krzyknęła kobieta, jestem bez chleba, w najstraszniejszej nędzy, a ty obojętnie na śmierć mnie skazujesz, odejść mi każesz... Wskazujesz mi jako ostatnie schronienie, samobójstwo... wskazujesz Sekwanę, gdzie znajdę w śnie wiecznym zapomnienie o twej niegodziwości! Dobrze... posłucham cię... lecz zanim odejdę, by umrzeć, otworzysz przedemną drzwi swego domu, a otworzysz je sam, jeżeli nie chcesz, by moje wołanie obudziło wszystkich tutejszych mieszkańców i ażebym oddała im twoje dziecko z wyjawieniem całej twojej nikezemności...

Tu Walentyna pociągnęła po raz trzeci za dzwonek gorączkowo, konwulsyjnie.

Mężczyzna w czerwonym kaftaniku z okna się usunął. Na dole ruch dał się słyszeć, drzwi otwierać zaczęto. Wybiegłszy szybko z mieszkania, mężczyzna ów trącił służącego, który kładł klucz w zamek, chcąc drzwi otworzyć.

— Odejdź! wykrzyknął, ja wiem, kto dzwoni... sam drzwi otworzę!

Służący, cofając się w głąb korytarza, zauważył, iż jego pan był błąd, drżał cały.

Zostawszy sam, ów nieznajomy poskoczył ku drzwiom, do których Walentyna dzwoniła bezustannie. Otworzywszy je, pochwycił za rękę młodą kobietę.

— Niegodziwa! zawołał, chcesz że, abym cię zabił?

Odepchnąwszy go, Walentyna przestąpiła próg domu, mimo oporu, jaki jej stawiał, a złożonywszy dziecko, o-

winięte szalem, na jednej z ławek korytarza, groźnie wyrzekła:

— Oto twój syn!... Teraz umrzeć mi tylko pozostaje... Pamiętaj, Pawle Gerard, pamiętaj nędzniku, który mnie zabijasz, że w ostatniej chwili zgonu rzucam na twoją głowę przekleństwo! Po tych słowach wybiegła, pędząc lotem strzały w stronę placu Breda.

— Walentyno!... Walentyno!... wołał Paweł Gerard, posłuchaj mnie!

Nie słyszała, lub też nie chciała słyszeć. Była już zresztą daleko, a jej przyśpieszone kroki tętniały głucho po zmarzniętym gruncie alei.

— Do czarta! wymruknął mężczyzna w czerwonym kaftaniku, zatrzaskując drzwi z gniewem. Wołałem, nie chciała się wrócić, niech biegnie na zatracenie!

I zakręciwszy klucz w zamku, zasunął rygle. W chwili, gdy kończył tę czynność, cichy szept, coś nakształt skargi rzewliwej, dobiegło jego uszu. Obrócił się ku małej, drobnej istocie, pozostawionej na ławce przez młodą kobietę.

— Zostawiła mi tego malca... wyszepnął, tego jeszcze potrzeba było! Ach! ty szalona młodości! jakże nam ciężko przychodzi płacić twoje błędy! Tu wzięwszy dziecie na ręce, przystanął. Nie mogąc jednak pozwolić umrzeć temu malcowi, dodał po chwili, ani wyrzucić go na ulicę... Byłem głupcem... szalonym... stało się jednak! Tu podszedłszy w głąb korytarza, zawołał: Filipie! Filipie!

Służący, przebudzony nanowo, ukazał się z zaspami oczyma.

— Pan mnie wołał?

— Tak... oto dziecię...

— Dziecko... tu u nas... Zkąd, panie?

— Nie pytaj... do ciebie to nie należy... Weź je na noc dzisiejszą i miej o niem staranie. Jutro zanieziesz je na wieś w swe rodzinne strony i oddasz mamce na wykarmienie.

— Jutro... w moje strony... mam oddać mamce?... mruczał zdziwiony służący.

— Żadnych uwag... żadnych dociekań!... zawołał Gerard; masz być posłusznym, spełniać, co ci rozkażę!

— Dobrze, panie... rzekł sługa, zabierając niemowlę, podczas gdy Paweł Gerard szedł po schodach na pierwsze piętro, do swego mieszkania.

### XIII.

Wielki ogień płonął na kominku. Kulista lampa oświeśla biurko zarzucone książkami, arkuszami papieru i manuskryptami.

Paweł Gerard, człowiek głębokiej nauki, był profesorem obcych języków w jednym z francuskich kolegiów. W owej chwili miał lat trzydzieści.

Kilka rysów wystarczy na opowiedzenie jego zwykłej historii miłosnej z Walentyną.

Młode to dziewczę, uczciwe i skromne, pracowało w jednym z magazynów mód przy ulicy Vivienne. Gerard, lekkomyślnego charakteru, spotkawszy po kilkakrotnie Walentynę, starał się ją złudzić pozorem kłamliwej miłości.

Dziewczę, ukochawszy go sercem i duszą, ponieważ



pięknym był chłopcem i gładko wystawiać się umiał, dziewczę to, dotąd skromne, uczciwe, opuściło swoją rodzinę, przeniósłszy się do mieszkania, wynajętego przez swego kochanka.

Związek ich trwał przez sześć miesięcy.

Po upływie tego czasu Gerard, który był człowiekiem bez serca, opuścił ją bez żadnego skrupułu, pozostawiając nieszczęśliwej parę stufrankowych biletów. Rozpacz biednego dziewczęcia nie miała granic.

Niezadługo dziecię na świat przyszło.

Napisała do swego uwodziciela, który jej żadnej nie dał odpowiedzi. Starła się z nim spotkać, mniemając, iż prośbą i łzami wzruszyć go zdoła. Nietylko, że pozostał głuchym na jej błagania, lecz zagroził, że policyjnym agentom przytrzymać ją każe, jeśli go prześladować nie zaprzestanie. Nieszczęsna, przestraszona tem, odeszła. Do swej rodziny wracać jej niepodobna było, matka i ojciec wykleli ją zapewne; wolałyby więc umrzeć z głodu, niż udać się do nich o pomoc.

— Wypędziliby mnie! mówiła, zasłużyłam na to, skarżyć się nie mam prawa.

Ostatnie jej zasoby pieniężne zwolna się wyczerpywały. Do szwalni, gdzie wiedziano o jej nieszczęściu, również pokazać się nie śmiała. Szukała jakiegokolwiek bądź pracy, choćby najbardziej upokarzającej, i znaleźć jej nie mogła. Osłabione jej siły cięższych zajęć przyjąć jej nie dozwalały.

Nadeszła straszna czarna nędza. Do dni bez chleba spędzanych łączyły się noce bezsenne. Pierś biednej matki, głodem wycieńczona, nie dostarczała dziecku

pokarmu. Niemowlę widocznie niktęło; resztki pozostałego mu życia liczyć można było na godziny. Bolesć moralna w połączeniu z gorączką doprowadzały młodą kobietę do obłędu, w przystępie którego postanowiła życie sobie odebrać.

Po wyjściu od Pawła Gerard przebiegła szybko aleę Frochot i, jak gdyby chwilowo zgalwanizowana, mknęła ulicą Richelieu'go, placem Karuzelu, aż ku wybrzeżom Sekwany, gdzie na most weszła. Zatrzymawszy się tu, patrzyła przez kilka sekund w czarne nurty rzeki, płynącej pod sobą, w których odbijały się światła płonących na moście gazowych latarni.

— Przebacz mi, Boże! szepnęła, wznosząc ręce w niebo, ukarż nędznika, który mnie zgubił... przekleństwo mu w ostatniej życia godzinie!

Most był pustym zupełnie, nikogo widać nie było.

Walentyna, wszedłszy na wierzch balustrady, zakryła sobie oczy ręką i rzuciła się w wodę. Nie wydała najmniejszego krzyku. Ciało jej, spadając wśród głębokiego milczenia, sprawiło hałas ponury, który jednakże ucichł w oka mgnieniu.

Nastąpiła głęboka cisza, nic... nie słycać nie było.

W kilka dni potem rybacy wyciągnęli z Sekwany, około mostu d'Auteuil trupa młodej kobiety, który przesłany do Morgi, nie został przez nikogo poznany. Był to trup Walentyny.

Dzienniki zamieściły krótką wzmiankę o tym wypadku, różnie go tłumacząc.

Co zaś do Pawła Gerard, ten nie zadał sobie nawet trudu, by pójść do Morgi. Na co miał się tam trudzić?

Nazajutrz, po owej ponurej nocnej scenie, jaką opisaliśmy powyżej, służący Filip odwiózł dziecię do wioski Blaisois, gdzie je powierzył opiece swej siostry, wieśniaczki zameżnej.

Biedna ta drobna istota, żywiona doskona'em mlekiem, wkrótce do sił wróciła. Dziecię rośło do zadziwienia, okazując w tak młodym wieku rozwijającą się w sobie niezwykłą inteligencję, obok której jednakże zarówno i złe instynkta w nim dojrzewały.

— Żywy obraz naszego pana! mówił Filip do siostry, przynosząc jej miesięczną zapłatę, jaką profesor najregularniej przysyłał za syna.

Mówimy za syna, mimo, iż Paweł Gerard dotąd nie adoptował go jeszcze i dziecię nie posiadało nazwiska. Profesor bowiem, będąc nader ostrożnym, obawiał się, by uczyniwszy to, nie był przez kogoś niepokojonym w przyszłości.

W dniu, w którym służący odjeżdżał z dziećciem do Blaisois, dla umieszczenia go tam u swej siostry, Paweł Gerard udał się do komisarza policji, zeznając, iż podczas ubiegłej nocy, skoro do domu powrócił, znalazł na progu mieszkania porzucone niemowlę przez jakąś matkę wyrodną. Dodał, iż chce zająć się wychowaniem tego dziecka, oraz, że być może później, gdyby się przywiązał do niego, przyjmie je za własne i nada mu swoje nazwisko. Komisarz nie omieszkał obsypać go pochwałami za tak wysoką szlachetność charakteru.

Paweł Gerard zajmował wysokie społeczne stanowisko. W trzydziestym roku życia był oficerem legji honorowej. Otaczał go powszechny szacunek i poważanie.

Skoro rozeszła się wieść, że przyjął opuszczone dziecko i otoczył je swą opieką, sławiono go wszędzie.

Przez pięć lat profesor nie odwiedził ani razu swojego syna. Nigdy nie pytał się o niego. Filip jedynie był pośrednikiem pomiędzy ojcem i dzieckiem. Co miesiąc jeździł on z zapłatą do swojej siostry.

Chłopiec rósł, rozwijając się umysłowo, lecz zarazem coraz złośliwszym i chytrzejszym się stawał. Z oblicza i całej postaci uderzająco podobnym był do profesora. Były to te same rysy twarzy, tenże kształt nosa, ust, też same oczy.

Do pioruna! mówił Filip, śmiejąc się, do siostry, pan Gerard wyprzeć się go nie może. Ów malec, to żywy jego portret, będzie tak rozumnym, jak ojciec. Szkoda, że pan nie każe przywieźć go do Paryża, aby go mógł zobaczyć.

— Nie zważając na to, zabierz go z sobą na dni parę, odrzekła wieśniaczka.

— Masz słuszność... dobrze mówisz.

Filip, od lat pięciu jeżdżąc co miesiąc do Blaisois, przywiązał się do dziecka Walentyny. Słowa siostry trafiły mu do przekonania, postanowił zabrać z sobą chłopca, próbując tym sposobem zjednać dla niego swojego pana, co też uczynił. W drodze jednakże myślał z obawą o wybuchu gniewu, jaki go spotkać może ze strony profesora.

Mylił się w tym razie. Chłopiec za pierwszym spojrzeniem zdobył serce ojca, który w nim ujrział swą własną postać w latach pacholecych. Ukryte, a nieznanne dotąd temu człowiekowi uczucie wstrząsnęło nim do

głębi; nie chciał się już rozłączyć z ową istotą tak dotąd wzgardzoną i bezzwłocznie zajął się sam wychowaniem chłopca.

Łatwo pojmujemy, iż przy takim nauczycielu bystry umysł dziecka rozwijał się w sposób zdumiewający.

W czternastym roku życia syn Walentyny posiadał naukę, jakiej mu zazdrościć mogli uczniowie o lat kilka starsi od niego. W tym to właśnie czasie Paweł Gerard nadał chłopcu swoje nazwisko, postanowiwszy, skoro podrośnie, prawnie go adoptować.

#### XIV

W dwudziestym roku życia Karol Gerard mówił dziewięcioma językami, odznaczając się obok tego zarówno w matematyce i algebrze; wszelako jednocześnie z nauką rozwijały się w nim występne instynkta.

Zajęty bezustanną pracą w kolegium, profesor nie mógł zajmować się domowem życiem swojego syna. Po za godzinami nauki, chłopiec miał sobie pozostawioną wolność zupełną.

Paweł Gerard nie posiadał osobistego majątku, szkolna jednakże katedra, jaką zajmował od lat dwudziestu, a obok tego wspaniałe dzieła lingwistyczne, przezeń publikowane, których edycje z każdym rokiem się zwiększały, przynosząc znakomite sumy pieniędzy, pozwoliły mu wyznaczyć dość znaczną pensję miesięczną synowi na jego osobiste wydatki i rozrywki.

Dla każdego innego młodzieńca pensja ta byłaby więcej niż wystarczającą, dla niego była ona niedostateczną.

Obdarzony wyjątkową siłą fizyczną, trawiony żądzą rozrywek, biegał po balach, restauracjach, domach gry, zawiązując stosunki znajomości z ludźmi różnych kategorii.

Służący Filip wiedział o owem życiu hulaszczem młodego panicza, uległy dlań jednak, krył to wszystko przed profesorem, który, pomimo braku w sobie zasad moralnych, byłby z pewnością na to nie pozwalał, z uwagi na własne dobro młodzieńca.

W tym czasie zmarł Filip. Zgon tego człowieka sprawił wielką różnicę Karolowi. Stary ów sługa bowiem z zebranych na dalsze lata oszczędności przychodził niejednokrotnie z pomocą młodzieńcowi w jego kłopotach pieniężnych.

Nowoprzyjęty służący postępował inaczej, co nieraz stawiało Karola w trudnem położeniu. Dla wydobycia się z tego począł grać w karty, to jednak nie wiele mu zysku przynosiło, ponieważ fortuna nie zawsze sprzyjała.

Wśród takich okoliczności, Paweł Gerard zapytał syna dnia pewnego, jaki zawód pragnąłby obrać sobie na przyszłość?

Pytanie to zakłopotало niezmiernie młodzieńca. Jaką bowiem obrać karierę nawykłemu do wolności bez granic i hulaszczego życia? Jakikolwiek bądź obowiązek krępowałby go niewypowiedzianie. Trzeba się poddać naówczas wymaganiom zwierzchników, przybywać do pracy o oznaczonej godzinie, usiąść przy biurku, zagłębiwszy się w robocie przez ciąg prawie dnia całego.

Wspomnienie o czemś podobnem sprawiało mu wstręt, łatwy do zrozumienia. Profesor dostrzegł wa-

chanie syna, ale nie odgadł jego rzeczywistej przyczyny.

— Nie obrałeś, rzekł, jeszcze stałego zawodu, jak widzę, radzę ci przeto tymczasowo w banku się umieścić. Jeden z moich przyjaciół przyjmie cię chętnie do swego domu handlowego i wtajemniczy w rachunkową manipulację. Z twoją inteligencją i nauką, jaką posiadasz, możesz sobie wywalczyć najświetniejszą przyszłość.

Karol przekonany, iż w razie stawienia oporu woli ojca, tenże cofnąłby wypłacaną mu dotąd pensję, zgodził się na propozycję. Czynności bankowe zresztą dość mu się podobały. Przyjętym więc został do biura przyjaciela swojego ojca, jednego z głównych finansistów Paryża, gdzie powierzono mu dział rachunkowości i korespondencyj.

Po upływie trzech miesięcy zajął jedno z głównych stanowisk w domu bankiera, który słów nie miał na jego pochwały.

Nowa ta sytuacja, tak zadawalająca z pozoru, miała tę złą stronę, iż przy lekkomyślnym charakterze Gerarda, obznajamiała go z pieniężnymi obrotami. Żyjąc w owem kole, gdzie paki biletów bankowych i stopy złota przerzucano od rana do nocy, Karol doznawać zaczynał pokus dotąd sobie nieznanych. Jedna, niepokonana myśl go ogarnęła: zdobyć pieniądze, wiele pieniędzy, aby za ich pomocą zaspakajać wszystkie swe żądze, kruszyć wszelkie zapory i urzeczywistniać najbujniejsze fantazje.

— Bogactwo... owo bajeczne, niewyczerpane bogactwo, powtarzał, oto cel życia człowieka.

Podczas, gdy owo gorączkowe pragnienie majątku

demoralizowało go coraz bardziej, nie przestawał hulać po nocach, uganiać się za łatwymi miłośkami i uczestniczyć w orgiach, pociągany ku nim przez towarzyszków najniższego rodzaju, z jakimi wszedł w stosunki.

Rzecz naturalna, iż obok tego grać w karty nie przestawał, mimo, iż co noc prawie przegrywał.

W podobnych warunkach pensja jaką pobierał u bankiera, wraz z zapomogą ojcowską, były kroplą w morzu.

Co począć w takim położeniu?

Nie zadziwi to nikogo, iż człowiek, będący na drodze podobnego zepsucia, kraść zaczął.

Wezwany do pracy przy bankierze celem zastąpienia nieobecnego chwilowo sekretarza, przywłaszczył sobie z kasy paczkę biletów bankowych, a dla ukrycia tej kradzieży sfalszował rachunek w księdze kasowej, co go też właśnie zgubiło. Niedokładność ta wprędce spostrzedz się dała. Sprawcą kradzieży nie mógł być kto inny, jak sprawca sfalszowania i odwrotnie.

Bankier, który go bardzo polubił i obdarzał najzupełniejszym zaufaniem, na tę wiadomość osłupiał przerażony. Co począć? Od lat dwudziestu był szczerym przyjacielem Pawła Gerard, otaczając go, jak zresztą wszyscy, uwielbieniem i poważaniem. Jak więc obrzucić hańbą to nazwisko, dotąd tak czyste, wskazując złodzieja w dziecku, przytulonem do serca przez tego szlachetnego człowieka, w dziecku, które on tak ukochał, w którym swe wszelkie położył nadzieje? Z drugiej strony występki, spełnione przez młodego łotra, nie mógł ujść bezkarnie.



Po długim rozmyślaniu, bankier udał się do Pawła Gerarda i z największą ostrożnością oznajmił mu o występku, spełnionym przez syna. Cios był strasznym, pomimo środków ostrożności, przedsięwziętych ze strony bankiera, profesor padł, rażony apopleksją.

Karol za przybyciem do domu znalazł ojca umierającym.

Walentyna w chwili spełnienia samobójstwa obrzuciła przekleństwem nędznika, który ją uwiódł i zdradził. Ów nędznik, uderzony ciosem przez własnego potomka, skutkiem jego haniebnego czynu, rzucił nawzajem na niego przekleństwo. Umarł ze złorzeczeniem na ustach dla syna Walentyny.

Wobec trupa owego człowieka, który bądźco bądź dla młodego łotra okazał się dobrym i kochającym, Karol nie uczuł żadnych wyrzutów sumienia.

— Jestem wolnym! pomyślał, nikt odtąd nie ma prawa do sprawdzania i śledzenia mych czynów.

Testamentem, dawniej sporządzonym, profesor przekazywał mu wszystko, co posiadał, to jest pięćdziesiąt tysięcy franków.

Po owej kradzieży, spełnionej u bankiera, mimo, iż Karol był pewnym, że tenże o niej nie rozgłosi, postanowił Paryż opuścić, przynajmniej czasowo. Wyjechał do Anglii, gdzie prowadził życie hulaszce, jak pierwiej.

Pieniędzy mu nie brakowało, dostarczał ich sobie różnemi sposobami, wszedłszy w stosunki z ludźmi najniższych warstw społecznych.

Pięćdziesiąt tysięcy franków, odziedziczonych po

profesorze, wystarczyły na kilka miesięcy zaledwie; po upływie tego czasu zasoby się wyczerpały. Jak od-  
tąd żyć i z czego?

Karol zaczął natenczas szukać środków w nauce. Począł udzielać lekcje języków, a wieczorami roztrw-  
niał w tawernach to, co w ciągu dnia zarobił.

Mimo to lekcje mu napływały, jedni uczniowie strę-  
czyli drugich, między którymi znajdowała się młodzież  
ze sfer arystokratycznych. Wszedł w koła tych rodzin,  
wśród których pozyskał sobie szacunek i уваżanie dla  
swojej inteligencji i głębokiej nauki.

Gdyby był chciał zostać ucziwym człowiekiem,  
mógłby zdobyć majątek za pomocą rozległej wiedzy,  
jaką posiadał. Nie porzucił jednak występnych swoich  
nawyknień. Szynkowniani jego przyjaciele z baczną  
ciekawością śledzili obniżanie się moralnego poziomu  
tego człowieka.

I otóż nareszcie Karol Gerard połączył się z bandą  
złoczyńców, plądrujących w pałacach bogatych mie-  
szkańców Londynu, którzy to rabusie z uwagi, iż on,  
jako mający stosunki z zamożnymi rodzinami, ważnych  
wskazówek dostarczać im może, przyjęli go do swego  
grona, obiecując znaczne zyski z łupów, otrzymanych  
przy jego pomocy.

Łotr nie zawahał się na chwilę. Przyrzekł do-  
starczać wskazówek, jakich od niego żądano. Zaczawszy  
w Paryżu swą edukację zbrodni, uzupełnił ją w Londynie.

Pomiędzy tymi to rozbójnikami, których stał się  
wspólnikiem, poznał Will Scotta i Trilbego, dwóch  
czynnych członków bandy złodziei.

W rok po przybyciu swoim do Londynu, Karol Gerard, wskutek rekomendacji pewnego lorda, którego dzieciom lekcje udzielał, został wezwanym dla dawania takichże lekcji synowi Jerzego Stanley, dyrektora domu bankierskiego Mortimera przy ulicy Regent-street.

Jerzy Stanley, rozmawiając często z nauczycielem swojego syna, miał sposobność poznania jego wysokiej inteligencji i nauki. Oцениwszy takowe, powziął przekonanie, że Karol Gerard, biegły matematyk i znakomity lingwista, mógłby z korzyścią pracować w domu bankierskim, którym on zarządzał. Powierzył mu przeto miejsce naczelnika korespondencyj.

Gerard przyjął ów obowiązek, zapewniający mu świetne na przyszłość widoki, a zarazem możność udzielania dalszych wskazówek swoim wspólnikom ze Starego Londynu, pod którą to firmą zorganizowana banda dzieliła zyski ze swym kierownikiem, zajmującym pierwszorzędne handlowe stanowisko.

#### XV.

Pewnego dnia Will Scott i Trilby, źle obrachowawszy plan swojej ucieczki, wpadli w ręce policmena i zostali przezeń przytrzymanymi.

Karol Gerard mocno się tem zatrwożył. Gdyby bowiem wymienili jego nazwisko, byłby zgubionym na zawsze.

Należało mu bądźco bądź ocalić tych dwóch rabuśców, ażeby przez nich nie zostać wydanym. Lecz w jaki sposób? Stawiał sobie bezustannie to zapytanie, nie mogąc na nie znaleźć odpowiedzi. Wreszcie w chwili,

gdy stracił wszelką nadzieję, został mu oddanym przez jednego ze stowarzyszonych w bandzie list tajemniczy, w którym powiadał go Will Scott, że nadzorcę więzienia, gdzie zostali zamknięci przekupić można i że za sumę tysiąca funtów szterlingów gotów on jest ułatwić im ucieczkę. Gerard nie zawahał się na chwilę.

Pewien, że każdego z pracowników banku mogliby raczej mieć w podejrzeniu niż jego, przywłaszczył sobie z osobistej kasy Jerzego Stanley'a potrzebną ilość banknotów na wykupienie Scotta i Trilbe'go, posławszy im takową przez doręczyciela listu.

Przez dwa tygodnie nie odbierając żadnej wiadomości, żył w największej trwodze i niepokoju. Szesnastego dnia nareszcie otrzymał z Paryża list następujący:

„Ptaki umknęły. Nie zapomną one nigdy wspaniałomyślnej ręki, która otworzyła im klatkę. Pragną znaleźć sposobność do okazania swojej wdzięczności i poświęcenia. Gdyby powyższy dobroczyńca zapotrzebował ich kiedy, niechaj przybędzie do Paryża i uda się na ulicę de Ponthieu, do Domu pod czerwonym numerem, Hasłem na wejście do tegoż domu jest: Chcę widzieć stary nasz Londyn. Ptaki tam będą.“

List ten, mimo, że bez podpisu, nie pozostawiał żadnych wątpliwań. Jasno wskazywał, od kogo pochodził. Po przeczytaniu go, Gerard uczuł, jak gdyby mu ktoś kamień zdjął z piersi. Odetchnął swobodnie.

Wkrótce potem wysłanym został do Paryża przez Jerzego Stanley'a, dla uregulowania rachunków w jednym z tamtejszych domów bankierskich. Korzystając

z owej podróży, pośpieszył na ulicę Ponthieu dla zobaczenia się z Wiliamem Scott i Trilby'm, którzy ponowili mu oświadczenia swojej dozgonnej wdzięczności.

Upłynęło odtąd trzy lata.

Wiedzą już nasi czytelnicy, że owi dwaj angielscy złodzieje po upływie tego czasu znaleźli się na najniższym stopniu występków; znają również zbrodniczy zamiar, który przyprowadził do Paryża Karola Gerard, a raczej Arnolda Desvignes.

Ów były sekretarz z Kalkuty, rozstawszy się z Will Scottem w pobliżu Halles, wrócił do siebie i spać się położył.

Wczesnym rankiem nazajutrz, mimo, że nie spał wiele, zerwał się z łóżka, a ubrawszy się spieszenie i wzięwszy z sobą pewną kwotę pieniędzy, wyszedł ulicą de Tournelles. Na bulwarze Beaumarchais nawprost restauracji pod Czterema sierżantami, przywołał fiakra którym jeździł po różnych magazynach ubiorów, perfumerji i fryzjerskich zakładach.

U perfumiarza nakupił kosmetyków i kilka flakonów tynktury. U fryzjera nabył kilka peruk o włosach różnej barwy, wraz z wąsami i faworytami, zastosowanemi do tychże; na usprawiedliwienie zaś nabytków powiedział fryzjerowi, że jest aktorem, wyjeżdżającym na prowincję.

We dwie godziny wrócił na ulicę des Tournelles. Odźwierna, znajdując się w bramie natenczas, dopomogła znieść owe bagaże do pawilonu. Po jej odejściu, Arnold zasunął rygiel, a otworzywszy drzwi do ciemnego pasażu, znajdującego się obok sypialni, urządził

tam sobie garderobę ze świeżo nabytych przedmiotów, między którymi znajdowało się kilka kostjumów. Wybrał z nich jeden, lecz przed przywdzieniem go rozpakował kosmetyki, kupione w perfumerji, i w okamgnieniu, ze zręcznością wprawnego aktora twarz sobie ucharakteryzował.

Po dokonaniu tego wdział rudą perukę, przyprawił sobie długie faworyty tejże samej barwy, ubrał się w garnitur sukieny kasztanowatego koloru, wziął swój podróżny miękki kapelusz, przerzucił przez ramię pas skórzany z zawieszonym na nim futerałem od lunety, zamknął drzwi na klucz i wyszedł z pawilonu furką na bulwar Beaumarchais.

Przebrany w ten sposób. Desvignes zestarzał się o lat dziesięć. Miał minę najbardziej angielską ze wszystkich anglików, minę starego klasycznego anglika, jakich nam w teatrach przedstawiają.

Gdy podszedł do fiakra, woźnica skłonił mu się nisko z zapytaniem:

— Gdzie milord jechać rozkaże?

— Na wzgórze Montmartre, w pobliżu bazyliki Sacré-Coeur. Il you plesse...

— Zasłużę na dobry napiwek, milordzie, bo moja szkapa nogi sobie poderwie w tym kursie opętanym.

— Aoh! yes, odrzekł mniemany anglik, nie obawiaj się... dostaniesz.

Woźnica ruszył z miejsca i fiaker potoczył się ku wzgórzom Montmartre przez bulwar Magenta, a następnie i przez zewnętrzne bulwary.

## POD MOJĄ WIOSKĄ.

Taki napis widniał nadedrzwiami restauracji, w której Will Scott umówił się na schadzkę z Karolem Gerard.

Budynek ów znajdował się na rogu ulicy św. Wincentego i ulicy des Saules, na północnej stronie wzgórza. Był to dom z gruba stawiany ze starych materiałów, składający się jedynie z parteru, oraz pierwszego piętra. Dwa powyłupywane stopnie kamienne prowadziły do sali, niezbyt przestronnej, w której znajdował się bufet, a na nim kilka dzbanków, kilka szklanek i kieliszków, parę litrów i stół otoczony tuzinem krzeseł. Po za bufetem, na półce przybitej do ściany w rodzaju etażerki, stały butelki z wódką różnokolorową. Drzwi, umieszczone w głębi, prowadziły do tak zwanego salonu, dość obszernej izby, z okrągłym stołem w pośrodku. Dwa małe stoliki, stojące pod ścianą, przeznaczonymi były dla przybyłych gości. Poobdzierane krzesła dopełniały reszty umeblowania. Umieszczony pod sufitem płomień gazu, tuż po nad stołem, zastępował miejsce lampy wiszącej. Ściany były wapnem bielone, lecz ta ich białość niknęła pod rysunkami i kolorowanymi rycinami, powycinanemi z dzienników, których redaktorem był znany Andrzej Gill.

Artysta ten, pełen werwy, wesoły towarzysz, zanim obłąkanie, owo złe naszego wieku, umysł jego ogarnęło, był niegdyś jednym ze stałych gości powyższego zakładu. Zostawił też w tym budynku ślady swego przejścia.

Pośród rysunków, improwizowanych przez jego przyjaciół, odznaczały się rzuty jego pędzla. Głównym z nich był napis ponad wejściem wewnętrznem. „Wej-

ściem wewnętrznem“ mówimy, ponieważ wiele osób znało jedynie restaurację na wzgórzu Montmartre, jako zakład: Pod królikiem A. Gill.

Nazwę tę usprawiedliwiał rysunek słynnego karykaturzysty, umieszczony na murze, przedstawiający królika w wysokim kaszkiecie, wskakującego w rądel, z butelką szampana w prawej łapce, z której gaz wysadza korek.

Narysowawszy to, artysta podpisał własnoręcznie: Pod królikiem, A. Gill. Podpis ten pozostał dotąd na murze.

Salon, który opisaliśmy powyżej, otrzymał nazwę: Sali obiadowej morderców. Raziło to z pozoru, lecz w rzeczywistości nie zawierało w sobie nic strasznego.

Gośćmi, jacy zbierali się tu zwykle dwa razy na tydzień, byli przeważnie młodzi malarze i muzykanci.

Na każdym z takich obiadów musiała być podana potrawka ze zwierzyny. Dwóch więc królików, przeznaczonych na tę potrawę, wspomnieni goście zabijali wystrzałem z rewolweru w ogrodzie restauracyjnym, z kąd te obiady nazwano: Obiadami morderców.

## XVI.

W ogrodzie, gdzie popełniano wspomniane morderstwa królików, znajdowały się altanki ze stolikami, otoczone zielenią, co podczas pięknych dni lata nie małą było przynętą dla przybywających tu gości.

W chwili, gdy przestępujemy próg tego zakładu, właściciel znajduje się za kontuarem, rozmawiając z



dwoma stojącymi przed nim mężczyznami.

Wyrostek piętnastoletni siedzi przy stoliku pod ścianą, jedząc śniadanie, składające się z kawałka chleba z serem i kieliszka wina. Dwaj inni mężczyźni, rozmawiający z gospodarzem, są to Will Scott i Trilby.

Pierwszego już znamy. Drugi, jak jego towarzysz, mogący mieć około lat trzydziestu, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, krzepki i silny, wyróżnia się bladą, podłużną twarzą, otoczoną płowymi włosami. Ubiór jego jest tak zniszczonym, jak i odzienie Will Scotta.

Właściciel pozdrowił przybyłych życzliwym skinieniem głowy.

— A! to wy, panowie. Zawołał, wy, z cyrku Fernando, oddawna już was u siebie tu nie widziałem.

— To prawda, rzekł Trilby, tak dobrze władający językiem francuskim, jak i jego towarzysz, nie mamy czasu, my, służebnicy cyrku. W dzień próby, wieczorem znów przedstawienia, słowem jest się tam ciągle związanym, a chcąc tu przybyć, najmniej godzinę czasu potrzeba.

Jednocześnie głos młody dał się słyszeć w głębi sali. Był to głos młodego chłopca, jedzącego śniadanie.

— Będziesz pan występował w nowej pantominie, panie Trilby? zapytał.

Obaj mężczyźni zwrócili się w stronę mówiącego.

— Zkąd ty mnie znasz? odparł zagadniony.

— Ba! zkąd znam pana? dziwne zapytanie, rzekł chłopiec. Znam cię tak dobrze, jak wodotrysk Wallace, w którym uśmierzam pragnienie, gdy nie mam pieniędzy na coś lepszego. Bywam w cyrku Fernando dwa razy

na tydzień. Wolę raczej obyć się bez obiadu, a w cyrku być muszę. Podziwiam jeźdźców i linoskoków, gimnastyków, tresowane psy i konie, kłownów, małpy, słowem tę całą cyrkową menażerję! Ach! panie Trilby, pan mnie zachwycasz, skoro cię ujrzę skaczącym w skórze niedźwiedzia.

— To pewna, że przedstawiam niedźwiedzi z wielkiem powodzeniem, rzekł z dumą Trilby.

— Ach! pan masz talent, wielki talent, mówił chłopiec dalej, jesteś jakby na to stworzonym. Pękać trzeba ze śmiechu patrząc na twoje pantominy.

— Tak... jeśli jestem w usposobieniu, mruknął Trilby.

— Zawsze w niem jesteś, zawsze! nieprawdaż, panie Will Scott? pytał podrostek.

— Jakto... i mnie znasz także? zawołał irlandczyk z uśmiechem.

— Do czarta! jesteś pan nierozłącznym przyjacielem pana Trilby, rzekł chłopiec. I ciebie również podziwiam, gdy z długim biczem w ręku, w sukni z ogonem i w szerokich, złotem naszywanych pantalonach, podrzucasz jajka indyjskie, chwytając je w powietrzu. Jestem dzieckiem naszego okręgu, stałym gościem cyrku Fernando.

— Lecz czemże mogę służyć panom? przerwał właściciel zakładu.

— Najprzód dwa kieliszki piotunówki, odrzekł Scott, a później pomówimy o reszcie.

— Będziecie więc jedli u mnie śniadanie?

— Tak... lecz chcielibyśmy coś niezwykłego... wykwintnego... Pragniemy ugościć pewnego dżentelmena,

dyrektora cyrku amerykańskiego, który nas angażuje do siebie.

— Podam więc wam na pierwsze danie królika, chwałę mojego zakładu.

— Schocking! zawołał Trilby z tak komicznem skrzywieniem, iż młody wyrostek wybuchnął śmiechem.

— Nie... nie! żadnych królików! odparł Will Scott. Ja sam podyktuję potrawy.

Gospodarz zakładu wziął szyfrową tabliczkę wraz z kawałkiem kredy i gotów był do pisania.

Scott dyktował:

— Szynka York i lionśka kielbasa, sardele ze świeżem masłem. Łosoś w majonezie, schab z młodem kartofelkami. Sałata i legumina. Na deser ser Chester, owoce, kawa i likiery. Co zaś do wina, daj pan najlepsze, jakie masz w swojej piwnicy.

— A! do kroć tysięcy! zawołał młody chłopiec, nie mogąc powściągnąć się dłużej, Otóż prawdziwa uczta Baltazara! Na honor! jakim Misticot... jest to nazwa, jaką mi nadano, jakim Misticot, powtarzam, słysząc o tem wszystkim, można nabrać nielada apetytu. Zkąd tyle potraw i tak wykwintnych? Czy w cyrku Fernando dają dziś przedstawienie na wasz benefis?

— Być może, odrzekł Scott z uśmiechem.

— W takim razie fundujcież mi choć pół butelki białego wina, do tego ot! ostatniego kęsa chleba z serem.

— Zgoda... na pół butelki... trącimy się z tobą.

Właściciel restauracji kazał przynieść dwa kieliszki piolunówki i pół butelki białego wina.

Obaj anglicy trącili się z młodym chłopcem, poczem

Trilby, uderzając go w ramię, zawołał:

— Podobasz mi się, ty, mały! Jesteś znawcą. Potrafiłeś mnie ocenić pod skórą niedźwiedzia! Radbym dla ciebie coś zrobić. Tymczasem, za twoje zdrowie!

— Na którą godzinę ma być przygotowane śniadanie? pytał restaurator.

— Na jedenastą.

— Będzie gotowem.

— W Salonie morderców?

— Tak... rozkaż pan położyć tam trzy nakrycia.

Gospodarz poszedł do kuchni wydać rozkazy.

— Panie Trilby, pytał wyrostek, powiedz mi pan, proszę, ile też zarabiasz w cyrku Fernando?

— Sto osiemdziesiąt franków miesięcznie.

— E! to mało, odrzekł Misticot; z podobnej pensji nie mógłbyś często urządzać uct, podobnych do dzisiejszej. W każdym jednak razie zarabiasz więcej odemnie. Prawda, żem ja obecnie komarem. Skoro wyrosnę, zostanę człowiekiem, zobaczycie natenczas!

-- Czemże ty się trudnisz teraz?

— Ba! odrzekł chłopiec, mam trzydzieści sześć rzemiosł!

— A przedewszystkiem wyciągasz rękę po co się zdarzy... he?

— Jakto! wyciągam rękę? zawołał chłopiec z urazą. Sądźcie więc, że ja proszę o jałmużnę? Nie... nie! Misticot nie przełknąłby takiego chleba!... Pracuję uczciwie na wyżywienie się, zapłacenie mieszkania, sprawienie sobie odzieży i opranie. Spisałem mały rachunek i powiedziałem sobie: „Masz trzydzieści pięć

sous do wydania dziennie... nie wolno ci więc wydać trzydziestu sześciu!" Razem biorąc, zarabiam około czterdziestu, z których pięć na oszczędność odkładam. Składam to do skarbonki, aby było kiedyś na czarną godzinę.

— Do czarta! jesteś więc przezornym! jak widzę...

— Mali paryżanie wszyscy są takimi.

— Jakież to są owe trzydzieści sześć rzemiosł, o których mówiłeś przed chwilą?

— Słuchajcie! Sprzedaję dzienniki po pięć centymów... łańcuchy do drzwi, tanie zabawki dla dzieci... Latem sprzedaję kwiaty, uzbierane w polu, po za rogatkami... zimą czyszczę buty przechodniom... otwieram drzwiczki u fiaków i powozów... biegam za posyłkami... rozdaję prospekty... zbieram odpadki cygar... A obecnie zajmuję się sprzedażą medalików.

— Medalików? powtórzył Will Scott.

— Tak, medalików na pamiątkę odbudowania kościoła Sacré-Coeur, który odnawiają ot tu, na wzgórzu. Dochodem, jaki z tego osiągam, mogę zapłacić mieszkanie, co wynosi piętnaście franków miesięcznie; to lepiej, nieprawdaż, niż leżeć na wybrzeżu pod mostami, lub w złych towarzystwach tracić czas i pieniądze!

— Jak widzę, jesteś nabożniem, rzekł Trilby szyderczo.

— Nie, ja nie jestem bigotem! odparł Misticot poważnie; wierzę jednak w dobrego Boga, ponieważ wszystko, cokolwiek bądź widzę wokoło siebie, mówi mi o Jego istnieniu. Tak! wierzę gorąco w opiekę Stwórcy, w Jego sprawiedliwość i miłosierdzie, a wszystkich nie

wierzących, uważam za głupców i rzecz skończona!

Wymawiając te słowa, chłopiec zapłonął zapalem.

— Patrzaj! ta mała żaba lepsze potrafi wygłosić kazanie, niż sam ksiądz proboszcz, zawołał, śmiejąc się, Will Scott.

— Nie dziwnego, odparł Misticot, ponieważ to proboszcz z Montmartre, nauczył mnie, że trzeba być uczciwym człowiekiem, pracą na życie zarabiać i nikomu krzywdy nie czynić. Pamiętam to dobrze i nigdy nie zapomnę! Ów ksiądz, ucząc mnie tego, ocalił mnie może przed gilotyną; dopóki więc żyć będę, wdzięcznym mu za to pozostanę; i niechby ktoś chciał krzywdę wyrządzić temu człowiekowi, no... miałby się z pyszna!

— No... no! zostań sobie przy swoich zapatrywaniach, rzekł Will Scott, nie masz się o co gniewać, nikt ci ich nie odbiera.

— Daremnieby bowiem kusił się o to, odpowiedział chłopiec, zapalając cygaretkę. A teraz, dodał, zabieram się do sprzedaży moich medalików. Może kupicie po jednym? Szczęście przynieść wam to może...

I wzięwszy ze stołu, przy którym jadł śniadanie, czarne, drewniane pudełko, otworzył takowe.

Wnętrze pudełka podzielonem było na kilka przegródek. W jednych znajdowały się różańce, w innych małe obrazki świętych, dalej medaliki mosiężne i posrebrzane.

Obaj anglicy ciekawie się temu przypatrywali.

— I wszystko to poświęcane? zapytał Trilby...

— Ja za to ręczę, odrzekł Misticot z powagą.

— I ręczysz, że to nam szczęście przyniesie?

— Na pewno! rzekł chłopiec. No, bierzcie po jednym.

Tu wyjąwszy z pudełka dwa posrebrzane medaliki, podał je irlandczykowi.

## XVII.

Scott wraz z Trilbym, wzięwszy je z rąk Misticota, oglądać zaczęli.

Medaliki te były podłużnego kształtu, z maleńkiem w górze kółeczkiem do zawieszania. Na powierzchni, wyrytym wypukło, był kościół Sacré-Coeur, z datą roku przebudowania tegoż.

— Ileż to kosztuje? zapytał Will Scott.

— Niedrogo, po jednym franku za sztukę.

— Weźmiemy po jednym, aby ci zrobić dobry początek, rzekł Trilby. Oto czterdzieści sous, dodał, kładąc na stole pieniądze.

Will Scott wpatrywał się w medalik, trzymając go w rękę.

— Lecz mój jest uszkodzony, wyrzekł z uśmiechem.

— Gdzie? pytał chłopiec.

— Patrz! oto w środku mała dziureczka, światło przebija przez nią wyraźnie.

W rzeczy samej, w pośrodku medalika znajdowała się szparka maleńka, skutkiem niedokładnego zlutowania.

— Daj, zmienię ci go na inny, odrzekł Misticot, stwierdziwszy uszkodzenie.

— Nie zadawaj sobie trudu, mój chłopcze, ten wbrałem, niechaj on przy mnie pozostanie. Wszak mówią, że pieniądz przedziurawiony szczęście przynosi.

Tu Scott wsunął medalik w kieszeń kamizelki. Trilby

toż samo uczynił.

Misticot, schowawszy swoje czterdzieści sous, założył na szyję taśmę, podtrzymującą mu na piersiach pudełko.

— Dziękuję, rzekł, życzę wam dobrego apetytu, panowie. I wzięwszy ze stołu swoją cygaretkę, zwrócił się do właściciela zakładu. Do widzenia, ojcze, dodał, jutro znów przyjdę tu na śniadanie, poczem wyszedł z sali.

W ulicy, o kilka kroków od zakładu, zetknął się z mężczyzną, podążającym w tę stronę, z zapalonem w ustach cygarem. Cała postać nieznanego oznajmiała w nim najczystszej rasy anglika. Misticot przystanąwszy zdjął czapkę.

— Wybacz pan, zaczął, lecz zapomniałem zapalić cygaretkę, a nie mam zapalek, możebyś mi pan raczył ognia użyzyć?

Pałacy ów, kóry był Karolem Gerard, a raczej Arnoldem Desvignes, podał prosiącemu tlejące cygaro. Chłopiec, zbliżywszy do ognia swą cygaretkę, zapalił ją w oka mgnieniu, a podczas owej czynności wzrok jego śledził badwco rysy twarzy mniemanego anglika.

— Pan jesteś cudzoziemcem? pytał Misticot, puszczając kłęb dymu ze swej cygaretki.

— Aoh!... yes... odparł Desvignes, chcąc odejść.

— Anglikiem... zgaduję to po akcencie milorda, mówił chłopiec dalej.

— Aoh! yes..

— Przybywasz zapewne tutaj, milordzie, dla zwiedzenia wzgórza Montmartre, mówił podrostek uparcie,



monumentalnego kościoła Sacré-Coeur, który właśnie przebudowują, dawnego cmentarza nader ciekawego, bardzo starego cmentarza. Ja jestem dzieckiem tych wzgórz, milordzie. Małem pacholeciem biegałem po tym cmentarzu, znam historję każdego grobu lepiej, niż ktokolwiek bądź inny, i jeśli milord pozwoli, mogę mu służyć za przewodnika w Montmartre.

Arnold odchodził w milczeniu, Misticot szedł za nim. Napróżno oganiał się natarczywemu chłopcu, wyrostek postanowił go z rąk nie wypuścić.

— Ja nie chcę znaglać ku przechadzce milorda, powtarzał, lecz może milord kupi przynajmniej u mnie medalik, to szczęście przyniesie. Tu otworzył pudełko. Oto są srebrne i poświęcane, po jednym franku za sztukę. Kupują je nawet biedacy, mający zaledwie po kilka sou w kieszeni, a milord ma zapewne pugilares dobrze wypchany.

Arnold, zniecierpliwiony natarczywością małego paryżanina, przystanął w pobliżu budynku, a sięgnąwszy do kamizelki, rzucił dwadzieścia sous w otwarte pudełko, wziął medalik z rąk Misticota, wsunął go do kieszeni i mruczając w gniewie coś po angielsku, szedł w dalszą drogę.

— Dziękuję ci, milordzie! wołał podrostek, jesteś prawdziwym dżentelmenem. Medalik przyniesie ci szczęście... jeżeli, notabene, nie jesteś protestantem.

Desvignes wszedł do restauracji, gdzie oczekiwał na niego Scott z Trilbym.

Misticot, zatrzymawszy się, śledził go wzrokiem.

— Ha! ha! zawołał, śmiejąc się wesoło, teraz ja

odgaduję. Jest to dyrektor amerykańskiego cyrku, który chce wziąć do siebie obu naszych artystów. Zabawna to figura ów anglik; milczący, nierozmowny... a o h! yes... a o h! yes! No... ale przecie kupił medalik. Trzeci sprzedałem dzisiaj od rana, a dopiero jedenasta godzina, może targ pójdzie pomyślnie i dalej. Tak mówiąc, chłopiec postępował ulicą św. Wincentego, kierując się w stronę budowy kościoła. Lecz jeśli ta postać o rudych faworytach, ciągnął dalej, zabierze Scotta i Trilbego do Ameryki, nie będę ich już widywał w cyrku Fernando. To mnie gniewa!... Trilby był niezrównanym w niedźwiedziej skórce. Lecz ugaszczają nielada owego pana dyrektora... tyle potraw i tak wykwintnych, z kąd oni mogą mieć na to pieniądze? Z pozorów wyglądają oba na zręcznych raczej oszustów, niż uczciwych ludzi. Wynika stąd, że trzeba się mieć na baczności, ale i niezbyt pochopnie sądzić o drugich.

Tu drgnął nagle, uderzony w ramię przez kogoś. Obróciwszy się, ujrzał przed sobą młodego dwudziestoletniego chłopca, kształtnego, dobrze zbudowanego, o niezwykle pięknem obliczu. Drobnny, czarny wąsik pokrywał mu zwierzchnią wargę. Czarne, duże, błyszczące oczy oświeślały twarz matową, bladą.

Burka z czarnej wełny, błękitnym pasem w stanie ujęta, pokrywała jego oliwkową, spłowiałą, aksamitną kamizelkę i tegoż koloru spodnie. Na głowie miał wysoką czapkę jedwabną, z pod której widać było starannie wypomadowane włosy. Z pod rękawów burki wyzierały mankiety od kolorowej koszuli, szerokie i długie. Była to postać najdokładniejsza jednego z owych

bulwarowych włóczęgów paryskich.

— Zkąd idziesz, Fryderyku? pytał obojętnie Misticot nie podając ręki spotkanemu.

— Zkąd? odparł rubasznie zapytany; odnosiłem do prania moją bieliznę ciotce Pierrot; trzeba pamiętać o sobie, chcąc się podobać kobietom.

— Kobietom... powtórzył Misticot, wzruszając ramionami, zawsze masz tem tylko głowę zajętą. A warsztat... pilnik... kowadło... o tem zapominasz, jak widzę?

— Idź do kroć tysięcy ze swym warszatem! zawołał Fryderyk. Sądziś więc, ty głupi komarze, że ja będę brukał sobie ręce żelastwem i kuł na kowadle? Spojrz... zobacz!

Tu pokazał ręce starannie pielęgnowane, na palcach których błyszcząły pierścionki z fałszywemi kamieniami.

— Widzę, że łapki masz białe, a na nich pierścienie, rzekł chłopiec, jest to szyk! Wszak lepszy szyk byłby, gdybyś porzucił to bzdurstwo, a zabrał się do roboty.

— Głupiś! naucz się odemnie, jak kierować barką wśród życia potrzeba.

— Tak... wraz z tobą, w stronę Kajenny...

— Jesteś prostakiem, gburem, niedelikatnym, zawołał Fryderyk.

— A w tem, co ty czynisz, jestże delikatność... jest jakaś szlachetność... myśl dobra... uczciwa?

— Co tobie do tego? Nie przychodzę prosić cię o nic.

— Z czego więc żyjesz?

— Kobiety o mnie pamiętają...

— Weź się, mówię ci, do pracy, bo źle skończysz, Fryderyku.

— Idź do diabła z twą pracą! Siły tylko przytem i zdrowie człek traci, a nie nie zyskuje! Staną ja przy pomocy kobiet wyżej od ciebie, ty mólu... zobaczysz! No! a teraz pójdź na kieliszek malasówki...

— Dziękuję... idę do mojej roboty.

— Lecz gdzie ona cię poprowadzi, ty... ty idjoto?

— Nie do domu poprawy... upewniam! Zresztą, niech każdy postępuje według własnego przekonania... niech czyni, co mu się podoba. Jedni mają sumienie, drudzy go nie mają. Przyszłość twa do ciebie należy. Bądź zrów... do widzenia!

Tu Misticot odszedł z pośpiechem.

#### XVIII.

Fryderyk, zwany w okręgu Rochechouart przez młode dziewczęta pięknym Fredem, włożywszy ręce w kieszenie, patrzył za oddalającym się Misticotem.

— Pocieszny ze swą moralnością ten głupiec! zawołał. Z jaką on miną powiedział: „Jedni mają sumienie, drudzy go nie mają...” Można było pękać ze śmiechu! Tu, wyjąwszy z kieszeni kilka sztuk drobnej monety, zaczął podrzucać ją w górę i chwycić w powietrzu. Oto moje sumienie! rzekł, śmiejąc się głośno, ma ono kurs wszędzie. Interesa wprawdzie nieźle mi idą, dodał po chwili, wszak nie posiadam jeszcze tego, czego bym pragnął. Muszę mieć powóz, salony i służbę... Tak! to nieodmiennie mieć muszę!

Tu, pomusnąwszy wąsika, szedł, nucąc znaną piosenkę z Pericholi:

Smutno, nudno, bo niestety,  
 Świat pustynią bez kobiety,  
 Kobiety, kobiety!

Misticot, jak wiemy, szedł ku wierzchołkowi wzgórz Montmartre i przystanął u wejścia do kaplicy, znajdującej się obok kościoła, w której mszę odprawiano.

— Kupujcie, wołał, medaliki Sacré-Coeur, kupujcie panowie i panie, one wam szczęście przyniosą.

Opuściwszy chwilowo tego młodego chłopca, jaki zajmie ważne stanowisko w naszej powieści, wróćmy do restauracji Pod królikiem A. Gill.

Były sekretarz bankiera z Kalkuty wszedł do tegoż zakładu.

Scott wraz z Trilbym siedzieli przy stole, gdzie ich pozostawiliśmy po odejściu Misticota. Spozrzegłszy we drzwiach Arnolda, spojrzeli nań oba, żaden z nich go jednak nie poznał.

Restaurator, wychodzący właśnie z Salonu morderców, gdzie kazał położyć nakrycia, zbliżył się ku przybytemu z zapytaniem:

— Co pan rozkaże?

W miejsce odpowiedzi, Arnold wygłosił słów kilka w angielskim języku, na które zerwawszy się Scott z Trilbym, podbiegli ku niemu z wyciągniętymi rękoma.

Jedno spojrzenie przybyłego nakazało im powściągliwość i uwagę.

— To nasz przyjaciel, nasz zaproszony, rzekł Will Scott do restauratora. Nie widząc go od lat trzech, nie poznaliśmy obecnie, tak się odmienił.

Desvignes zlekka się uśmiechnął.

— Jak pędko będzie śniadanie? zapytał Trilby.

— Możecie panowie siadać do stołu, zaraz podadzą.

Tu właściciel zakładu wskazał ręką wejście do salonu.

Wyszli wszyscy trzej razem.

— Mówmy po angielsku, rzekł z cicha Arnold, trzeba się mieć na ostrożności.

— Yes, my dear... odpowiedzieli razem Scott z Trilbym.

Siedli do stołu, zapełnionego omszałemi butelkami. Przez cały ciąg uczty mówili o rzeczach zupełnie obojętnych. Nakoniec podano kawę, likiery i cygara.

Tak właściciel restauracji, jak i służąca, nie potrzebowali wchodzić już teraz, chyba gdyby ich zawezwano.

Skoro drzwi zostały zamknięte wszczęła się pomiędzy trojgiem gości następująca rozmowa w angielskim języku:

— Znasz powód, jaki nas tutaj sprowadza? zapytał Arnold Trilbego.

— Wiem, że nas potrzebujesz, reszta mnie nie obchodzi, ten odrzekł. Twoje przybycie do Paryża wydobędzie nas z ciężkiej nędzy, w jakiej oddawna pozostajemy. Will mi powiedział, że przeznaczasz dla każdego z nas po dziesięć tysięcy franków. Jest to majątek. Zysk zresztą w tej sprawie gra podrzędną rolę. Pamiętaj o dęgu wdzięczności, jaki ci mamy do spłacenia za to, coś kiedyś dla nas uczynił, będziemy ci przeto posłusznymi na śmierć i życie. Will przyrzekł ci to w mojem imieniu. Potwierdzam jego obietnicę, jak on potwierdziłby moją. Cóż więc nam czynić rozkażesz?

— Będziecie gotowymi każdej chwili przez osiem

dni na moje skinienie.

— Mamyż opuścić miejsca, jakie zajmujemy w cyrku Fernando?

— Tak, wynajdźcie jaki pozór i otrzymajcie uwolnienie. Nie wiedząc dnia, ani godziny, o jakiej mi was zawezwać wypadnie, wolnymi być musicie.

— Drobnostka... jutro się uwolnimy... Cóż dalej?

— Trzeba, ażebyście się postarali o nabycie zamkniętego powozu, mogącego pomieścić cztery osoby.

— Rzecz to najłatwiejsza.

— Ów powóz wraz z zaprzężonym do niego koniem nie powinien zawierać w sobie nic charakterystycznego, nie, coby mogło dostarczyć jakich wskazówek, gdyby go kiedyś starano się odnaleźć.

— Dobrze... a następnie?

— Pomyśleć muszę... skombinować... i jutro albo pojutrze dam wam ostateczne polecenia.

— Wolnoż mi załączyć jedno pytanie? zagadnął Trilby.

— Owszem... lecz nie przyrzekam na nie odpowiedzi.

— Sądząc z udzielonych szczegółów, wnoszę, iż chodzi tu o porwanie kogoś?

— Odgadłeś.

— Mężczyzny, czy kobiety?

— Mężczyzny.

— Cóż z tym człowiekiem dalej się stanie?

Arnold spojrział przenikliwie na mówiącego.

— To cię nie obchodzi, rzekł szorstko. Skoro spełnicie wasze zadanie, pozostanie wam odebrać przyobiecana sumę i odejść.

— Na kupno jednak powozu wraz z koniem, oraz na inne drobne wydatki zaliczysz nam oddzielną kwotę pieniędzy, ozwał się Will Scott, wiadomo ci bowiem, iż nie posiadamy funduszów na takowe.

Desvignes, wyjąwszy z pugilaresu trzy bilety bankowe po tysiąc franków, podał je anglikowi.

— To powinno wystarczyć, rzekł.

— W zupełności. Powóz nie potrzebuje być nowym i koń może być starym zarówno.

— Bierz więc pieniądze i rozejdźmy się, nie mam czasu na stracenie.

Scott schował bilety bankowe do kieszeni.

#### XIX.

— Lecz jeszcze słowo a raczej rada, jakiej udzielić wam pragnę, rzekł Arnold Desvignes. Mimo, że obecnie posiadacie pieniądze, które pozwolą wam żyć wygodniej, bądźcie przezornymi, nie zmieniajcie w swoich zwyczajach, jak również i całej powierzchowności. Nie opuszczajcie samowolnie cyrku Fernando. Gdyby wam uwolnienia udzielić nie chciano, postarajcie się, aby was wydalono, tym bowiem sposobem odsuniecie od siebie wszelkie podejrzenia. Sprawa, jaką mamy rozpocząć, jest nader ważną. Jeśli ją wygram, stanie się ona dla was źródłem majątku, który zapewni wam niezależność do końca życia. Strzeżcie się zatem, aby przez jaką niezręczność nie zniszczyć tak świetnej dla siebie przyszłości. Bądźcie spokojni, cierpliwi, jak prawdziwi irlandczykowie, którymi jesteście.



— Nie obawiaj się, rzekł Trilby, będziesz z nas zadowolonym.

— Uczęszczajcie i nadal do domu przy ulicy de Ponthieu. Miejsce to przydatnem wam być może dla wspólnego porozumiewania się, skoro członkowie prefektury poruszają się jak pszczoły w ulu. Czuwajcie i bądźcie baczniymi, a nadewszystko strzeżcie się angielskiej policji, której agencji dobrze was znają.

— Jeżeli oni nas znają i my ich znamy nawzajem, rzekł Will Scott.

— Pamiętajcie, że przezorność jest matką bezpieczeństwa.

— A gdzie się zobaczymy? zapytał Trilby.

— Nie u was i nie u mnie. Wypada nam się spotykać na obcym gruncie. Znacież restaurację pod Czterema sierżantami?

— Na bulwarze Beaumarchais, koło Bastylji?

— Tak. Będę tam przychodził codziennie około szóstej na obiad i wy tam przychodźcie. Nie okazujcie zdziwienia, jeżeli mnie nie poznacie. Będę musiał zmienić się bezustannie. Ułożymy hasło dla wspólnego porozumiewania się, tak, aby ów znak niczyjej nie zwrócił uwagi.

— Jakiż znak?

— Zaczekajcie... A po chwili zamyslenia zawołał: Mam go! Tu wsunawszy dwa palce w kieszonkę kamizelki, wyjął z niej medalik, kupiony od Misticota Oto jest, rzekł.

Scott i Trilby pochylili się, przyglądając.

— Zupełnie, jak nasze, zawołali, wyjmując swe medaliki.

— Od kogo je dostaliście? zapytał Arnold.

— Od chłopca, który je tu sprzedawał przed twojem przybyciem.

— Od tego, któregom spotkał zapewne. Wyrostek piętnastoletni napastował mnie w pobliżu; aby go się pozbyć, kupiłem tę oto drobnostkę, nie myśląc, iż ona na coś przydać mi się może. Tak, za pomocą tego oto medalika poznawać się wspólnie będziemy. Ilekroć razy przyjdę do restauracji pod Czterema sierżantami, będę się starał kłaść go zawsze na widocznem miejscu. Zważajcie wówczas na me poruszenia. Gdybym potrzebował pomówić z wami w restauracji, wyjdę natenczas, a wy po chwili wyjdźcie za mną.

— Dobrze, rzekł Scott.

— Jeszcze jedno, zaczął Desvignes. Wszyscy trzej posiadamy takie medaliki, niech one więc staną się dla nas znakiem porozumienia. Gdybym potrzebował was powiadomić, iż na was oczekuję, przysłę wam ów medalik w kopercie, owinięty w kartkę białego papieru. Kartka będzie przypieczętowaną lakiem do koperty. Tym sposobem nikt nie odgadnie, co się w jej wnętrzu znajduje.

— Doskonały sposób! rzekł Scott, a gdzie wtedy z tobą spotkać się mamy?

— Oczekujcie na mnie natenczas pod arkadami, na placu Royal.

— Z której strony?

— Od ulicy św. Antoniego.

— Lecz gdybyśmy nie byli w domu obecni, gdy nam przyniosą kopertę?

— Masz słuszość, dobrze to przewidziałeś. Zatem na białej kartce papieru, jaka będzie zamieszczoną w kopercie, napiszę wam godzinę, o której przyjść macie. Schadzka nastąpi we dwie godziny później, chociażby to nawet było wśród nocy.

— A gdyby nam wypadło widzieć się z tobą w jakiej ważnej, nieprzewidzianej okoliczności?

— Zrobicie jak ja. Przyślecie mi w kopercie medalik.

— Gdzie, pod jakim adresem?

— Ulica de Tournelles, nr. 36, dobrze numer zapamiętajcie...

— Pod twojem nazwiskiem, Karola Gerard?

— Nie! nigdy, rzekł były sekretarz Mortimera, potrząsając głową przecząco. Pamiętajcie, iż odtąd nie ma Karola Gerard, on zniknął, przepadł na zawsze! Nazywam się obecnie Arnold Desvignes, jestem profesorem obcych języków.

Will Scott, położywszy rękę na czole, mruknął w zamysleniu:

— To więc nader ważna sprawa.

— A teraz, rzekł Arnold, skoro już powiedzieliśmy wszystko, cośmy mieli do powiedzenia, wychodźcie, mając wszystkie szczegóły w pamięci. Przechodząc, rozkażcie mi tu podać rachunek za śniadanie. Do jutra zatem, do godziny szóstej, pod Czterema sierżantami.

— Do jutra.

Po uściśnieniu sobie rąk nawzajem, obaj anglicy odeszli.

Desvignes, zapłaciwszy rachunek, wyszedł zarówno. Idąc, spojrzął na zegarek. Wskazywał on drugą godzinę. Zwróciwszy się na bulwar de Clichy, wsiadł do fiakra, udając się na stację Winceńskiej drogi żelaznej.

Tłumy paryżan zwiedzały w tym czasie nowowznoszące się budowle olbrzymiego kościoła Sacré-Coeur. Obok tych budowli, jak nadmieniliśmy powyżej, znajdowała się kaplica, do której na odprowadzanie nabożeństwo dążyło mnóstwo pielgrzymów.

W korpusie gmachu, łączącego się z kaplicą, znajdowało się biuro rachunkowe, w którym przyjmowano ofiary, wydając zarazem pozwolenia na zwiedzanie robot osobom, pragnącym poznać je zbliska. Nawprost tych to biur właśnie i kaplicy umieścił się Misticot ze swym drobnym przemysłem. Sprzedaż szła mu nader pomyślnie.

Przy pięknej wiosennej pogodzie zwiększały się tłumy przybywających. Mosiężne i posrebrzane medały licznym znajdowały nabywców. Chłopiec cieszył się nadzieją, iż wieczorowy rachunek wykaże mu o wiele znaczniejszy dochód, niż dni poprzednich.

— Trilby, ów niedźwiedz, przyniósł mi szczęście, mówił z uśmiechem. Będę go za to hucznie oklaskiwał, skoro w przyszłym tygodniu wystąpi w nowej pantominie, jeżeli notabene ów dyrektor cyrku amerykańskiego nie uwiezie wraz z sobą obu anglików.

Mimo, że wzgórze, na którym budowano kościół, było bardzo stromem, a zjazd trudnym i przykrem do przebycia, mnóstwo ku wierzełkowi dążyło powozów.

Fiakry, karety i landa wiozły odwiedzających ze wszystkich stron Paryża, zatrzymując się rzędami pod palisadą przy drodze.

Misticot uczył się podwójnie ożywionym. Biegał na wsze strony, namawiając przybyłych do kupna swego towaru.

— Oto, wołał, panowie i panie, medaliki, odbite na cześć odbudowania kościoła Sacré-Coeur. Medaliki poświęcane, srebrne i mosiężne. Kupujcie, panowie i panie... Ta drobna pamiątka szczęście wam przyniesie.

Zręczny i żywy, jak wiewiórka, podrostek, przesuwiał się niepostrzeżenie przez najbardziej zbity tłum ludzi. Ta wszakże jego zręczność i chybkłość nie ocalała go przed wypadkiem.

Powozy jechały jeden za drugim bez przerwy.

W chwili, gdy Misticot, sprzedawszy dwa medaliki, odbierał za nie pieniądze, nie dosłyszawszy wołania nadjeżdżającego stangreta, wpadł pod koła karety, zaprzężonej we dwa anglo-normandy, i uderzony przez jednego z nich w ramię, upadł na bruk.

Krzyk przerażenia rozległ się wśród tłumu. Sądzono, że chłopiec na miejscu stratowanym zostanie. Nic mu się jednak nie stało. Woźnica, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, wstrzymał konie w miejscu. Misticot ze zranionem czołem podniósł się żwawo. Otoczono go ze wsząd, pytając.

— Nic mi się nie stało, mówił, drobnostka, nie ma mówić o czem. Jutro i śladu nie pozostanie. Główną jest rzeczą, iż medaliki pozostały w pudle nienaruszone i nie rozsypały się w strumyk.

W chwili upadku chłopca pudełko zamknęło się w rzeczy samej. Ograniczyło się wszystko na pomieszczeniu się w niem obrazków i medalików w nieładzie.

## XX.

Uspokoiwszy tłum, Misticot stał, ocierając chustką zranione czoło. Powóz, który sprawił powyższy wypadek, zatrzymał się przed kaplicą. Wsiadły zeń dwie kobiety: młode dziewczę i zakonnica. Obie zbliżyły się do chłopca.

— Biedne dziecię! wyrzekła siostra miłosierdzia, w której czytelniicy poznali zapewne siostrę Marję, jak w jej towarzyszce, Aniełę de Verriere. Czy twa rana nie jest niebezpieczną?

— Zraniły go nasze konie, dodała z zaniepokojeniem Aniela.

— Nic to, panienko, nic, moja siostró, odrzekł Misticot. Otoż i krew już płynąć przestała. Przyłożę octu z wodą za powrotem do domu i rana się zagoi. O ja mam twardą czaszkę, dodał z uśmiechem, niełatwo ona rozbić się pozwoli...

— Zaczekaj, odpowiedziała siostra Marja, ja ci opatrzę tę ranę.

— Ależ to niepotrzebne...

— Nie spieraj się, ja tak chcę!

I wyjąwszy z kieszeni czarne, drewniane puzderko, wydobyła zeń zakonnica plaster angielski, oraz małe nożyczki. Obciawszy niemi plaster, przyłożyła go chłopcu na czoło.

— Tak, w rzeczy samej, wyrzekła, wrędcę się to

zagoi; przykro nam jednak, żeśmy się stały pomimo-wolnemi sprawczyniami tego wypadku.

— Wybacz nam to, proszę, dodała Aniela Verriere, wsuwając w rękę chłopca luidora.

Misticot, uczuwszy złoto, otworzył dłoń i spojrzał.

— Co pani czynisz? zawołał, zaczerwieniony jak piwonja.

— Proszę, ażebyś przyjął tę drobnostkę, jako wynagrodzenie za winę, przez nas spełnioną.

— Pani żartujesz! zawołał chłopiec poważnie. Ja nie nie żądam i nie nie przyjmę. Upadłem z własnej winy... Powiniennem był stać na trotuarze, a nie schodzić na środek ulicy, gdzie jadą powozy. Zraniłem się przez własną nieuwagę. Proszę, odbierz pani swój pieniąż.

— A ja cię proszę zarówno, abyś go przyjął, odpowiedziała Aniela.

— Nie śmiem odmówić, ale to przykrość mi sprawia... To wstyd mi czyni...

— Odmowa twoja mocnoby mnie zmartwiła.

— Przyjmuję zatem, odrzekł Misticot, jakoby uderzony jakąś myślą ukrytą; przyjmuję, lecz nie dla siebie, ale dla biedniejszych odemnie. I zbliżywszy się do skarbonki, umieszczonej we wgłębieniu muru kaplicy, wsunął tam luidora, poczem wróciwszy do obu kobiet, dodał: Jesteś pani litościwą, masz serce szlachetne, dość spojrzeć na ciebie, aby odgadnąć, że o ile jesteś piękną, o tyle dobrą być musisz. Odmawiając przyjęcia jałmużny, nie czynię tego przez próżną dumę, ale dlatego, iż wsparcia nie potrzebuję. Pracą zarabiam na życie... Mimo to, wdzięcznym pani za ten dar je-

stem i będę prosił Boga, ażebyś była szczęśliwą.

Obie kuzynki, zdumione wygłoszonemi przez chłopca słowy, patrzyły nań ze zdziwieniem.

— Wierzę w to wszystko i idę drogą, jaką mi wskazał proboszcz z Montmartre, proboszcz, który mnie uczył, gdy byłem małym chłopięciem. Obecnie zajmuję się głównie sprzedażą medalików; wierzę w ten towar swój niezachwianie, będąc przekonanym, że jeżeli przed chwilą uniknąłem śmierci, medalikom to moim zawdzięczam. Mam jeden z nich zawieszony na szyi, z którym nie rozłączam się nigdy. Pozwól mi więc, pani, ofiarować sobie podobny mojemu, dla przekonania mnie, iż nie gniewasz się za odmowę w przyjęciu luidora.

To mówiąc, chłopiec wydobył medalik z pudełka i podał go Anieli. Dziewczę zawahało się w przyjęciu, spojrzawszy na Marję.

— Och! błagam i proszę, nie odmawiaj pani, mówił ze wzruszeniem Misticot; inaczej sądziłbym, że gardzisz moją ubogą ofiarą.

— Przyjmij, Anielo, mówiła zakonnica z uśmiechem.

Panna Verriere wzięła medalik.

— Jesteś zacnym chłopcem, wyrzekła.

— Ileż lat masz, mój mały przyjacielu? pytała siostra Marja.

— Kończę rok piętnasty.

— Mieszkasz przy rodzicach?

— Nie, nie mam ojca, ani matki.

— Jesteś więc sierotą?

— Tak, siostrze, od jedenastego roku życia.

— Lecz masz zapewne rodzinę, która się tobą opiekuje?



— Nie mam nikogo, sam jestem na świecie. Mój ojciec zmarł pierwszy, matka wkrótce po nim. Przy tych słowach łza, zabłysnąwszy w oku chłopięcia, spłynęła na jego policzki.

— Bez opieki, bez pomocy, w tak młodym wieku, w jakiż sposób zarabiasz na życie? pytała zakonnica.

— Jak widzisz, siostrze. Dziś, korzystając z pogodnego czasu, sprzedaję przedmioty religijne... Jutro, gdyby była niepogoda, będę czyścił obuwie na ulicach przechodniom, albo roznosił dzienniki. Znajdę sobie jaką robotę, lecz zawsze uczciwą. Potrafię się zadowolnić najmniejsem, ufam w moją przyszłość.

— Jakże się nazywasz?

— Nazywają mnie powszechnie Misticot.

— Ależ to nie jest nazwisko.

— Tak w rzeczy samej.

— Zkąd ci nadano tę nazwę?

— Ponieważ będąc małym chłopięciem, śpiewałem zwykle kuplet o wiernym Misticocie, posłyszany w teatrze. Moje prawdziwe, rodzinne nazwisko jest Stanisław Dumay.

— Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy de la Fontaine, nr. 5-ty, w okręgu Clignancourt.

— Jesteś inteligentnym chłopcem, rzekła Aniela, szkoda twoich zdolności do tak drobnych zajęć. Czemu się nie postarasz o coś korzystniejszego? Umiesz zapewne czytać i pisać?

— Umiem, pani. Wstydziłbym się nie umieć tego w mym wieku. Niedosć, że piszę czytelnie, lecz i or-

tograficznie i nie pomylę się również w rachunku.

— Gdyby ci więc ofiarowano miejsce w jakim domu bankierskim, albo handlowym, do zajęć biurowych, przyjąłbyś takowe?

— Byłbym głęboko wdzięcznym, lecz odmówićbym musiał.

— Odmówiłbyś?

— Tak, pani...

— Dlaczego?

— Mam pewne postanowienie, którego nie zmienię. Postanowienie to jest jedynem mojem marzeniem.

— Cóż to takiego?

— Skoro zbiorę nieco pieniędzy z mych drobnych rzemiosł i osiągnę cyfry, jaką sobie oznaczyłem, wynajmę sklepik i założę w nim małą księgarnię. Ach! ja przepadam za książkami. Jestem pewien, że mi się poszczęści w tym zawodzie.

— Pozwoliłbyś więc przyjść sobie z pomocą w urzeczywistnieniu tych planów?

— Z wdzięcznością.

— Przyjdź zatem do nas, do mieszkania mojego ojca.

Misticot cofnął się zmieszany.

— Mnie... przyjść do pani?... nie! to niepodobna.

— Dlaczego?

— W tej bluzie... w takim ubraniu?

— Ubiór to tak dobry, jak każdy inny...

— To prawda... Lecz pani należysz do bogatego świata, do świata szyku i mody, a jam ubogie dziecię ludu.

— Nic to nie znaczy, gdy szlachetne idee łączą nas i zbliżają ku sobie. Przyjdź, ja proszę cię o to. Pra-

gnę ci dopomóż w urzeczywistnieniu zacnych na przyszłość twoich zamiarów. Tu Aniela dobyteła z pugilaresiku kartę wizytową i podała ją Misticotowi.

— Pan Juliusz Verriere, bulwar Hausmanna, powtórzył głośno, czytając. Zatem ojciec pani jest to bankier, pan Verriere?

— Tak, odpowiedziało dziewczę. Słyszałeś coś o nim?

— Bardzo wiele...

— Od kogo?

— Od bliskiej krewnej pani... od jej ciotki.

— Od mojej ciotki.

— Tak.

— Od pani Perrot?

— Właśnie, od praczki, pani Perrot, mieszkającej przy ulicy Garreau, w Montmartre. Tak, pani, w rodzinach nie wszyscy mogą być bankierami. Wiem, że pani zapewne nie często widzisz się ze swoją ciotką, rzecz naturalna, ponieważ jej pozycja jest całkiem odmienną. Ojciec pani zajmuje w świecie wysokie stanowisko, zaś mama Perrot stoi na najniższym szczeblu. Kocha ona jednakże panią szczerze i zanim panią poznałem, wiedziałem już od niej, o ile pani jesteś miłosierną dla ubogich ludzi. Miała w tym względzie słuszność zupełną mama Perrot. Widywałem też u niej jednego z pani kuzynów, który przez czas długi mieszkał w Montmartre... a obecnie mieszka przy ulicy de Fleures. Pani wiesz, o kim ja mówię?

— O Eugeniuszu Loiseau... nieprawdaż?

— Tak... introligatorze.

— To rzeczywiście mój kuzyn, odrzekła Aniela.

— I ten nie jest bogatym, zaczął Misticot. Ach! on panią również uwielbia! Nieraz mówił mi o pani u mamy Perrot, gdym chodził do niej po odbiór upranej bielizny.

— Mój kuzyn, Eugeniusz Loiseau, jest bardzo uczciwym człowiekiem, zaczęła Aniela. Mimo iż znam go niewiele, mam dla niego prawdziwy szacunek. Przyjdź do nas, moje dziecię, pomówimy o tych zacnych ludziach, którzy są twymi przyjaciółmi.

— Będę korzystał z łaskawego pani zaproszenia, przyjdę któregośkolwiek dnia napewno. Tymczasem proszę, nie zgub pani ofiarowanego ci przezeń medalika, gdyż mam to pewne przekonanie, iż on ci szczęście przyniesie.

— Będę go pilnowała starannie! odrzekło dziewczę z uśmiechem.

To mówiąc, weszła do biura rachunkowego wraz z siostrą Marją, aby tam złożyć ofiarę, i zażądać pozwolenia na zwiedzenie rozpoczętych budowli.

Misticot zajął się sprzedażą swego towaru, nie z takim jednak jak wprzód zapałem, skutkiem albowiem otrzymanego skaleczenia, dokuczał mu silny ból głowy.

— Ach! zacne dziewczę, myślał sobie. Niedumna bynajmniej, chociaż ma ojca bankiera i tak wspaniałą powóz. Nie wstydzi się swoich ubogich krewnych, co rzadko spotykać się daje. Gdyby została mą protektorką, mógłbym otworzyć księgarnię... Jakże szczęśliwym byłbym natenczas!

Aniela jednocześnie mówiła do swojej kuzynki:

— Podoba mi się ten chłopiec. Dobrze w nim serce,

uczciwa, zaena natura. Radabym przyjsć mu z pomocą.

— Zasluguje on, bys się zajęła jego przyszłością, odpowiedziała zakonnica. Odgadłam szlachetną duszę w jego spojrzeniu. Nie powstydzisz się za swego protegowanego, jestem tego pewną.

## XXI

Jak wiemy były sekretarz z Kalkuty, rozłączywszy się z Trilbym i Scottem, jechał na stację Winceńskiej drogi żelaznej. Pociąg miał wyruszyć o trzeciej godzinie. Ów pociąg obsługiwał wszystkie stacje, położone na linii, aż do Brié-Comte-Robert.

Ku której z nich dążył Arnold Desvignes? Nie zdecydował się jeszcze stanowczo w tym względzie i kupił bilet do najdalszej na linii, to jest Brié-Comte-Robert.

Pociąg miał wyruszyć za chwilę. Wszystkie sale pootwierano. Wybiegłszy z pośpiechem, wszedł do wagonu pierwszej klasy. Po upływie kilku sekund dwaj oficerowie artylerji wsiedli do tegoż samego przedziału.

Mniemany anglik z amerykańską swobodą rozłożył się na poduszkach kanapy i przymknąwszy oczy, spać się zdawał. Mówimy z d a w a ł, ponieważ w rzeczywistości nie spał on wcale, ale rozmyślał, lecz wkrótce natężył słuch pomimowolnie, gdy dwaj oficerowie zaczęli pomiędzy sobą rozmowę.

Jeden z nich dwudziestoczeroletni blondyn, zaga-dnął drugiego :

— Byłeś więc w ministerjum ?

— Byłem, odrzekł jego kolega, porucznik, jak on, wyróżniający się typ wojskowego, postać otwarta, ener-

giczna, z regularnemi rysami twarzy, oczyma jaśniejącymi inteligencją i silną wolą, ciemnymi, krótko obciętemi włosami, z małym wąsikiem nad zwierzchnią wargą.

— I cóż się tam dowiedziałeś? zapytał pierwszy.

— Nader ważnej rzeczy. Admirał Courbet żąda przyśłania sobie posiłków, możemy więc wkrótce tak ty, jak ja, pójść do Tonkinu, zmierzyć się z czarnymi.

— Nie smuci mnie ta wiadomość. Lubię morze, a nadewszystko podróże. Zresztą, możemy tam rychlej, niż we Francji dosłużyć się awansu. Skoro się tam biją, pośpieszmy.

— Powrócimy kapitanami, odrzekł ów brunet porucznik z uśmiechem. Dzielilibym w zupełności twe zdanie, dodał po chwili, gdyby Tonkin, na nieszczęście, nie był tak daleko.

— Zostawiasz swą ukochaną we Francji, wszak prawda?

— Nie przeczę...

— Przyznaj-no, Vandame, na serjo tą miłością jesteś zajęty?

— Kocham to dziewczę z całego serca, całą mą duszą, i sędzę, że jestem nawzajem kochanym.

— Sędzisz zaledwie...

— Sędzę i spodziewam się, mam nadzieję... Nie mogę powiedzieć, że jestem pewien, nie otrzymawszy od niej żadnego wyznania.

— Z dziewczęciem uczciwem a szczerem nie potrzeba wyznań, aby odgadnąć, co się dzieje w jej sercu.

— Aniela jest wcieloną szczerością i szlachetnością, jestem pewen jej dla siebie przyjaźni, lecz co do mi-

łości twierdzić się obawiam.

Na wymówione głośno imię Anieli, Arnold Desvignes otworzył oczy i utkwił je w obliczu oficera.

Vandame mówił dalej:

— Ona jest jeszcze tak młodem dzieckiem, iż nie znać może rodzaju uczucia, jakie zbudziło się w jej sercu...

— Zatem ty powinienesz widzieć za dwoje.

— Bezwątpienia, lecz nie nie nagli. Dlaczego rzecz tę przyspieszać? Miłość zarówno dobrze żyje nadzieją.

— Tak... lecz gdy będziesz zwlekał swe oświadczyni, ojciec wydać za mąż ją może.

— O! tego się nie obawiam. Pan de Verriere nie przyspieszy mi o dzień jeden terminu, w jakim zakreślił wydać za mąż swą córkę.

— A owym terminem?

— Jest dwudziesty pierwszy rok życia Anieli. Obecnie nie ukończyła ona jeszcze lat dziewiętnastu. Wiesz więc, iż mam dość czasu przed sobą.

Na wymówione nazwisko Verriere, Arnold drgnął pomimowolnie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, iż mówiono o dziewczęciu, spotkanem przezeń w podróży, o tem dziewczęciu jasnowłosem, dla którego gwałtowna miłość zapłonęła w jego sercu. Traf stawiał go wobec pretendenta do ręki panny Verriere i ów to rywal sądził się przez nią kochanym! Desvignes natężył całą uwagę.

— Czyś zwierzył się przynajmniej swemu wujowi, panu de Verriere, ze swych nadziei? pytał towarzysz porucznika Vandame.

— Jasno i kategorycznie, nie jeszcze, odparł zapytany. Sądzę jednak, iż zrozumiał znaczenie mych myśli, gdym mówił niejednokrotnie: „Pragnąłbym dostać za małżonkę dziewczę łagodne, powabne, jednym słowem doskonałe w każdym znaczeniu, jak moja kuzynka.“  
Wszakże to było jasne, nieprawdaż?

— Cóż na to odpowiedział?

— Zostawiam Anieli wyłączny i wolny wybór przyszłego jej męża, pewien, że złego wyboru nie uczyni.

— A! do króć tysięcy! zawołał żywo porucznik. Wszak to wyraźne upoważnienie, abys się starał o jej względy. Odpowiedź ta znaczyła: „Staraj się, aby Aniela cię pokochała, a z mej strony w tym razie nie zajdzie żadna przeszkoda. Wszystko tu od niej wyłącznie zależy. Zostawiam ci wolną drogę.“

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewien! W twojem miejscu postarałbym się rzecz tę bezzwłocznie rozstrzygnąć. Pozostaje ci chcieć tylko, a ręczę słowem, że pan de Verriere odda ci córkę przed dwudziestym pierwszym rokiem jej życia.

— Może to być, lecz... Tu Vandame zmiłkł nagle.

— Lecz co? pytał jego przyjaciel.

— Lecz rozstrzygnąć rzecz tę bezzwłocznie, jak mówisz, w czasie gdy mogą nas lada chwila zawezwać na wojnę w głąb Wschodu. Nie! bliskość mego odjazdu zaniepokoiłaby pana Verriere i zatrwożyła Anielę.

— W tym razie masz słusność, przyznaję.

— Potwierdzasz więc, że chwila źle byłaby na to wybraną?...



— Tak, w rzeczy samej. Myśleć o zaślubinach z wdowieństwem w perspektywie, z wdowieństwem przypuszczalnym w każdym razie, byłoby rzeczą niekoniecznie przyjemną. Nie czyni więc, według mego zdania oficjalnych oświadczeń, nie jednak nie przeszkadza ci upewnić się, czy jesteś kochanym przez pannę Verriere? Wachając się w tym razie, zostawiasz wolne miejsce innemu, co jest niezręcznością z twojej strony. Placówka niestrzeżona uważa się za wziętą placówkę, pamiętaj o tem i staraj się przeto przed odjazdem upewnić, czy jesteś więcej niż kuzynem dla swej nadobnej kuzynki.

— Masz słuszność, pójdę za twoją radą, odrzekł Vandame.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Konduktorowie wołali: Vincennes! Vincennes! Obaj oficerowie wysiedli. Desvignes, zostawszy sam w wagonie, napisał w konotatniku te słowa: Vandame, porucznik 7-go pułku artylerji.

— Ha! zawołał zamykając konotatnik, otóż więc rywal! Dobrze o tem wiedzieć. No! zobaczymy, mój panie! Wyraźnie los mi sprzyja, skoro pozwolił mi spotkać tych obu oficerów w wagonie.

Po kilku minutach pociąg wyruszył w dalszą drogę.

Były sekretarz Mortimera siedział pogrążony w zadumie.

Minięto Fontenay pod Bois, następnie Nogent. W pięć minut później zatrzymano się w Joinville-le-Pont.

— Wsiadę tu, rzekł Arnold.

Otworzywszy drzwiczki, wysiadł z wagonu, po od-

daniu połowy oddartego biletu konduktorowi, z którego drugą połowę zachował na bezpłatny powrót.

## XXII.

Znając doskonale okolice Paryża, mimo kilkoletniej nieobecności, Desvignes ich położenie zachował w dobrej pamięci. Prócz tego Joinville-le-Pont ze swemi licznymi restauracjami i domami zabaw, było jednym z jego miejsc ulubionych. Zamiast jednakże udać się w stronę mostu, od którego rozchodzą się dwie drogi: jedna wiodąca do Villiers, druga do Plant-de-Champigny, miejsca pamiętnego w roku ostatniej strasznej wojny z Prusakami, szedł gościńcem prowadzącym przed kościół, od którego rozchodzi się on w dwie strony.

Prawa droga prowadzi ku Saint-Maur-les-Fossés, lewa do starego Saint-Maur, położonego na wzgórzu, panującym nad Marną, i rozległymi równinami, rozciągającymi się daleko po za rzeką aż do wsi Champigny i pierwszych domostw du Plant.

Przyszedłszy do miejsca, gdzie się krzyżują dwie drogi, udał się w lewo.

Drogę tę raczej ulicą nazwaćby można, z obu stron bowiem jest ona otoczona starymi wiejskimi domami, zamieszkałymi po większej części przez emerytów-pensjonarzy.

Idąc przez czas jakiś tą drogą, Arnold Desvignes zatrzymał się przed sztachetami, po nad którymi widniała tablica z napisem: Własność do sprzedania lub wynajęcia.

O trzydzieści metrów od powyższego ogrodzenia,

w zacienionym drzewami ogrodzie, znajdował się dom mieszkalny. Arnold, zatrzymawszy się, spojrzął wokół i dostrzegł po lewej stronie obszerny budynek z napisem na frontonie: *Z a n d a r m e r j a d e p a r t a m e n t a l n a*.

Zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

— Za bliskie, a bynajmniej niepożądane sąsiedztwo, wyszepnął i poszedł dalej śledząc wzrokiem spotykane na drodze domostwa.

Przybywszy na plac kościoła Saint-Maur, zwrócił się w ukośną drożynę, również po lewej stronie biegnącą, a zeszedłszy nią na dół po pochyłości wzgórza, znalazł się nad brzegiem Marny, wśród klonów, jesionów i wierzb, ocieniających wybrzeże, nie spotkawszy tu żadnego mieszkalnego domu.

Wyszedł nareszcie na szerszą drogę, nazwaną Aleją Marny, jak wskazywała tabliczka, przybita na jakimś starym murze. Kilka domów przed nim się ukazało; zdawały mu się one jednak za zbyt zbliżonemi ku sobie, by który z nich mógł służyć do zamierzonego przezeń celu.

Druga aleja, wysadzana topolami, ukazała się po prawej. Wiodła ona na stację Parc-Saint-Maur, mieszczącą się wśród gęstych zarośli, na wzgórzu.

— Dzikie, odludne miejsce, rzekł Desvignes, jakiego właśnie pragnąłem. Tu trzeba szukać mieszkania.

I nagle na skrócie drugiej alei, przy zetknięciu się z pierwszą, spostrzegł budynek, otoczony wysokim murem. Sztachety były na zewnątrz, blachą żelazną obite. Zagłębiony w zieleni drzew i krzewów, ukazał się mały,

świeżo wybielony pawilon, pokryty dachówką. Napis na tabliczce oznajmiał, iż co do warunków kupna lub wynajęcia należy zgłosić się do pana Mornas, przedsiębiorcy, zamieszkałego w pobliżu stacji du Parc-Saint-Maur.

Arnold, zbadawszy okolicę, przekonał się o zupełnem osamotnieniu powyższego budynku. Z którejjebądź strony zwrócił się, nigdzie żadnego sąsiedztwa; grunta w opróżnionej przestrzeni, albo zarosłe drzewami. Szedł, przyspieszając kroku, i w pół godziny przybył na stację du Parc, gdzie urzędnik drogi żelaznej wskazał mu mieszkanie pana Mornas.

Udał się tam natychmiast i zastał przedsiębiorcę, człowieka w wieku około lat pięćdziesiąt, grzecznego, lecz mało rozmownego.

— Czy pan... zapytał, zatraćając angielskim akcentem, pan wynajmujesz tam posiadłość? Tu wskazał ręką w stronę willi.

— W alei du l'Echo, nr. 1, odrzekł Mornas.

— Aoh! yes... nr. 1.

— Tak... ja, panie.

— Chciałbym ją zobaczyć, gdyby można.

— Owszem... pójdź pan ze mną.

Tu wzięwszy pęk kluczków, przedsiębiorca wyszedł z Arnoldem.

— Jakaż jest cena wynajęcia tej willi? zapytał.

— Tysiąc franków.

— Aoh! to drogo...

— Nie zmuszamy nikogo... Targ miejsca tu nie ma... Właściciel ani jednego sous nie ustąpi. Pan chcesz

wynając na sezon?

— Yes...

— To dobrze, ponieważ właściciel, który chce ją sprzedać, na dłużej wdzierzawiaćby nie mógł.

Na tem zakończyła się rozmowa, nie ponawiając się już do czasu, w którym obaj przybyli do budynku, noszącego nr. 1, przy alei de l'Echo.

Otworzywszy furtkę, umieszczoną w murze obok osztachetowania, mileżący dotąd Mornas zapytał.

— Pan, jak widzę, lubisz samotność?

— Aoh! yes, odrzekł mniemany anglik, jestem prawdziwym mizantropem.

Drzwi skrzypnęły na zawiasach. Weszli obadwa.

Dom ten, jak wspomnieliśmy, był zbudowany na pochyłości wzgórza, które zamieniono w ogród. Grube pęki różnorodnych krzewów, kępy drzew i zagony, chwastem zarosłe, sięgały aż ku drzwiom mieszkania, do którego prowadziły dwie aleje, sunące pośród gąszczu zieleni. Całość przedstawiała stan zaniedbania i opuszczenia. Wysokie trawy pozarastały aleje.

— Właściciel nie chce tu czynić nakładów na uprządkowanie, rzekł Mornas, będziesz pan potrzebował przyjąć ogrodnika.

— Aoh! yes... odparł mniemany anglik.

Weszli na szczyt pochyłości.

Dom wznosił się na małej, opróżnionej płaszczyźnie. Tak okna pierwszego piętra, jak i parteru, opatrzone były okiennicami, co wywołało uśmiech zadowolenia na usta Arnolda. Długi korytarz przecinał parter na dwie równe części, sięgając do drzwi, wychodzących

na tyły mieszkania. Ogród z tej strony kończył się rodzajem małej przepaści, a raczej otwartej, głębokiej jamy, na dno której dojść można było ścieżynką, sunącą między krzakami. Po za tą jamą wznosił się mur, opasujący całe zabudowanie.

— Starożytne wykopalisko, rzekł Mornas, wskazując tę przepaść.

Desvignes poruszył głową z uśmiechem.

W rogu, pod wielkimi drzewami, stał budynek słomą pokryty. Mornas objaśniewszy, iż służył on na skład ogrodniczych narzędzi, otworzył drzwi do tegoż. Wewnątrz znajdowały się tam w rzeczy samej taczki, rydle, motyki, grabie, łopaty i dwie polewaczki.

— Zwiedziliśmy już wszystko, rzekł Mornas, jakże... wynajmujesz pan?

— Aoh! yes... i płacę z góry za cały sezon.

— Mam upoważnienie na odbiór pieniędzy i wydanie pokwitowania.

Tu oba udali się z powrotem drogą, wiodącą ku stacji du Parc-Saint-Maur.

Idąc, Arnold zagłębił się w rozmyślanie.

— Mówiłeś mi pan, zagadnął nagle, iż ten dom jest do sprzedania?

— Tak, za osiemnaście tysięcy franków. Jest to za bezcen. Kup go pan, jeśli ci się podobał. Jutro spiszemy akt u notariusza w Paryżu, pojutrze podpiszesz go pan w obecności właściciela, zapłacisz, i dom stanie się twoją własnością. Kup pan, radzę ci szczerze.

Desvignes życzył sobie tego ze względu swoich na przyszłość zamiarów; wiemy wszelako, iż wyjechał

z Kalkuty ze szczupłą kwotą pieniędzy. Z sumy tej Will Scott i Trilby zabrali już cztery tysiące franków, musiał im jeszcze dostarczyć więcej przed wykonaniem ułożonego planu; wydał coś również na umeblowanie pawilonu przy bulwarze Beaumarchais i na skompletowanie swej garderoby. W takich okolicznościach niepodobna mu było ogłacać się z osiemnastu tysięcy franków. Szukał sposobu, aby to jakoś pogodzić, i znalazł go nareszcie.

Przybyli do mieszkania przedsiębiorcy.

— Kupuję ten dom, rzekł Arnold, kładąc na stół dwa tysiące franków. Przyjm pan zadatek i kaź sporządzić akt kupna i sprzedaży. W ciągu dni ośmiu przyniosę szesnaście tysięcy franków do waszego notariusza i podpis mój położę.

— Za osiem dni wszystko będzie gotowem, milordzie, rzekł Mornas, uradowany sprzedażą, z której właściciel przyrzekł mu wypłacić dość okrągłą sumkę. Obecnie pokwituję pana z odbioru dwóch tysięcy franków. Racz mi pan podać swoje nazwisko, ponieważ jest to koniecznem dla sporządzenia aktu.

— Jan William Scott, poddany irlandzki, dyktował Arnold, zamieszkały w Szkocji, w Edyburgu.

— Zatem pan nie mieszkaś stale w Paryżu?

— Nie, obecnie jestem tylko przyjezdnym, jadę dziś wieczorem do Hawru, zkąd za osiem dni powracam. Zapisz pan prawne moje mieszkanie u waszego notariusza.

— Dobrze, milordzie... Oto pokwitowanie.

— Racz mi pan dać klucze, przyślę tu mego służącego dla uporządkowania.

— Oto są.

— Adres waszego notariusza?

— Zaraz go panu napiszę. Pan Emil Pinguy, notariusz, ulica Pyramid, nr. 18.

Arnold schował adres do kieszeni i ukłoniwszy się, wyszedł. Pozostawało mu teraz jedynie wracać do Paryża. Spojrzał na zegarek, wskazywał on szóstą godzinę.

W kilka chwil później, przybywszy na stację drogi żelaznej, umieścił się w wagonie pierwszej klasy, gdzie leżąc wygodnie, rozmyślał, iż za dni osiem łatwo mu przyjdzie zapłacić szesnaście tysięcy franków, skoro zostanie posiadaczem pięćdziesięciu jeden milionów.

Gdy pociąg przybył do Paryża, noc już zapadła. Po odbytej podróży, czując niezwykły apetyt, Desvignes udał się do restauracji pod Czterema sierżantami, z kądem o dziewiątej wrócił do siebie bulwarem Beaumarchais.

### XXIII

W dziesięć minut zmieniawszy ubranie i przywróciwszy twarz do naturalnego stanu, był sekretarz wyszedł z pawilonu. Tym razem jednak udał się wyjściem od strony ulicy des Tournelles. Przechodząc, spotkał w bramie córkę odźwiernej.

— Pan może jeszcze nie jadł obiadu? zagadnęła go Anastazja.

— Odgadłaś, panienko, od rana biegam po Paryżu za udzielaniem lekcji i dopiero teraz ukończył. Nie ma do mnie jakiego listu?

— Nie ma, panie Desvignes.



Arnold, pozdrowiwszy ją, wyszedł.

Minąwszy ulicę św. Antoniego, zwrócił się w stronę Ratuszowej, która prowadzi na ulicę Paon-blanc, dziwny zaułek, mający około dwudziestu pięciu metrów długości, a półtora metra zaledwie szerokości, zasłonięty po obu stronach sześciopiętrowymi domami, u których wszystkie okna opatrzone są w kraty żelazne. Powietrze z trudnością tu cyrkuluje, a słońce nie ukazuje się nigdy.

Jedna, jedyna brama otwiera się na tę ulicę, w domu czarnym, zniszczonym, ponurym; inne bramy zostały zamurowane, ponieważ domy te posiadają wejście bądź od ulicy Ratuszowej, bądź od wybrzeża. Wspomniana brama znajduje się po lewej stronie; jest ona ciężką, masywną, owalnego kształtu, co dowodzi jej starożytności, zagłębiona w mur gruby, jak gdyby ścianę fortecy.

Nawet podczas lata, wśród największych upałów, ulica Paon-blanc jest wilgotną i błotnistą. Gdy wszedł w nią Arnold, trująca woń oddech mu przytłumiała i dziwił się, iż w takim mieście, jak Paryż, istnieć może podobne ognisko nieczystości.

Przybywszy do bramy, jaką opisaliśmy, najeżonej gwoździemi, a uzbrojonej młotkiem żelaznym, zatrzymał się przy niej; ujął za młotek, zamiast go jednak spuścić na krążek, umieszczony we wgłębieniu, pociągnął ku sobie w kierunku prostopadłym i popchnął. Drzwi się otwarły natychmiast.

Desvignes wszedł do ciemnego korytarza, w którym woń była bardziej jeszcze zabójczą, niż na ulicy.

Szedł ostrożnie, z wyciągniętymi przed sobą rękoma, aż w głąb pasażu, gdzie napotkał pierwszy stopień schodów. Przybywszy na trzecie piętro, zatrzymał się, macając po murze; otaczała go najzupełniejsza ciemność; odnalazłszy drzwi po prawej, zastukał w nie cztery razy w równych przestankach, a następnie czekał. We dwie minuty z wnętrza dobiegł jakiś szelest, poczem zaskrzypiał klucz w zamku i drzwi się otwały.

Ukazał się w nich mężczyzna w podeszłym wieku, o siwiejących włosach i brodzie, w starym, połatanym szlafroku, z płonąca lampką w ręku, którą oświeciwszy twarz przybyłego, zapytał z włoskim akcentem:

— Kogo pan szukasz?

— Il signor Agostini, odpowiedział Arnold.

— Ja nim jestem. Czego pan żądaś?

— Potrzebuję pańskiej usługi.

— Kto pana do mnie przysła?

— Jest to rzecz obojętna. Będiesz pan dobrze zapłaconym, a to dla pana punkt główny.

— Proszę wejść.

Tu signor Agostini cofnął się w głąb, zostawiając wolne przejście przybyłemu, na którego nieufnie z pod oka spozierał. Zamknawszy drzwi na klucz, wprowadził Arnolda do małej stancyjki, której ściany niknęły pod rządami półek wznoszącemi się aż pod sufit, dźwigając pęki akt oprawnych, każdy z porządkowym numerem. Stół, przeładowany zapyłconemi aktami i różnego rodzaju papierami, zajmował środek pokoju; cztery kulawe, poobdzierane krzesła stały wokoło niego.

Właściciel tego mieszkania był to suchy, kościsty

starzec, z poźółktem jak pargamin obliczem, pokrytem zmarszczkami. Głęboko wpadnięte oczy błyszczały mu z pod sinawych powiek, jak dwa rozżarzone węgle. Długie, wychudłe ręce, w których trzymał lampkę naftową, nerwowo mu drżały. Postawiwszy lampkę na stole, wskazał krzesło przybyłemu, mówiąc:

— Przybywając do mnie o tak spóźnionej porze i bez wachania po cztery razy we drzwi uderzając, dajesz mi pan do zrozumienia, iż dobrze znasz moje zwyczaje. Zkąd je znasz i kto ci udzielił mój adres? odpowiedz mi, proszę.

— Nie podoba mi się odpowiedzieć! odparł szorstko Desvignes.

— I mnie też zarówno nie podobać się może uczynić dla pana to, o co mnie prosić przychodzisz...

Arnold roześmiał się głośno...

— Nie lękam się tego, odrzekł. A wyjmując z kieszeni pugilares, wypchany pieniędzmi, dodał: Oto siła, która pokona pański opór w jednej chwili. Znam pana i dobrze znać cię muszę, skoro tu przyszedłem. Zajmij się pan raczej tem, co mnie do ciebie sprowadza, a nie tem, kto mnie do ciebie przysyła.

Na widok grubego pugilaresu, oczy starego włocha gorączkowo zabłysły. Desvignes, wyjąwszy bilet bankowy, trzymał go w palcach.

— Ofiaruję panu, rzekł, te oto tysiąc franków, a drugie tyle przy dostarczeniu mi dowodów, jakich od ciebie zażądam. Żadnej więc próżnej dyskusji, żadnej ciekawości. Moja obecność i zapłata, jaką ci składam, przekonywają, iż mam ufność w tobie. Ufaj mi więc,

proszę, nawzajem. Chcesz zarobić dwa tysiące franków. Tak, czy nie? W dwóch słowach.

— Chcę! odrzekł Agostini, utkwivszy wzrok chei-  
wie w połyskującym francuskim banknocie. Cóż żadasz,  
abym uczynił?

— Zaraz ci powiem... Siadaj i pisz...

Agostini, chwycivszy za pióro, siadł przed arkuszem  
białego papieru.

— Pisz więc: Józef-Arnold Desvignes, urodzony 28  
grudnia 1857 roku w Bleré, w pobliżu Ambroise, de-  
partamencie Indre-et-Loire... Tu przerwał.

— Indre-et-Loire, powtórzył włoch; już napisałem.  
Cóż dalej?

— Wszystko już, odrzekł przybyły. Potrzebuję wie-  
dzieć, co się stało z owym Arnoldem Desvignes. Mu-  
sisz mi pan dostarczyć jego akt urodzenia, wszystkie  
jego osobiste legitymacje, powiadomić mnie, czy po-  
siada on krewnych i w jakim stopniu, a jeśli umarli,  
dostarczyć mi akta ich zejścia, prawnie zlegalizowane.

— Prócz tego, nic więcej?

— Nic. Ma się rozumieć, iż w razie śmierci Józefa-  
Arnolda Desvignes, będę potrzebował również jego aktu  
zejścia, który złożyć mi będziesz pan obowiązany.  
Sam widzisz, że cała ta rzecz jest dla ciebie drobnostką.

— Będę potrzebował wyjechać do Bleré, a może i  
dalej, odrzekł włoch, jeżeli ów młody człowiek opuścił  
swój kraj rodzinny. Takie podróże są kosztownymi,  
zmniejszą one znacznie sumę jaką mi pan ofiarujesz.

— W dniu, w którym dostarczysz mi wspomniane  
dowody, dołącz do nich rachunek z poniesionych na

podróż wydatków, a oddzielnie zwrócę ci te pieniądze.

— Jest-że to rzecz pilna?

— Bardzo pilna.

— Ileż czasu przeznaczasz na poszukiwania?

— Ośm dni.

— Jeżeli nie zajdzie coś nadspodziewanego, będę się starał wszystko to dostarczyć panu na czas oznaczony. Gdzie panu mam przesłać rezultat z mych poszukiwań.

— Ja sam się tu zgłoszę do pana za dni ośm, o tej jak dziś godzinie.

— Dobrze. Należy jednak wszystko naprzód przewidzieć. Gdyby wypadkiem suma, jaką mi pan pozostawiasz, okazała się niedostateczną na pomienione poszukiwania, będę mógł odnieść się do pana o dalszy zasiłek w tym względzie? Sprawy podobnego rodzaju są bardzo trudnemi do wykonania; aby się zająć wyłącznie pańskim interesem, będę zmuszonym zamknąć drzwi przed innymi mymi klientami, którzy mogliby mnie potrzebować w tym czasie.

— W podobnym wypadku napisz pan do mnie słów parę.

— Gdzie?

— Poste-restante, w pocztowem biurze na bulwarze Beaumarchais.

— Pod jakim nazwiskiem?

— Pod inicjałami X. Y. Z.

Agostini zapisywał sobie to objaśnienie.

— Skoro odbiorę list pański, rzekł Arnold, doręczę ci bezzwłocznie to, czego zażadasz.

— Dobrze. Od jutra udam się w podróż; pomimo,

że jestem stary latami, posiadam jednak rzeźwość młodzieńczą, nie lubię odkładać interesów.

Desvignes wstał z krzesła.

Włoch odprowadził go aż do drzwi, które następnie zamknął na klucz starannie i rygle zasunął, jak gdyby to nędzne mieszkanie skarby w sobie zawierało.

W pół godziny później Arnold powrócił do siebie, a przy rozbieraniu się, zacierał ręce z zadowoleniem. Poczem położywszy się, zasnął tak dobrze jak człowiek z najczystsze sumieniem.

#### XXIV.

Podczas, gdy Karol Gerard zamieniony w Arnolda Desvignes, przygotowywał z najwyższą ostrożnością cios, jaki miał go uczynić posiadaczem olbrzymiej fortuny, dwaj jego współnicy, a raczej jego agenci, poczynali zarówno wykonywać dane sobie przezeń polecenia.

Głównem z nich było pospieszyć na pierwsze jego wezwanie, bez opóźnienia się ani na chwilę. Chodziło w takim razie o uwolnienie się z cyrku Fernando, które jednak potrzeba było otrzymać w sposób, niezwracający najmniejszej uwagi.

Dwaj irlandczykowie postanowili podczas wieczorowego w cyrku przedstawienia udawać kompletnie pijanych. Zataczali się, udierając jeden o drugiego na każdym kroku, nie mogąc utrzymać równowagi.

Reżyser, zatrzymawszy ich w przejściu po za areną, zaczął ich napominać surowo, na co odpowiedzieli brutalnymi słowy.

Wypadek taki był przewidziany przepisami admini-

stracyjnemi. Wszelka zuchwała odpowiedź pociągała za sobą natychmiastowe uwolnienie od pełnionych obowiązków, nawet w razie, gdyby widowisko miało coś na tem ucierpieć.

Will Scott i Trilby zostali bezzwłocznie powiadomieni, iż odtąd przestają należeć do trupy cyrkowej. W miejsce usprawiedliwienia się reżyserowi, rzucili uliczne przekleństwo.

Wydano im rozkaz, aby udali się do kasy dla uregulowania swoich rachunków i opuścili cyrk natychmiast, w razie zaś oporu, zagrożono im wyrzuceniem przez policyjnych agentów. Pozostawało im odejść ze schylonemi głowami, co też uczynili.

Jeden z kłownów zastąpił Trilbego w niedźwiedziej pantominie tak dobrze, iż nikt nie dostrzegł tej zmiany.

Obaj irlandczykowie wrócili do swego mieszkania przy ulicy Lepic, gdzie przy wspólnej naradzie ułożyli, że Scott zajmie się nazajutrz kupnem konia, podczas gdy Trilby pójdzie za wyszukaniem powozu. Po dokonanych sprawunkach postanowili użyć pościańca dla przyprowadzenia konia do kupionego powozu, a po zaprężeniu go, przyjechania wraz z powozem w miejsce wskazane.

Jakoż nazajutrz zrana, Will i Trilby, przebrani oba za służących z zamożnego domu, wyszedłszy z ulicy Lepic, rozdzielili się na bulwarze de Clichy i każdy z nich, zaopatrzony w potrzebną sumę pieniędzy, udał się w przeciwnym kierunku.

Scott poszedł w stronę włoskich rogatek, gdzie zwykle odbywa się sprzedaż koni, Trilby zwrócił się

ku kaplicy. Wiedział on, iż łatwo odnaleźć będzie można wehikuł za przystępną cenę i nabył za tysiąc pięćset franków powóz w dobrym stanie. Scott kupił również silnego konia z uprzężą za siedemset franków.

— Przyślę tu jutro po niego, rzekł do sprzedającego.

— Ja przyślę jutro po zabranie powozu, rzekł Trilby.

O godzinie trzeciej po południu zeszli się obaj w małej kawiarni, w tymże okręgu położonej, opowiadziawszy sobie nawzajem o dokonanych zakupach. Pozostawało im oczekiwać godziny, w której mieli się spotkać z Arnoldem na obiedzie pod Czterema sierżantami.

Były sekretarz banku Mortimera przez dzień cały nie opuszczał swego mieszkania na ulicy Beaumarchais. Około piątej zaczął się ubierać, a raczej przebierać, w wyjęty ze swej garderoby kostjum majtka francuskiej marynarki. Nie nie brakowało do uzupełnienia tego kostjumu. Rudą perukę i długie czarne faworyty anglika zastąpiła czarna broda i czarna peruka o krótko przyciętych włosach, pozwijanych, jak wełna na baranie. Twarz, szyję i ręce, za pomocą specjalnej wody, znanej dobrze wszystkim aktorom, Arnold ufarbował na kolor sinawy, którą to barwę wiatr morski i działanie słońca nadaje wszystkim marynarzom.

Wdziawszy płaski, z polerowanej skóry kapelusz, w tył nieco odsunięty, założył na szyję zawieszony na sznurku medalik, po którym miał się dać poznać Scottowi i Trilbem, i zwyczajem ludzi morza, nawykłych do bezustannego kołysania się okrętu, wyszedł niepewnym, zataczającym się krokiem z pawilonu na ulicę



de Tournelles.

W korpusie pomienionego domu mieszkało ze trzydziestu lokatorów. Odźwierna wraz z córką nie zawsze pilnowały wchodzących i wychodzących, a gdyby nawet spostrzegły majtkę, sądziłyby mogły, iż przyszedł do kogoś w odwiedziny; prawdopodobnie jednak nie zauważyłyby go wcale.

Desvignes nie mylił się w swych przypuszczeniach. Tak pani Pillois, jak i jej córka, nie zwróciły na niego uwagi.

Minawszy bulwar Beaumarchais, wszedł do restauracji, gdzie obiadował dnia poprzedniego. Zastał tam kilkunastu biesiadników, a w ich liczbie Will Scotta wraz z Trilbym. Mniemany majtek zajął miejsce naprzeciw nich przy stole.

— Do krośet piorunów! zawołał do posługującego doskonałym marsylijskim akcentem, czując głód rekina! Staraj się jaknajprędzej podać mi obiad.

— A co pan podać rozkaże!

— Zjem wszystko, byle było dobre i wiele.

— Raż pan wymienić potrawy.

Arnold zarządził dania z ryb i morskich mięczaków złożone, bez wina.

Obiadujący śmieli się z owego prawdziwego typu marynarza. Scott i Trilby ciekawie mu się przypatrywali. Nagle, oczy pierwszego dostrzegły medalik, zawieszony na szyi majtkę. Drgnął, a uderzywszy w łokieć Trilbego, szepnął mu zeicha:

— Medalik...

Trilby zrozumiał znaczenie tego wyrazu.

Arnold, mrugnawszy zlekka na obu, zdawał się nie widzieć potem wcale dwóch irlandczyków i począł zająć swój obiad, przedłużając go umyślnie, poczem zażądał kawy i zapalił wielkich rozmiarów cygaro.

Obiadujący poczęli wychodzić jedni za drugimi.

Około ósmej w sali pozostał tylko Arnold, Scott i Trilby.

— Przybyłeś zapewne do Paryża po uwolnienie się ze służby, panie marynarzu? zapytał go ten ostatni.

— Tak, ukończyłem już lata moich wypraw, odrzekł zapytany i urządzam sobie dzisiaj małą ucztę.

— Jesteś marsylijszym?

— Rodowitym, z Canebiere. Szczycę się tem. Znasz Marsylję?

— Znam ją doskonale, obadwaj z moim kolegą podziwiamy to piękne, rodzinne twoje miasto.

— Pójdź więc tu bliżej, wychylimy butelkę szampana za pomyślność mego rodzinnego kraju.

Scott wraz z Trilbym zasiedli obok Arnolda, który, kazawszy podać usługującemu butelkę Moet'u, napęłnił nim szklanki. Skoro posługujący wyszedł, mniemany majtek pochylił się ku obu towarzyszom, zapytując zcicha:

— Wykonaliście moje polecenia?

— Już, odparł Will Scott; wyrzucono nas z cyrku Fernando.

— Powóz?

— Kupiony wraz z koniem.

— Poszukajcie więc teraz stajni z wozownią w Paryżu i najmijcie takowe na tydzień. Skoro nadejdzie

chwila działania, Scott w ubiorze woźnicy siądzie na kozioł i będzie powoził.

— A ja? zapytał Trilby, cóż ja będę robił?

— Ty... zaczął mniemany majtek.

Tu przybycie nowych gości do restauracji przerwało mu słowa. Nowoprzybyli zasiedli w głębi sali. Rozmowa pomiędzy trzema wspólnikami wszczęła się po cichu nanowo. Powtarzać jej nie będziemy, nadmienając jedynie, że stajnia i remiza zostały bezzwłocznie wynajętemi przy ulicy Filipa Augusta, oraz że nazajutrz koń wraz z powozem pod dachem się znajdowały.

## XXV.

Według ścisłego obrachunku, byłemu sekretarzowi bankiera z Kalkuty pozostawało obecnie trzy dni czasu przed przybyciem poszukiwacza dyamentów, Edmunda Beraud, do Paryża, który jak wiemy, zatrzymał się w Obock i Port-Said.

Chwila stanowczej akcji szybko się zbliżała. Wszelkie przygotowania ku temu zostały już przez Arnolda dokonane, prócz kilku drobnych szczegółów, pozostałych do uregulowania.

Przedewszystkiem poszedł do pocztowego biura w swoim ubiorze anglika na bulwar Beaumarchais, powiadamiając urzędników, iż kilka listów do niego nadesłanych zostanie pod inicjałami X. Y. Z.

Tegoż samego dnia, zmieniawszy kostjum i fizjognomię, udał się do Palais-Royal i wszedł do sklepu, gdzie sprzedawano wojskową pasmanterję, krzyże, or-

dery, wstęgi dekoracyjne różnego rodzaju, pasy oficerskie, szarfy i t. p. W dziesięć minut wyszedł z tego magazynu z pakietem, starannie owiązanym.

Wróciwszy do swego mieszkania na bulwarze, wsunął ów pakiet do szuflady, obok sztyletu indyjskiego, dziwnego kształtu, jaki przywiózł z sobą z Kalkuty, i zamknął na klucz szufladę.

Przywdziawszy następnie zwykły swój ubiór, poszedł jako Arnold Desvignes, nauczyciel obcych języków, odbyć przechadzkę po bulwarach.

Wystawa w oknie optyka zwróciła jego uwagę. Wszedłszy tam, kupił okulary ze szklami lekko zabarwionymi, jakich używają osoby, których wzrok razi żywszy blask światła, i o szóstej poszedłszy na obiad, po powtórnej po nim przechadzce wrócił do siebie.

Nadmieniliśmy, iż mimo, że był głęboko zajęty ciosem, jaki dokonać zamierzał, nie zapomniał o Anieli Verriere. Miłość ta, wzbudzona nagle podczas kilkogodzinnej podróży z Marsylji do Paryża, głęboko wryła się w jego serce. Pokochał to jasnowłose dziewczę, pokochał je namiętnie, silnie, niezłomną wolą, posiadać je postanowił za pomocą potęgi, jaką nadają miliony.

Kilka wyrazów, wymówionych wobec niego, przez młodego oficera artylerji, Vandama, w czasie podróży do Vincennes, podnieciły w nim jeszcze tę namiętną miłość. Ów Vandame był jego rywalem... Biada mu! ustąpić lub zginąć musi!

Były sekretarz Mortimera pragnął działać jaknajrychlej w tej sprawie, nie jednak nie mógł przedsięwziąć, nie absolutnie, dopóki nie zostanie posiadaczem

pięćdziesięciu jeden milionów, jakie ku temu otworzą mu drogę. Bądźmy cierpliwi, powtarzał, wkrótce to nastąpi. Starał się tym sposobem hamować swą niepowściągliwość rozkochanego.

Prócz tego, jeden jeszcze szczegół zarówno niepokoił Arnolda Desvignes; był nim dzień i godzina przybycia Edmunda Beraud. Myślał sobie:

— Wsiadłszy z pociągu drogi żelaznej, kupiec dżamentów każe się zawieźć wprost do hotelu, to nie ulega wątpliwości. Nie uda się wprost ztamtąd po odbiór pieniędzy do banku. Nielatwo jest bowiem zabrać pięćdziesiąt milionów, jak się zabiera pięćdziesiąt tysięcy franków. Podobnej sumy nie chciałby trzymać w hotelu. Po rozlokowaniu się więc, dopiero zajmie się załatwieniem tej sprawy, o której list Mortimera uprzedził dyrektora banku francuskiego. Według zatem wszelkiego przypuszczenia, Edmund Beraud przyjedzie tym samym pociągiem, którym ja przyjechałem z Tulonu, to jest o w pół do jedenastej. Widziałem jego bagaże w Kalkucie, nie są one zbyt licznymi i nie sprawiają mi opóźnienia. W każdym jednak razie, nie zdoła przybyć do hotelu jak na południe. Następnie, zanim zje śniadanie i przeberze się, będzie już zapóźno na załatwienie tak ważnej sprawy w kasie bankowej. Gdyby się nawet tam udał, każą mu przybyć nazajutrz. W tym to przeciągu czasu ja działać zacznę. Przedewszystkiem wiedzieć mi trzeba o dniu jego przybycia do Paryża. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie telegrafował z Tulonu do Indyjskiego hotelu. Ztamtąd

więc trzeba zaczerpnąć wiadomość, jaka mi jest tyle niezbędna.

Desvignes nazajutrz wstał równie ze świtem, a ubrawszy się spieszenie, dobył z szuflady pęk papierów, jakie przywiózł z sobą z Kalkuty. Rozwiązawszy ów pakiet, wyjął zeń ćwiartkę papieru z firmą na nagłówku: Dom bankowy Jana Mortimer i spółka, poczem, naśladowując ze zdolnością biegłego fałszerza pismo swego byłego pryncypała, nakreślił co następuje:

„Kochany i szanowny mój kliencie. Prawdopodobnie nie przybyłeś jeszcze do Pazyża, mając się zatrzymać w Obock i Port-Said; korzystam jednak z wyjazdu do Francji jednego z twoich współziomków, aby ci przesać ten list, a w nim prośbę o powiadomnie mnie o szczęśliwym twoim na miejscu przybyciu. Za kilka miesięcy wyjadę do Londynu, zkąd mam zamiar udać się do Paryża. Z przyjemnością oczekuję tej chwili, aby uścisnąć twą rękę. Twój prawdziwy przyjaciel i sługa

Jan Mortimer.“

Po napisaniu tego listu, Desvignes odczytał go z uwagą.

— Nic nie ma, rzekł, kompromitującego. Gdyby Edmund Beraud przyjechał zrana do Paryża, zastanie ów list mego byłego pryncypała. Gdyby przeciwnie, nie przybył, za pomocą tego listu otrzymam tyle potrzebne dla siebie objaśnienia.

Tu, złożywszy papier, wsunął go w kopertę, zakleił i adres położył. Uczyniwszy to, przywdział ubranie Anglika, rudą perukę i faworyty, a zarzuciwszy lekkie okrycie, wyszedł na bulwar Beaumarchais, zkąd fia-

krem pojechał na ulicę Caumartin. Spostrzegłszy przy kiosku stojącego posłańca, skinął na niego.

Posłaniec przybiegł natychmiast.

— Zanieś ten list, rzekł doń z angielska.

— Dobrze, milordzie... a gdzie mam oddać?

— Joubert street, do Indyjskiego hotelu.

— Wiem...

— Zapytaj o pana Edmunda Beraud, nazwisko masz na kopercie.

— Widzę.

— Oddasz mu list ten do rąk, osobiście.

— Lecz gdyby był nieobecny z listem powrócę.

— Aoh... yes...

— A gdzie zastanę milorda?

— Przyjdź do kawiarni... ot tu... naprzeciw...

— Zrozumiałem... biegnę!

Tu posłaniec zawrócił, chcąc odejść. Desvignes zatrzymał go, mówiąc:

— Gdyby pan Beraud nie przybył jeszcze z podróży do hotelu, zapytaj, kiedy przyjedzie.

— Nie zapomnę, powrócę za chwilę, wyrzekł, odchodząc posłaniec.

We dwadzieścia minut wrócił z listem w rękę do wskazanej sobie kawiarni. Spostrzegłszy mniemanego Anglika, podszedł doń, mówiąc:

— Oto list, ów pan, któremu miałem go oddać jeszcze nie przybył.

— Pytałeś się, kiedy przyjedzie?

— Yes, milordzie. Kasjerka hotelowa mówiła mi, iż odebrała od wspomnianego podróżnego z Marsylii

telegram, z poleceniem przygotowania dlań apartamentu.

— A kiedyż on ma przybyć?

— Jutro.

— Nie wiesz, o której godzinie?

— Nie wiem, milordzie. Zdaje się, iż godzina nie była oznaczoną w depeszy.

— Aoh! yes... mniejsza o to.

Arnold po odebraniu listu schował go do kieszeni, zapłacił posłańca i siadł przy stole, pijąc nalaną szklankę wina.

— Zatem przyjedzie jutro, o niewiadomej godzinie, powtarzał z cicha. A może wyjedzie dziś z Marsylii pociągiem kuryerskim, wychodzącym o drugiej? W takim razie przybyłby do Paryża jutro w południe, a w Indyjskim hotelu stanął nieprędzej, jak o w pół do drugiej, ponieważ jego bagaże będą musiały uleźć kwarantannowej rewizji. Zapóźno mu będzie udać się do banku. Zresztą, gdyby nawet o dziesiątej rano, zamiast w południe, nie starczy mu czasu do odebrania swoich milionów; nie będzie chciał zaraz po przybyciu tem się zajmować. Wszystko mi jednak przewidzieć potrzeba i mieć się na ostrożności.

Tu przywoławszy posługującego, kazał mu podać sobie materjały, potrzebne do pisania listu.

Przyniesiono mu kałamarz, papier, pióro, bibułę, laskę czerwonego laku, koperty różnej wielkości i zapaloną świecę.

Wybrawszy jedną z kopert, wsunął w nią medalik sprzedany sobie przez Misticot'a, rozgrzał lak nad



świecą, a spuściwszy płonącą kroplę takowego wewnątrz koperty, przypieczętował ją medalik, poczem zamknął kopertę, napisawszy na wierzchniej jej stronie w miejscu adresu wyrazy: Dziesiąta godzina.

## XXVI.

Czynność jaką opisaliśmy powyżej, była dopiero skuteczną w połowie. Wsunął teraz pierwszą kopertę w drugą nieco większą, którą najprzód nakleiwszy gumą, przypieczętował lakiem w ten sposób, a żeby pieczęć odpowiadała objętością znajdującemu się wewnątrz medalikowi, i na płonącym laku wycisnął godło pierścionka, jaki miał na palcu.

Gdy pieczęć zaschła i ostygła; upewnił się, iż niepodobna było przez nią poznać istnienia wewnątrz koperty medalika, położył następujący adres: Panom Scott i Trilby ulica Lepic, nr. 19.

Po dokonaniu tego, zapłacił rachunek, i wyszedł na bulwar Rochechouart.

Tu zaczął znowu szukać pościańca, ponieważ nie chciał się ukazywać w mieszkaniu obu anglików nawet pod innem przebraniem. Odnalazłszy go, oddał mu list, i tymże samym fiakrem pojechał na plac Bastylli, gdzie wstąpił do restauracji na śniadanie, oczekując godziny, w której się spotka z Will Scottem i Trilbym pod arkadami Palais-Royal, w pobliżu ulicy św. Antoniego.

Scott, wychodził jedynie z mieszkania rano i wieczorem dla dania pokarmu kupionemu koniowi, co mu zabierało czasu do dwóch godzin dziennie. Trilby zostawał natenczas w domu przy ulicy Lepic, a żeby być

gotowym na pierwsze wezwanie Arnolda Desvignes.

Obaj Irlandczycy umówili się wzajem, iż gdyby przyszedł list od Arnolda, podczas gdy Scott będzie w stajni zajęty, Trilby przybędzie bezzwłocznie po niego, drogą wskazaną, aby nie stracić minuty czasu, i nie opóźnić się na schadzke umówioną.

Skoro postaniec ukazał się z listem w bramie domu przy ulicy Lepic, odźwierna rzekła do niego:

— Idź pan, ot! tu wprost po schodach, na piąte piętro, drzwi Nr. 7, pan Trilby jest u siebie.

We dwie minuty później, były pantominista z cyrku Fernando, trzymał list w ręku, a rozdarszy pierwszą kopertę, na drugiej wyczytał te słowa: Godzina dziesiąta.

Pod lakową kopertą znalazł medalik.

— Godzina dziesiąta, powtórzył, nie ma więc minuty do stracenia! I przebiegłszy z szybkością kłowna pięć pięter, pobiegł na ulicę Filipa Augusta, by o otrzymanem wezwaniu powiadomić swego towarzysza.

Na kilka minut przed dziesiątą, znaleźli się obaj pod arkadami Royal. Wraz z uderzeniem tejże godziny ukazał się Arnold od strony ulicy Bratague.

Scott wraz z Trilbym pospieszyli na jego spotkanie.

— Jestże coś nowego? zapytał Will.

— Ma się rozumieć, skoro was przywołałem.

— Rozkazuj więc.

— Jutro, rzekł, o dwunastej w południe Trilby ma się znajdować na rogu bulwaru i ulicy Caumartin, w ubraniu, jakie mu wskazałem. Ja tam będę; niech jednak do mnie nie mówi, niech uda jakoby nie znał mnie

wcale, jeżeli pierwszy nie przyjdę do niego. Niech będzie cierpliwym, ponieważ wyczekiwanie długo przeciągnąć się może.

— Stawię się niechybnie, rzekł Trilby, nie zbraknie mi cierpliwości.

— Co zaś do ciebie, rzekł Arnold, zwracając się do Scotta, nie opuszczaj ulicy Filipa Augusta. Od południa ma być zaprzężonym koń do powozu, a ty czekaj w ubiorze woźnicy. Gdy chwila wyjazdu nadejdzie, Trilby cię o tem powiadomi.

— Będę punktualnym.

— Trzeba ażebyś przygotował kilka metrów sznura cienkiego ale silnego i dużą, mocną, jedwabną chustkę fularową. Wszystko to ma się znajdować w siedzeniu powozu.

— Kupimy to, rzekł Scott. Cóż dalej?

— Już wszystko. Przyrzekłem wam dwadzieścia tysięcy franków, mówił były sekretarz Mortimera, połowę przed dokonaniem czynu, a drugą połowę później. Chcecież ażebym dał wam teraz dziesięć tysięcy franków.

Dwaj Irlandczycy spojrzeli na siebie wzajem i potrząsnęli przecząco głowami.

— Jakto, nie chcecie? zapytał Arnold zdziwiony.

— Nie odmawiamy... lecz później...

— Dlaczego?

— Ponieważ ufamy ci najzupełniej i wolimy wszystko wziąć razem. Zresztą te pieniądze w kieszeniach przeskadzałyby nam jutro w działaniu.

— Dobrze, jeśli nie dziś, to odbierzecie je jutro. Który z was ma mój medalik?

— Ja, odparł Trilby, ponieważ ja twój list odebrałem.

— Zwróć mi go.

— Oto jest.

Schowawszy go Arnold w kieszonkę od kamizelki, zwrócił się do Scotta.

— Czy znasz Parc-Saint-Maur? zapytał.

— Czy go znam? to pytanie! Chodziłem tam kilkanaście razy w odwiedziny do pewnego żokeja, mego współziomka. Trafilibym z zamkniętymi oczyma. Do Parc-Saint-Maur zatem powozem jechać nam trzeba?

— Tak.

— Doskonale! Nikogo pytać o drogę nie potrzebuję. Wprost tam pojedę.

— A znasz aleję de l'Echo?

— Jak najlepiej! Poczyna się ona od stacji drogi żelaznej i biegnie po nad brzegiem Marny.

— Tak, właśnie. Jadąc do Parc-Saint-Maur skreścisz powozem w aleję de l'Echo. A teraz rozłączmy się. Do jutra...

— Do jutra! Tu Scott wraz z Trilbym odeszli. Arnold udał się ulicą św. Antoniego, gdzie załatwił kilka drobnych sprawunków, poczem wrócił do swego pawilonu na bulwar Beaumarchais, zkad wyszedł tylko na obiad.

Nazajutrz z porankiem niebo szare, pochmurne, zaciężyło po nad Paryżem i w połączeniu z mgłą gęstą, jaka w pierwszych dniach maja unosi się z Sekwany, okrywało miasto ciemnościami prawie. Bruk ulic pokrył się tem gęstem i tłustem błotem, niszczącym wszystko

na co kolwiekby padnie. Wilgoć była przenikającą, a mimo że deszcz nie padał, krople wody wisiały na gałęziach drzew bulwarów i ogrodów.

O siódmej rano, Desvignes otworzył okiennice w swem pawilonie, wychodzącym na bulwar, i stwierdził naocznie wyż opisany stan atmosfery.

— Otóż pogoda jakiej mi potrzeba, zawołał. Gdyby potrwało tak do wieczora, los by mi sprzyjał widocznie. Traf staje się moim sprzymierzeńcem. Jeśli dziś plan mi się uda, jutro będę panem świata. Tu zamknął okno.

W godzinę później, przechodnie znajdujący się na ulicy des Tournelles, na wprost domu Nr. 36, dostrzedz mogli wychodzącego z tegoż domu miejskiego strażnika z kapturem na czapkę nasuniętym w ten sposób, że całą twarz mu prawie okrywał.

Mgła gęsta, zwieszona po nad Paryżem, rozpraszać się zaczęła; nie było to jednak wskutek działania promieni słonecznych. Słońce nie ukazało się wcale. Gruba osłona chmur nie dozwalała mu stać ziemi światła i ciepła. Drobny deszcz zaczął pokropywać.

Ów strażnik miejski, w którym zapewne z łatwością czytelnicy odgadli Arnolda Desvignes, szedł ulicą des Tournelles, aż ku Saint-Claude, zkąd zwrócił się na bulwar.

W tejże chwili przejeżdżał z hałasem środkiem błotnistej ulicy omnibus z linii: Bastylja-Magdaleny.

Arnold spojrzął na ów wehikuł.

Wyraz: Zapełniony widniał wryty wielkimi bia-

łemi literami na błękitnej tabliczce wieczorem światłem oświetlanej.

— Zapełniony wewnątrz, pomruknął mniemany strażnik. I spojrzął na wierzeh omnibusu nazwany przez ludność Paryża etażerką. Dwóch podróżnych siedziało tam obok siebie, zabezpieczając się od deszczu starym zużytym parasolem. Arnold pobiegł szybko za wehikułem, a pochwyciwszy się zań, wskoczył na przednią platformę.

— Miejsce tylko na wierzchu, zawołał konduktor.

— Dobrze, odparł Desvignes, wdrapując się na schodki, podczas gdy konduktor dzwonieniem dał znak do przystanku. Wszedłszy na wierzeh omnibusu umieścił się przy dwóch podróżnych, siedzących pod parasolem.

Obaj rozmawiali z sobą.

Jeden z nich mógł mieć około lat dwudziestu pięciu, drugi około piętnastu. Ów drugi był to Misticot, sprzedający medaliki przed nowo budującym się kościołem na Montmartre. Pierwszego wkrótce poznamy.

— Zatem, postanowiłeś ożenić się nieodmiennie? pytał chłopiec towarzysza.

— Tak, mój mały, rzekł tamten. Jestem jeszcze młodym, mam dwadzieścia pięć lat, a powiadam ci, na przykrzyło mi się już to życie kawalerskie. Mam tego dosyć! Co innych bawi, mnie nudzi teraz. Marzę o rodzinie... o własnej mojej rodzinie, o cichem domowym ognisku... i jestem pewien, że zaślubiwszy dziewczynę, którą kocham, będę stokroć szczęśliwszym, niż jestem nim teraz.

## XXVII.

Posłyszawszy wyrazy Misticot'a, mniemany ów strażnik miejski zatulony w kapotę i kaptur wzniesiony nad czapkę, drgnął, usiłując sobie przypomnieć z kąd zna ów głos mówiącego.

Rozmowa pomiędzy dwoma podróżnymi ciągnęła się dalej.

— Kogoż zaślubiasz? zapytał Misticot.

— Moją kuzynkę.

— Którą?

— Wiktorynę Beraud, kwiaciarkę.

— Wiktoryna jest ładną... w rzeczy samej.

— Ba! wiem że jest ładną, a obok tego oszczędną i zapobiegliwą. Ma małe gospodarstwo pięknie urządzone, obok czego i nieco pieniędzy. Ja wnoszę tyleż co ona, i jestem również pracowitym. W takich warunkach mogę być pewien, iż nie zaznamy niedostatku.

— Kiedyż ślub nastąpi?

— Radbym jak najrychlej. Pierwszą zapowiedź już ogłoszono, zatem w ciągu dwóch tygodni będę żonatym. Wesele huczne będzie, przed merem, i w kościele. Nie przed zastępcą, ale przed samym merem, w jego własnej osobie. Ślub da nam sam proboszcz. Będzie to szyk! Mam nadzieję, iż w mojem weselu przyjmie udział cała rodzina.

— Cała rodzina, powtórzył Misticot, kręcąc głową z niedowierzaniem.

— Dla czego nie?

— Jakto... i bankier?

— Ma się rozumieć, i pan Verriere, mój wuj. Za-

pewniam cię że przybędzie. Liczę nań na pewno.

Na wymienione nazwisko bankiera Verriere, Arnold drgnął powtórnie, i począł słuchać z nateżoną uwagą.

— Możesz rachować na jego przybycie, zaczął Misticot, lecz ileż razy rachunek na gościa zawodzi. Jesteś zacnym, uczciwym chłopcem, nikt temu nie zaprzeczy lecz w każdym razie jesteś tylko robotnikiem, podczas gdy pan Verriere jest grubym finansistą, mającym pełne sakwy pieniędzy, powozy, konie, służbę w liberji, i tam dalej. Gdy się potrząsa milionami nie ma się chęci natenczas do schodzenia w towarzystwa uboższych ludzi, pomnij otem Eugenjuszu Loiseau.

— Ze strony wuja Verriere spotkam być może nieco oporu w tym względzie, odparł Loiseau, ponieważ jest to człowiek próżny, pozujący na wielkość; przyznaję więc słuszność twemu twierdzeniu co do niego. Na szczęście jednak, istnieje kuzyneczka, wypieszczony amorek, która z ojczulkiem robi, co się jej tylko podoba. Ona każe mu przyjąć nasze zaproszenie, chociażby nawet wolał pozostać w domu u siebie. Jestem pewien, że w tym razie będzie posłusznym swej córce.

— Mówisz o pannie Anieli?

— Tak.

— Masz słuszność zupełną. Dobra, przystępna dla każdego, jak gdyby wcale nie posiadała majątku. Słodka, jak cukierek. Mimo, że jej rodzina jest ubogą, ona ją kocha, nie wypiera się jej. Możesz na jej obecność rachować.

— Wiem o tem... Znam dobrze jej serce.



— A nie tylko ty sam... Ja ją znam również...

— Ty? powtórzył Eugeniusz zdziwiony.

— Tak, ja, ja! odparł Misticot. Poznałem i oceniłem ją doskonale. Wyobraź sobie, że dnia pewnego, gdym jak zwykle sprzedawał medaliki koło kościoła, jeden z jej koni powozowych, uderzywszy mnie, na bruk wywrócił. Nie wiele mi złego wprawdzie uczynił, starłem sobie trochę czoło, ot! wszystko. Zresztą moja to była wina, zem podszedł zbyt blisko powozu. Nie uwierzyłybyś, jak okazała się względem mnie litościwą! Ach! prawdziwy anioł to dziewczę. Jej wartość poznałem do razu. Cukierek to, mówię ci prawdziwy cukierek! Mówiliśmy wtenczas o tobie...

— O mnie... z kuzynką Aniela?

— Tak, tak, mój stary! I o matce Perrot, praczce .. twojej i jej ciotce. Do pioruna! jeśli ta cała gromada zbierze się na twoje zaślubiny, kościół próżnym nie będzie. Fiu! fiu! mówił dalej, pokręcając głową, pan Eugeniusz Loiseau, introligator, i panna Wiktoryna Beraud, kwiaciarka, będą mieli milionerów na swoich godach! To szyk! A gdzie się odbędzie wasze wesele? Cóż... dotąd nie ułożyłeś planu?

— Chciałbym ażeby się odbyło w Saint-Mandé, w pobliżu lasku Vincennes, możnaby urządzić przechadzkę pomiędzy śniadaniem i obiadem.

— W Salonie rodzinnym.

— Tak... właśnie.

— A w którym dniu?

— W sobotę, od tej soboty za tydzień.

— Abyś nie miał takiej niepogody jak dzisiaj.

— Deszczu... naprzykład? Będziemy mieli nad sobą tak błękitne niebo, jak oczy mej narzeczonej. A słońce!... no... zobaczysz!

— Słońce... na twój rozkaz... dla ciebie naprzykład?

— I dla ciebie zarówno, jeżeli zechcesz.

— Jakto dla mnie? zapytał chłopiec. Miałżebyś zamiar i mnie zaprosić zarówno?

— Tak... zapraszam cię na wesele. Nie uczynisz nam żadnej różnicy. Jesteś dzielnym chłopakiem, znam cię od dawna. Zapraszam cię więc, uczynisz mi prawdziwą przyjemność, przyjmując moje zaproszenie.

— Lecz... zaczął Misticot z zakłopotaniem.

— Żadnego lecz, przerwał introligator. Znasz mamę Perrot, mam ciotkę, znasz Wiktorynę, moją narzeczoną, znasz kuzynkę Anielę, znajdziesz się więc jak gdyby wśród swoich. Zresztą ot! wiesz, myśl pewna przyszła mi do głowy. Zapraszam cię dla siebie na družbę.

— Na družbę, mnie? zawołał chłopiec zdziwiony.

— Tak, ciebie.

— Bóg ci zapłać, poczciwy chłopaku! zawołał Misticot, ściskając rękę Eugeniusza Loiseau, skutkiem którego to poruszenia struga wody spłynęła ze starego parasola na kapotę mniemanego miejskiego strażnika, niech ci Bóg wynagrodzi za twe poczciwe serce dla mnie sieroty, dodał, powstrzymując łzę, błyszczącą mu w oku. Gdy się nie ma nikogo z rodziny, ni dalszych ni bliższych krewnych, duszę przepęlnia radość, znalazłszy nieco przyjaźni. Nie czuje się człowiek tak osamotnionym na świecie, tak opuszczonym, o którego

nikt się nie troszczy!

— Zatem przyjmujesz, przybędziesz?

— Ba! czy przyjmuję, życzliwość twoja rozrzewnia mnie do głębi, nie uczynię ci wstydu, bądź pewnym! Wystroję się szykownie, zobaczysz! Garnitur weselny całkiem nowy, za czterdzieści pięć franków. Biała jak śnieg koszula, biały krawat i kamizelka, buty lakierowane ze spiczastymi nosami. Ha! i cóż powiesz?

— Masz słuszość, lecz nie czyn sobie kosztu zbyt wiele. Zapraszam ciebie, a nie twój ceremonialny garnitur.

— Dobrze, dobrze, znam ja formy towarzyskiej przyzwoitości. Wiem jak wystąpić należy.

— Dowiesz się o dniu ostatecznie od mamy Perrot, mej ciotki. Ale pamiętaj, abys się nie spóźnił.

— Bądź spokojny. Przybędę do merostwa przed oznaczoną godziną. Lecz wysiąść mi trzeba. Otóż i przedmieście Montmartre.

— I ja również wysiądę, rzekł introligator, chcę wstąpić do ciotki Perrot. Pójdziemy razem.

Tu Eugeniusz Loiseau wstał, a zamknawszy parasol, zeszedł wraz z Misticot'em po schodach z wierzchołka omnibusu, gdzie pozostał sam teraz Arnold Desvignes, nie straciwszy jednego wyrazu z prowadzonej między dwoma podróżnymi rozmowy, dziwiąc się, że narzeczona introligatora nosiła nazwisko Beraud.

Misticot z Eugeniuszem Loiseau udali się na przedmieście Montmartre, podczas gdy omnibus zwolna toczył się dalej.

Mniemany strażnik miejski, śledził wzrokiem obu

idących. Pogoda była jednaka, deszcz wciąż mżył drobny, przenikliwy.

W pobliżu stacji omnibusów, Arnold, wysiadłszy, zwrócił się na ulicę Caumartin, gdzie szedł chodnikiem po prawej. Na rogu ulicy Joubert, spojrzawszy w około siebie, spostrzegł stojącego w bramie domu mężczyznę, w długim brązowej barwy paltocie, który jak gdyby się tam schował przed deszczem. Mężczyzna ów miał podniesiony aż do uszu kołnierz surduta, a na oczach błękitne okulary.

Dwie kobiety z ludu i dziecię schroniły się tam wraz z nim; deszcz wszakże nie ustawał, lecz coraz większy padać zaczynał. Arnold wszedł również w wspomnianą bramę.

Mężczyzna w okularach, obok którego stanął, spojrział nań uważnie.

— Szkaradny czas, panie, nieprawdaż? rzekł Desvignes.

Postyszawszy głos mówiącego, mężczyzna ów odrzekł uśmiechając się zlekka.

— Przykry w rzeczy samej, a nadewszystko dla ciebie, panie strażniku miejski, jeżeli jesteś na służbie.

— Tak, odgadłeś pan, na służbie jestem, mam jednak pół godziny wolnego czasu na śniadanie, ponieważ dotąd nic jeszcze nie jadłem.

— I ja zarówno, rzekł pierwszy; i gdybym tu dostrzegł w pobliżu restauracją, albo mleczarnię, poszedłbym coś przekąsić.

— Mówisz pan o mleczarni, jest ona właśnie przy ulicy Joubert'a, na wprost Hotelu Indyjskiego.

Idąc tam, mogę panu drogę pokazać. Pójdźmy więc razem.

Tu obaj wyszli z bramy, udając się we wspomnioną stronę.

Na rogu ulicy Joubert'a, Arnold zwolnił kroku.

— Jeszcze zawczasie, rzekł z cicha, idźmy na śniadanie każdy w swą drogę, jak gdybyśmy się nie znali. Zaczekasz na moje dalsze rozkazy w zakładzie, do którego wejdziemy.

— Dobrze, rzekł Trilby, którego zapewne poznali czytelnicy. Otóż i Hotel Indyjski dodał wskazując. Lecz gdzież jest owa mleczarnia?

— Niema jej wcale, odparł Desvignes. Mówilem umyślnie, ażeby ci dać jakąkolwiek odpowiedź. Lecz oto na rogu ulicy Victoria sklep kupca win, tam pójdziemy obaj. Wejdz pierwszy; dodał, i usiądź przy stole, ja siądę przy drugim.

## XXVIII

Trilby, posłuszny zleceniu, przestąpił próg restauracyjnego zakładu, i usiadł w głębi sali, przy małym stoliku, umieszczonym pod ciasnemi, krętymi schodami, prowadzącymi na pierwsze piętro. Arnold wszedł w kilka sekund później i usiadł z przeciwnej strony tej, w której znajdował się Trilby.

Obaj kazali sobie podać śniadanie.

W chwili tej zegar uderzył wpół do jedenastej.

O tej to właśnie godzinie Edmund Beraud poszukiwacz djamentów, jeżeli w przeddzień wyjechał rannym pociągiem, mógł wysiadać na stacji Liońskiej

drogi żelaznej. Gdyby zaś przeciwnie, jak przypuszczał Arnold wyjechał wieczorowym, trzy godziny czekałby jeszcze należało na jego przybycie.

W każdym razie z miejsca, w jakim obecnie usiadł Desvignes, widział przez okno wprost siebie główną bramę Hotelu Indyjskiego, po nad którą wznosiła się tablica z wielkimi złożonemi literami.

Tak więc Edmund Beraud, o której bądźkolwiek godzinie przybyłby do Paryża, nie mógłby wejść do hotelu niepostrzeżony przez Arnolda.

Czas upływał. Uderzyła dwunasta w składzie kupca win.

— Gdyby milioner, wsiadł był na pociąg w Tulonie, wychodzący o dziesiątej, myślał Desvignes, byłby już przed hotelem, woźnica bowiem nie opóźniał się z jazdą, w taką niepogodę. Sprawdziły się moje przewidywania; wsiadł w Marsylji na pociąg wieczorowy, i w tej chwili dojeżdża do Paryża.

O w pół do pierwszej zapłaciwszy za śniadanie, wstał, a spojrzawszy znacząco na Trilbego, wyszedł z restauracji.

Deszcz zmniejszył się nieco, horyzont jednak pozostał czarnym, jak pierwej, grożąc otwarciem się wszystkich upustów niebieskich.

Były sekretarz bankiera z Kalkuty przechadzał się zwolna wzdłuż trotuaru ulicy Joubert; postąpiwszy kilkanaście kroków, wracał się znowu, aby nie stracić z oczu Hotelu Indyjskiego. Chwilami przystawał w bramie domu, naprzeciw położonego.

Ubiór, jaki miał na sobie, pozwalał mu chodzić,

wracać, zatrzymywać się, bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi. Przechodnie w rzeczy samej brali go za miejskiego strażnika, będącego na służbie.

Gdy tak ściśle straż swą wypełniał, czas wydawał mu się nieskończenie długim. Co kilka minut dobywał zegarka, spoglądając nań, poczem stał spojrzenia w odległość ulicy Joubert'a, spodziewając się ujrzeć powóz obładowany bagażami, a w nim podróżnego, na którego tak oczekiwał.

— Druga godzina! wyszepnął. Co to znaczy? On już oddawna być tu powinien. Co się tam stało?

W chwili, gdy stawiał to zapytanie, dostrzegł nagle dużego fiakra z galeryjką u wierzchu, jadącego od strony Chaussée-d'Autin, a skręcającego na ulicę Joubert. Ów fiaker, zaprzężony we dwa małe bretońskie koniki, szybko jechał. Na wierzchołku widać było przymocowane dwa żółte, skórzane kufarki, pokryte rozlicznymi kartkami różnokolorowego papieru, z których większa część nosiła znaki statków parowych i dróg żelaznych różnych krajów.

Arnold wzdrygnął się pomimowolnie. I zapuścił aż po oczy swój kaptur, ażeby okryć cieniem wyższą część twarzy.

Fiaker zbliżał się, pędząc szybko i obrzucając błotem przechodniów. Przybywszy przez Hotel Indyjski, zatrzymał się nagle.

Czatujący nikezemnik uczył, jak gdyby na chwilę serce w nim bić przestało.

Otwarto bramę hotelu.

Mężczyzna w podeszłym wieku, trzymający w ręku małą podróżną walizkę, wysiadł z fiakra i skoczywszy rzeško na chodnik, wszedł do hotelu, z którego dwóch służących wybiegło na jego spotkanie.

Edmund Beraud, znany czytelnikom w Kalkucie, podczas jego bytności u Mortimera, szedł wprost do biura hotelu, mówiąc posługującym:

— Poznoście moje pakunki i powiedzcie woźnicy, aby zaczekał. Zresztą, wynająłem go na godziny.

Wykonano bezzwłocznie zlecenia podróżnego i oba skórzane kuferki zniesiono z wierzchołka fiakra, ustawivszy je w hotelowym przysionku. Były kupiec dja-mentów wszedł do biura hotelu, gdzie kobieta, pełniąca obowiązki sekretarki, pozdrowiła go skinieniem głowy.

— Odebrałaś pani zapewne w dniu wczorajszym mój telegram? zapytał Beraud, telegram, wysłany z Marsylji?

— A! zatem mam honor mówić z panem Edmudem Beraud?

— Tak... ja nim jestem.

— Apartament, zatrzymany dla pana, jest gotów.

— Każ pani służbie tam mnie zaprowadzić.

— Ludwiku! zawołała młoda kobieta, biorąc klucz ze stołu i podając go jednemu z usługujących, zaprowadź pana pod numer 13.

Oblicze Edmunda Beraud sposepniało nagle, podczas, gdy usta szeptały:

— Numer 13... fatalny numer.

— Miałabyś pan być przesądnym? pytała z uśmiechem kobieta.

— Przesądnym nie jestem, rzekł Beraud. Istnieją



jednak pewne niewytłumaczone rzeczy, którym się ulega bezwiednie, mimo, iż wiemy, że to jest niedorzecznością. Nie mogłażbyś pani dać mi innego apartamentu?

— Niestety, nie! Jest to jedyny numer, jaki obecnie pozostaje wolnym.

— Zaprowadź mnie więc, rzekł podróżny do chłopca, trzymającego klucz w ręku. Następnie przyniesiesz moje bagaże.

Kupiec djamentów wszedł na schody, nakryte purpurowym kobiercem, i przestąpił próg pokoju pod 13. numerem.

Apartament ten, położony na drugim piętrze, składał się z przedpokoju, sypialni i gabinetu. Pokój dostatnio i dość wytwornie umeblowany, był obszernym i jasnym; oświetlały go dwa okna, oba wychodzące na ulicę Joubert. Stół okrągły, z marmurowym blatem, stał w pośrodku. Beraud położył swą małą walizkę na tym stole, a zdjawszy zwierzchnie podróżne ubranie, wszedł do gabinetu, gdzie zwyczajem angielskim, w miednicy, napelnionej wodą, zanurzył głowę, poczem obmył się i wdział zdjęte ubranie. Przez ten czas posługujący poznosili bagaże. Były kupiec djamentów zadzwonił.

— Co pan rozkaże? zapytał chłopiec, wbiegając.

— Przynieś mi, proszę, i połóż na stole kałamarz, pióro, paczkę kopert i kilkanaście ćwiartek papieru. Potrzebuję napisać znaczną ilość listów.

— Natychmiast, panie. Czy i lak będzie potrzebnym?

— Ma się rozumieć.

Posługujący wyszedł.

Beraud zostawszy sam, rzucił się na fotel.

— Niech ich czarci porwą z ich 13. numerem, zawołał głośno z gestem gniewu. Od chwili wyjazdu mego z Kalkuty ponure przeczucia ścigać mnie nie przestają, na każdym prawie kroku spotykam prognostyki złowróźbne i jeszcze tu, za mojem przybyciem, dostaje mi się numer tak fatalny! Jakiś głos dziwny, wewnętrzny, szepce mi, aby nie rozpakowywać bagażów i przenieść się do innego hotelu. Przeczucia takie bywają zwykle dobrymi. Powinienbym tego posłuchać. W każdym razie przezornie postąpiłem, iż wysiadłszy z wagonu przed mojem tu przybyciem, uczyniłem to, co powinienem był uczynić. Pójdę na śniadanie, dodał po chwili, rozpędzi to może czarne me myśli, a wróciwszy tu, zasiądę do pisania listów.

To mówiąc, Beraud podniósł się, wziął swój podróżny kapelusz i wyszedł z mieszkania, zamknąwszy je na klucz za sobą. Udał się do biura hotelu, gdzie owa młoda kobieta, pełniąc obowiązki dozoru, znajdowała się, a obok niej zebrana służba hotelowa. Wszyscy rozmawiali głośno, z ożywieniem.

Skoro ukazał się Beraud, przerwali nagle pogadankę. Były kupiec djamentów, położywszy klucz na stole w milczeniu, wyszedł i wszedł do fiakra, jadąc na ulicę Caumartin.

Hotelowa nadzorczyńni wraz z posługującymi odprowadzili go ku wyjściu, wróciwszy dopiero natenczas, gdy zniknął na skrócie ulicy Joubert.

## XXIX.

— Ha! ha! ha! śmieszny naprawdę ów parafianin! zawołał wesoło chłopiec, któremu Edmund Beraud każał sobie przynieść kałamarz i papiery. Czy pani przypatrzyłaś się jego fizjognomji, panno Elizo?

— Widziałam, odparła zarządzająca, iż wszedłszy tu, był mocno wzburzonym. Miałżeby go tak rozgniewać ów nieszczęsny numer 13? Ach! jakież to zabobonny człowiek!

— Wierzyć w coś podobnego, to śmieszne, zaprawdę! odpowiedział posługujący. Ja wierzę tylko w nieszczęście, skoro wypadkiem wywrócę solniczki na stole.

— A ja, rzekł drugi, gdy mi pomimowolnie nóż z widelcem na krzyż się złoży.

— Ha! wolno wierzyć każdemu, w co mu się podoba, zaczął pierwszy; jeżeli numer 13. drażni mu nerwy, wynikać to musi z jakichś jemu wiadomych powodów; to nas nie obchodzi. Bądźcobądź jednak, źle patrzy z oczu temu podróżnemu, ma fizjonomię djabelnie ponurą, i zwracam uwagę pani, panno Elizo, abyś, skoro tylko powróci, zażądała od niego legitymacyjnych dowodów, dla uniknięcia kłopotów z policją. W obecnych czasach przezornymi być trzeba... Widzimy, co się dzieje wokoło, tyle morderstw, zbrodni różnego rodzaju.

— Przestraszasz mnie, Ludwiku! zawołała kobieta, bledniejąc. Jak na nieszczęście, jestem dziś samą w hotelu; trzeba zdarzenia, że pan właśnie wyjechał! Ach! gdyby choć przed zapadnięciem nocy powrócił!

— Pan według tego co mówił, przybędzie jutro do-

piero, obecność jego w niczemby nam tu niepomogła, ciągnął Ludwik dalej. Niemasz się pani czego obawiać, panno Elizo. Osobistość, o której mówimy, nie posiada wprawdzie pociągającej fizjognomji, nie zje nas jednak, nie połknie. Miej się pani tylko na baczości, gdy on tu wejdzie. Można mieć łatwo do czynienia z jakimś indywiduum, śledzonym przez policję, które po dokonanych na prowincyi różnych czynach, schroniło się do Paryża.

— Patrzyłeś zkąd pochodzą jego bagaże? pytała zarządzająca.

— Patrzyłem. Mają one znaki z Tulonu do Paryża, a obok tego i inne angielskie, jakich odczytać niezdolałem. Zda się on przybywać z dalekiej obczyzny, lecz co nam do tego?

— Będę nalegała, aby mi oddał w porządku wszystkie papiery.

— Właściciel wdzięcznym pani za to pozostanie. Nasz hotel posiada dotąd nieskalaną sławę. Zejście policji wiele zaszkodziłoby mu mogło.

Uderzenie dzwonka z głębi jednego z apartamentów hotelowych, przerwało powyższą rozmowę. Obaj posługujący pobiegli szybko na schody, podczas, gdy młoda kobieta, zasiadłszy przed biurkiem, otworzyła rejestrową księgę, zapisując w niej cyfry.

Fiakr z Edmundem Beraud jechał, jak powiedzieliśmy, w stronę ulicy Caumartin. Wjechawszy tam, zawrócił na prawo, ku Saint-Lazare.

Arnold, stojący wciąż na czatach w bramie domu naprzeciw Hotelu Indyjskiego, zaniepokoił się

mocno, dostrzegłszy, iż fiakr po złożeniu bagażów czekał przed hotelem. Niespokojność ta jego zamieniła się w trwogę, gdy ujrzał kupca djamentów, wsiadającego do tego powozu i jadącego dalej. Zaczął biegnąć prędko za wehikułem. Skoro ten jednak zawrócił na ulicę Caumartin, wiedącą na bulwary, a dalej ku Saint-Lazare, odetchnął swobodnie. Uciskająca go troska zniknęła.

— Nie tędy droga do banku, rzekł sobie. Godziny biurowe minęły, nie mam czego obawiać się teraz.

Biegając za fiakrem, którego konie szły wolno z przyuczyny oślizgłego błota, Desvignes znajdował się o dzięsieć zaledwie kroków od niego.

Przybywszy na ulicę Saint-Lazare, powóz zwrócił się na lewo, w stronę stacji Wschodniej drogi żelaznej, lecz zamiast wjechać w dziedziniec tejże, zatrzymał się przed restauracją Feliksa, na rogu ulicy Amsterdamskiej. Woźnica pochylił się z kozła ku otwartemu oknu powozu, mówiąc głośno do swego pasażera:

— Tutaj to smakowite mieć pan będziesz śniadanie. Jest to kuchnia wyborowa.

Dostyszał to Desvignes. Drzwiczki się nagle otworzyły, kupiec djamentów wysiadł z powozu.

Mniemany strażnik miejski, nie chcąc być przezeń dostrzeżonym, schronił się szybko pod arkady, okalające dziedziniec stacyjny. Owa przezorność spowodowała dla czatującego niepomyślne rezultaty, nie pozwalając mu posłyszeć rozmowy prowadzonej przy obliczaniu się z Edmundem Beraud.

Gdyby był posłyszał ów rachunek, zmieniłby był niechybnie wszystkie swe plany.

Podróżny spojrzął na swój kieszonkowy zegarek.

— Obecnie, rzekł, jest trzecia minut pięć... Wziąłem cię o w pół do jedenastej. Ogół wynosi cztery godziny trzydzieści pięć minut. Ileż ci przeto winienem?

— Cztery godziny trzydzieści minut, po dwa franki sześćdziesiąt, to wyniesie razem dwanaście franków pięćdziesiąt centymów, odrzekł powożący. Mój fiakr jest to powóz na cztery osoby, obywatelu, obok tego zabrałem dwa ciężkie twoje bagaże z drogi żelaznej. Niechaj to więc razem uczyni trzynaście franków. Co się zaś tyczy napiwka, to zależy od pańskiej wspaniałomyślności.

— Trzynaście franków, wciąż owa liczba przekłeta! mruknął podróżny z gniewem, sięgając do kieszeni. Czyż ona prześladować mnie nie przestanie?

— Ha! ha! nie lubisz pan trzynastki? zawołał woźnica, wybuchając śmiechem. Nie masz jednakże słuszności w tym razie. Jest to cyfra, która mi szczęście przynosi. Ot! patrz pan, nie zauważyłeś bowiem, jak widzę, że mój fiakr ma właśnie numer 13.

Beraud drgnął nagle.

— I to jeszcze... wyszepnął.

Woźnica mówił dalej:

— Mój fiakr szeroko jest znanym. Jest on historycznym, panie! Napisano książkę o jego przygodach, powieść, jaką czytał świat cały, a którą i panu polecam zarówno; nosi ona tytuł: Fiakr nr. 13. Od lat pięćdziesięciu, jak na nim jeżdżę, dziś bowiem mam lat siedemdziesiąt dwa, nigdy żaden nie spotkał mnie wypadek. Jakem Loriot... panie... przysięgam... na honor!

Edmund Beraud podał w mileczeniu pieniądze woźnicy.

— Ile panu mam reszty wydać? zapytał tenże.

— Nie, zachowaj wszystko dla siebie.

— Dziękuję, obywatelu. A gdybyś kiedy potrzebował woźnicy, znającego lepiej Paryż, niż ten, który go wybudował, racz sobie przypomnieć o ojcu Loricie i fiakrze nr. 13. Moja remiza znajduje się w Batignolles, przy ulicy Moines nr. 93. U mnie wszystko iść musi przez trójkę albo trzynastkę.

Były kupiec djamentów, wruszywszy ramionami, wszedł do restauracji. Ojciec zaś Lorient, musnąwszy konie lekkim dotknięciem bicia, podobnem raczej do ojcowskiej pieczyoty, zawołał:

— Wio... hej! Bichetta... Pamela... dalej, me ptaki! Strudziłyście się niemało, w stajni odpocznicie.

I przejechawszy Amsterdamską ulicę, dążył ku Batignolles.

Pomimo swoich siedmdziesięciu dwóch lat wieku, ojciec Lorient zachował w zupełnej świeżości swe władze fizyczne i moralne. Wrodzona wesołość nie opuszczała go na chwilę. Miał zawsze jakieś dowcipne słówko na ustach, a swoje siedzenie uważał za najwspanialszy tron świata.

Arnold Desvignes, jak nadmieniliśmy, nie słyszał ani jednego wyrazu z rozmowy, prowadzonej między woźnicą a byłym poszukiwaczem djamentów. Wystarczającym dlań było, iż widział Edmunda Beraud wchodzącego do restauracji, gdzie bezwątpienia zjeść postanowił śniadanie.

— Skoro je ukończy, myślał, godzina zamknięcia kas bankowych nadejdzie. Mimo to pozostał na czatach, jak

poprzednio, nie tracąc z oczu drzwi zakładu Feliksa.

Czwarta uderzyła na stacyjnym zegarze, gdy Edmund Beraud wychodził z restauracji. Zatrzymał się chwilę na progu zapalając cygaro, poczem udał się pieszo na ulicę Caumartin, w stronę Hotelu Indyjskiego.

Deszcz już nie padał, lecz niebo pozostało szarem, jak dawniej, pokrytem ółowianami chmurami.

Arnold rozpoczął swój pochód śledczy. Szedł po za kupcem djamentów do chwili, w której ten zniknął w hotelowym korytarzu.

— Teraz, nie mam się czego obawiać, wyszepnął z zadowoleniem, podczas gdy jego oczy, ukryte pod kapturem, dzikim ogniem zabłysły. I zwrócił się w stronę zakładu kupca win, gdzie przed kilkoma godzinami jadł śniadanie i gdzie Trilby na niego oczekiwał.

Wierny danemu rozkazowi, irlandczyk nie ruszył się z miejsca. Po obfitem śniadaniu, dobrze winem oblanem, ów anglik usiadł przy stole w pobliżu okna, a otworzywszy notatnik, zdawał się coś w nim pilnie zapisywać, w rzeczywistości udawał tylko, że pisze, spoglądając bezustannie w ulicę. Widział chodzenie i powracanie mniemanego miejskiego strażnika. Widział go biegnącego za fiakrem, jaki wyjechał z przed bramy Hotelu Indyjskiego i ujrzał go powracającego zarówno.

### XXX.

Arnold, spostrzegłszy przez okno swego współnika, skinął nań, dając znak ręką, ażeby wyszedł do niego. Trilby wybiegł natychmiast, a połączywszy się z mnie-



manym strażnikiem miejskim, zapytał:

— Cóż teraz mam czynić?

— Spiesz powiadomić Will Scotta, ażeby powóz wraz z koniem znajdował się punktualnie o siódmej naprzeciw stacji omnibusów, przy ulicy Magdaleny. Nie zapomnijcie zabrać przedmiotów, o których mówiłem.

— Już są kupione... Scott je umieścił w powozie.

— Idź więc... i pilnujcie się godziny.

— Licz na nas.

Tu obaj się rozdzielili. Arnold poszedł na bulwar, a następnie ulicą Montmartre zaszedł aż do Halles, z kądem udał się do wielkiego składu metalowych wyrobów, znanego w całym Paryżu z legendowego napisu: Pod Wulkanem.

Wszedł do owego składu, gdzie dzięki swemu ubiorowi strażnika, mógł kupić, bez zwrócenia na siebie podejrzenia, przyciemnioną latarnię, dwie pary łańcuchów do skrepowania rąk, nazywanych powszechnie w języku gminnym branzoletkami. Ztamąd udał się na ulicę Rivoli, aż ku ulicy św. Antoniego i wszedł w des Tournelles, nabywszy po drodze dwie woskowe świece do wspomnianej latarni i dwa pudełka zapalek.

Deszcz zaczął znów padać drobny i zimny.

Desvignes wszedł do swojego mieszkania, niedostrzeżony przez nikogo, i zamknął się w pawilonie na wewnętrznej zasuwkę, by się uchronić przed przyjściem odzwiernej, posiadającej, jak wiemy, klucz drugi.

Pozostawiwszy go tam chwilowo, wróćmy do kupca djamentów.

Gdy wszedł do biura hotelu po odebranie klucza,

jaki pozostawił wychodząc, kobieta, siedząca przy biurku powstała, a owładnięta trwogą, wywołaną idjotycznymi uwagami posługujących, postanowiła zażądać od niego bezzwłocznie legitymacyjnych papierów.

— Wybacz pan, poczęła zmienionym i drżącym zlekka głosem, zwracając się ku wchodzącemu.

— Co pani rozkażesz? zapytał Beraud.

— Pan wiele zapewne podróżował?

— Dlaczego... i z kąd to zapytanie?

— Ażeby panu przypomnieć, o czem wiesz bezwątpienia, że każdy z przybywających do hotelu, winien jest złożyć swoje legitymacyjne dowody, dla wpisania takowych w meldunkową księgę.

Beraud był z natury niezmiernie obraźliwym. Najmniej podobało mu się podejrzenia lub nieufności względem jego osoby, drażnił go do najwyższego stopnia i gniewał. Odrzekł więc, powściągając wzburzenie:

— W rzeczy samej, podróżowałem wiele, byłem w wielu krajach, lecz nigdzie nie stawiano mi podobnie inkwizytorskich żądań, jakie mi pani stawiasz w tej chwili. Znam dobrze przepisy hotelowe. Nie potrzebuję, aby mi o nich przypominano, żądając dwukrotnie podania nazwiska, jakie pani znasz dobrze, ponieważ otrzymałaś wczoraj odemnie telegram. Uważam to za wystarczające, a wszelkie inne wymagania ze strony pani zdają mi się być bezzasadnie śmiesznymi.

— A jednak, panie, przepisy policyjne, zaczęła kobieta.

— Oh! czyż je pani tak ściśle zawsze wypełniasz? przerwał z szyderstwem Beraud. Iluż podróżnych przebywało w waszym hotelu bez zapisania ich w meldun-

kowe księgi?

— Wszystko to być może, lecz w każdym razie nas to jedynie dotyczy, którzy za naruszenie przepisów odpowiedzialni jesteśmy.

— To się znaczy, że pani robisz wyjątki, skoro ci się podoba takowe uczynić, a od których mnie wyłączasz. Stronność pani jest tu widoczną. Oświadczam przeto, iż tylko tę noc spędzę w waszym hotelu, a jutro inny sobie wynajdę, gdzie służba grzeczniej obchodzić się umie z przybywającymi.

— Jak się panu podoba. Możesz zmienić od jutra miejsce pobytu, odpowiedziała panna Eliza, zapłoniona gniewem, albowiem epitet „służba“ zranił ją do żywego i zdawał się jej obelgą do niewybaczenia. Przed wyniesieniem się ztąd jednakże, dodała, musisz pan złożyć swoje legitymacje dla wpisania ich w meldunkową księgę.

— Jużem je złożył, odparł szorstko Beraud, nazwisko moje jest pani znanem. Powtarzam, podpisałem depezę.

— Zkąd ja mogę być pewną, że to nazwisko nie jest przez pana przybranem? zaczęła kobieta. Żądam autentycznych dowodów, z własnoręcznym podpisem. Żądam, chcę tego, jestem w swoim prawie!

— Dość tego! zawołał Beraud, powstrzymując się od wybuchu gniewu. Odmawiam zadośćuczynienia pani wymaganiom i rzecz skończona.

— Skoro tak, rzekła Eliza, powiadomię komisarza cyrkulowego, dla uniknięcia odpowiedzialności.

Miljoner miał wybuchnąć złorzeczeniem, na myśl wszelako, iż widzi przed sobą kobietę, i tym razem zdoła się jeszcze pohamować.

— Nie będziesz pani potrzebowała kłopotać tem komisarza, odparł huczącym głucho, jak burza, głosem. Złożę ci mój paszport dzisiaj wieczorem, idąc za wyszukaniem innego dla siebie schronienia. Obecnie wracam do siebie, mam wiele do pisania, proszę mi nie przeszkadzać!

I wyszedł z biura, trzasnąwszy drzwiami tak gwałtownie, że aż szyby zabrzękły. Wbiegłszy do pokoju, dał folgę huczącemu w piersiach wzburzeniu.

— Do kroć tysięcy piorunów! krzyknął, uderzając nogą w podłogę, czyliż przybyłem do mego rodzinnego kraju z bogactwem, długoletnią pracą zebranem, dlatego, aby na wstępie doświadczyć tylu przykrości i zuchwałstwa? I wszystko to z przyczyny mego nazwiska, nazwiska powszechnie szanowanego, na którem nie ciąży najmniejsza plama! Ah! źle wybrałem ów Paryż... rozpierzchają się moje marzenia! A wszystko to z owej przeklętej trzynastki, jaka prześladowuje mnie wszędzie. To mówiąc Beraud przechadzał się wielkimi krokami wzdłuż i wszerz pokoju, jak tygrys w klatce zamknięty.

Pięć minut wystarczyło na uśmierzenie w nim tego gwałtownego gniewu. Skoro się uczuł, nie powiemy zupełnie uspokojonym, lecz spokojniejszym nieco, zbliżył się do stołu, na którym wychodząc, zostawił swoją walizkę, a rzuciwszy okiem, przekonał się, iż służący hotelowy wypełnił jego rozkazy.

Usiadłszy przy stole, wyjął z kieszeni portfel i o-tworzył takowy, a wybrawszy z pomiędzy papierów listę spisanych nazwisk, położył ją z lewej strony siebie. poczem na ćwiartce papieru pisać zaczął.

Pozostawiwszy go przy tej korespondencji, wróćmy do biura zarządzającej hotelem.

Obaj służący, na hałas zaszłej sprzeczki pomiędzy młodą kobietą a nowoprzybyłym podróżnym, przybiegli do drzwi, słuchając całej rozmowy, a po wyjściu Edmunda Beraud weszli do wnętrza.

— Czyliż kto widział upór podobny? skarżyła się panna Eliza. Jakiż to nieznośny człowiek! czysty niedźwiedź wypuszczony z kniei. Utrzymuje, iż ja mu rzucam obelgę, żądając od niego papierów.

— Tembardziej winnaś je pani otrzymać, rzekł Ludwik.

— Otrzymać, łatwo to powiedzieć. Lecz jeśli dać ich nie zechce, co począć wtedy? Przynależ mi wprawdzie przynieść swój paszport dziś wieczorem, odjeżdżając.

— To próżny wybieg z jego strony, odezwał się drugi z posługujących. Odjedzie bez dostarczenia papierów, jestem przekonany. Właśnie w tej jego odmowie coś się ukrywa. Od pierwszej chwili, skorom tylko spojrział na niego, zauważyłem, iż temu człowiekowi źle patrzy z oczu, mówilem pani o tem, i nie daremnie. Jest to jakieś podejrzané indywiduum. Dałbym chętnie dziesięć sous z mej własnej kieszeni, gdyby inspektor policji zeszedł dziś dla zrewidowania ksiąg meldunkowych. Przed nim ów ptak wszystko wyśpiewaćby musiał. Zmuszonym byłby złożyć objaśnienia i dowody, jakich pani oddać nie chce.

— Wszystko to jest dziwnie podejrzanem, rzekł drugi. Możemy poszedł powiadomić komisarza policji?

— Nie, nie! przerwała żywo zarządzająca. Groziłam

ja mu tem wprawdzie, lecz tylko dla postrachu. Komisarz zeszedłby tutaj ze swym sekretarzem i agentami, podobne rzeczy kompromitują zakład hotelowy, niepodobna tego uczynić. Nasz pan gniewałby się o to. Ów podróżny wyniesie się od nas dziś wieczorem, albo jutro zrana. Zaczekajmy więc. Zapiszę go tymczasowo pod jego nazwiskiem Edmunda Beraud, dodawszy w rubryce uwag, iż z przyczyny, że tylko na kilka godzin przyjechał, nie wymagałam od niego legitymacyjnych dowodów.

— Jak pani chcesz, odparł posługujący. Na mnie wypada dyżur tej nocy. Będę czuwał nad trzynastym numerem.

— Gdyby nawet ów przyjezdny był najniebezpieczniejszym człowiekiem, wyrzekła zarządzająca, nie porwie nam przecież z sobą hotelu.

— To prawda, skoro się jednak ma podejrzenia, ostrożność nie zawadzi.

Na tem zakończyła się rozmowa.

Panna Eliza, rozłożywszy meldunkowe księgi, zagłębiła się w pisaniu. Obaj posługujący odeszli.

### XXXI.

Siódma wieczorem uderzyła na hotelowym zegarze. Edmund Beraud w swoim apartamencie pod trzynastym numerem zapalił dwie świece i postawiwszy je na stole, jedną z prawej, a drugą z lewej strony, tak, aby światło obu koncentrowało się razem, zasiadł do korespondencji, o jakiej wspomnieliśmy powyżej.

Miał pisać piętnaście listów, każdy mniej więcej o

dwudziestu wierszach. Leżały one pod piętnastoma kopertami, każdy pod innym adresem. Owe piętnaście listów rozłożonemi były na stole w półkole, w rodzaju kart, zapraszających na zebranie.

— Otóż skończyłem nareszcie, wyszeptał milioner, wsuwając ostatni list w kopertę i spojrzął na zegarek. Czas iść na obiad, rzekł; wrzucę te listy po drodze do skrzynki pocztowej.

I przebrał się szybko, a włożywszy listy do portfela, rozpiął rzemyki najmniejszego z tłumoczków, dobywając zeń okrycie ciemnej barwy.

Jednocześnie, gdy kupiec dyamentów rozpoczynał swoje przebieranie, jakiś powóz zatrzymał się przed hotelem Indyjskim. Woźnica tegoż, jak się zdało, dla lepszego zabezpieczenia przed deszczem, lejącym bezustannie, podniósł aż po uszy kołnierz swego długiego granatowego surduta z mosiężnymi guzikami i spuścił po oczy kapelusz.

Dwaj mężczyźni wysiedli z powozu. Obaj zdawali się być w podeszłym już wieku. Mieli siwiejące włosy i faworyty. Ich czarna barwa ubrania, białe krawaty i twarze, starannie wygolone, prócz faworytów, nadały im pozór obrońców sądowych lub urzędników trybunału. Obadwa weszli do hotelu. Idący naprzód otworzył drzwi biura.

Zarządzająca, postyszawszy turkot zatrzymującego się powozu i widząc wchodzących dwóch mężczyzn w tak starannem ubraniu, była przekonana, iż to są jacyś zamożni podróżni. Podniosłszy się przeto, postąpiła ku nim, mówiąc uprzejmie.

— Jeżeli panowie przybywacie w celu zamieszkania w naszym hotelu, żałuję mocno, że oświadczyć jestem zmuszoną, iż wszystkie numera są u nas zajęte. Nie ma wolnego pokoju.

— Nie chodzi tu nam o apartament, rzekł ten, który wszedł pierwszy. Przybywamy do pani o udzielenie objaśnienia.

— W czem takim?

— Względem pewnego podróżnego, który zamieszkał w waszym hotelu.

— Jednego z naszych gości? powtórzyła kobieta z zaniepokojeniem.

— Tak, pani.

— Lecz jakim prawem, zkąd i dlaczego pan chcesz pytać mnie o to?

Nieznajomy, w miejsce odpowiedzi, odpiął zwierzchnie okrycie, pod którem zarządzająca ujrzała trójkolorową szarfę, owiniętą w około munduru.

— Jestem komisarzem od spraw sądowych, odpowiedział, interes, jaki mnie sprowadza, jest sprawą wielkiej doniosłości.

Młoda kobieta pobladła, drżąc silnie. Widok trójkolorowej szarfy i wyrazy: „Jestem sądowym komisarzem“ mocno ją zatrwożyły, sprawiając jej zamęt nieopisany.

— Sprawa wielkiej doniosłości, sprawa nader ważna, mówiła, składając ręce. Stwórco miłosierny! cóż to być może.

— Uspokój się pani, mówił poważnie przybyły, i odpowiadaj na zapytanie. Nie masz się pani dla siebie



o co obawiać. Przybywam tu właśnie dla powstrzymania skandalu, jaki mógłby wyniknąć w waszym hotelu.

— Skandal!... Boże litościwy!...

— Mógłby wyniknąć w takim wypadku, gdybyś pani na moje pytania nie chciała otwarcie i szczerze odpowiadać.

— Ach! panie, jestem gotowa. Pytaj mnie, opowiem ci wszystko, o czem chcesz wiedzieć.

— Pani jesteś zarządzającą hotelem?

— Chwilowo, panie. Pełnię zwykle obowiązki kasjerki, obecnie jednak przez kilka dni zastępuję w zarządzie właściciela, który wyjechał za interesami. Zaszczycyca mnie on swem zaufaniem, zaufaniem zasłużonem zresztą przezemnie, zkaąd powierzył mi przez czas swej nieobecności absolutną władzę.

— Tem lepiej. Widzę, iż można ufać słowom pani.

— Och! najzupełniej...

— Wszak dziś w południe przybył do tego hotelu pewien podróżny?

Młoda kobieta spojrzała ze zdziwieniem. Zrozumiała nagle iż będzie badaną co do owego podróżnego, na którego posługujący zwracali jej uwagę.

— Tak, przybył, panie, odpowiedziała.

— Podróżny ów przysłał pani telegram z Marsylji o zatrzymanie dla niego apartamentu?

— Tak, panie.

— Jest to człowiek około sześćdziesięciu lat mieć mogący...

— Zdaje się...

— Nazywa się Edmund Beraud?

— Podał mi to nazwisko, podpisał nim depeszę, zapisałam je więc w meldunkową księgę, prócz tego jednak, żadnych innych objaśnień otrzymać od niego nie zdołałam.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chciał mi oddać dowodów legitymacyjnych.

— Jakto? odmówił złożenia ich pani?

— Wprost i stanowczo odmówił, utrzymując, iż moje żądanie było zuchwalstwem w tym razie. Ten człowiek od chwili swego przybycia źle wywarł wrażenie tak na mnie, jak i na całym naszym służbowym personalu. Dziwny ma sposób zachowania się. Trwoga, jakiej nie jestem w stanie wytłumaczyć, opanowała mnie wobec niego.

Komisarz do spraw sądowych, albo raczej osobiście, która się nim mianowała, odrzekł z powagą:

— Przestrach instynktowy, o jakim pani mówisz, ma swoją rację bytu, nie był on deremnym. Dowiedz się pani, iż obecnie masz w swoim hotelu jednego z najniebezpieczniejszych hultajów, łotra zdolnego do spełnienia najczarniejszych zbrodni!

Zarządzająca, blada jak marmur, wzniosła ręce w górę, wołając:

— Boże miłosierny! zatem przecucia nie omyliły mnie! Byłżeby ów podróżny zbrodniarzem?

— Tak, pani. Szczęściem, powiadomiono nas o jego bliskim przybyciu do Paryża. Agenci nasi śledzili go od Marsylji. Tym sposobem wiedzieliśmy o depeszy, jaką pani nadesłał.

— Cóż pan czynić zamierzasz?

— Przyaresztuję tego człowieka.

— Lecz on stawi opór, będzie krzyczał, będzie się bronił. Jakaż hańba dla naszego domu, hotelu, tak dobrze dotąd uważanego. I trzeba jeszcze, ażeby się to stało podczas nieobecności właściciela.

— Uspokój się, pani, nie będzie ani hałasów, ni krzyków.

— W jakiz sposób tego uniknąć?

— Pozwól mi pani tylko działać, nie badając, jak tego dopełnię. Mam agentów przy drzwiach na zawołanie. Na najmniejsze wezwanie z mej strony przybiegną. Zresztą, ów człowiek w ciągu kilku sekund zostanie obezwładnionym, skrępowanym. Być może jednak, iż nie będę potrzebował uciekać się do podobnych środków surowości. Mam przekonanie, iż on nie stawi oporu, wiedząc, że to byłoby daremne.

— Ach! oby mu przyszła ta myśl zbawienna...

— Jak dużo lokatorów znajduje się obecnie w pokojach hotelowych?

— Bardzo mało, panie. Wszyscy prawie powychodzili, dowodzą tego klucze, ot tu leżące na stole. Pozostał tylko jeden szwed podróżny na czwartem piętrze i pewna chora dama na pierwszym, ze swą pokojówką.

— A Edmund Beraud, nie wyszedł?

— Nie, jest on u siebie. Zapowiedział surowo, aby doń nie wchodzono i nie przeszkadzano mu.

— Numer jego?

— Trzynasty.

— Na którym piętrze?

— Na drugim.

— A zatem nie wychodź pani, proszę, ze swego biura i pozwól nam działać... Niedługo się to wszystko odbędzie.

Zarządzająca usiadła przy swoim biurku, drząc, z łatwą do zrozumienia trwogą, podczas, gdy komisarz wraz z pomocnikiem wchodzili na schody.

Na pierwszym piętrze spotkali jednego z posługujących, który zastąpił im drogę, pytając:

— Dokąd panowie idziecie?

— Pod numer trzynasty.

— Lecz...

— Ani słowa więcej! zawołał groźnie komisarz. Zejdź do biura zarządzającej hotelem i pozostań tam.

— Lecz, panie...

Przybyły, odrzuciwszy zwierzchnie okrycie, ukazał z pod tegoż szarą trójkolorową, jaką był przepasany.

— Ach! przepraszam, rzekł sługa hotelowy, kłaniając się z poszanowaniem. Pan komisarz idzie pod numer trzynasty. Odgadliśmy zatem... I zbiegł prędko na dół po schodach uszczęśliwiony, iż sprawdziły się jego przewidywania.

Dwaj przybyli, wszedłszy na drugie piętro, zatrzymali się przeddrzwiami pod wyż wymienionym numerem.

Edmund Beraud, ukończywszy właśnie ubranie, wziął w rękę kapelusz i miał wychodzić. Posłyszawszy lekkie puknięcie do drzwi, zatrzymał się, słuchając. Zapukano powtórnie, silniej niż poprzednio.

— Wyraźnie tutaj ktoś puka, rzekł były kupiec dżamentów. I podszedł ku drzwiom, odsuwając zasuwkę, na którą zamknął się, jak wiemy, podczas pisania listów.

## XXXII.

Ujrawszy na progu dwóch nieznanomych, cofnął się nagle, korzystając z czego, komisarz wszedł wraz z agentem w głąb pokoju.

— Lecz, panie, rzekł Beraud, pan mylisz się bezwątpienia.

— Nie sędzę, odparł krtóko przybyły.

— Do kogoż pan przychodzisz?

— Do pana.

— To niepodobna!...

— Jakto?... Nie jesteś pan Edmundem Beraud?

Kupiec djamentów patrzył zdziwiony.

— W rzeczy samej, odparł po chwili, jestem Edmundem Beraud.

— A zatem z panem rozprawić się nam wypadnie.

I komisarz postąpił kilka kroków naprzód, podczas gdy agent zamykał drzwi od sypialni.

Beraud osłupiały napróżno zapytywał sam siebie, co mogła znaczyć owa wizyta nieprzewidywana.

— Ponieważ ze mną macie panowie mieć sprawę, rzekł, powtarzając zdanie wygłoszone przez nieznanego, chcecie mnie przedewszystkiem objaśnić, o co tu chodzi? Przybyłem do Paryża przed kilkoma godzinami. Nikt, oprócz służby hotelowej, nie wie o mojem przybyciu. Zkąd więc panowie wiedzieć o tem możecie?

Komisarz po raz trzeci odrzucił okrycie, pokazując na sobie szarą trójkolorową. Kupiec djamentów zmarszczył czoło, lecz nie zatrwożył się tem bynajmniej.

— Aha! rozumiem, zawołał; skarga zarządzającej hotelem, mogłem się tego spodziewać!\* Wyobraż pan

sobie, mówił dalej, że ta głupia kobieta groziła mi udaniem się do pana z przyczyny, iż odmówiłem jej złożenia moich papierów, żądanych przez nią w sposób, który obraził do żywego mą godność osobistą. Jestem, panie, francuzem, urodzonym w Paryżu. Całe me życie jest nieskalanem pod względem honoru. W takich warunkach nie sądziłem, ażeby francuz, rodowity paryżanin, potrzebował koniecznie składać paszport, pragnąc zamieszkać w rodzinnem swem mieście. Panu jednak jestem gotów go okazać natychmiast, jeżeli tego zażądasz.

— To niepotrzebne, odparł komisarz, pod tym względem wiemy, co nam o panu sądzić należy. Wiemy, kto jesteś, z kąd przybywasz i gdzie przez długie lata dotąd przebywałeś.

Edmund Beraud patrzył z osłupieniem na mówiącego.

Komisarz ciągnął dalej:

— Żadna skarga nie została przeciw panu wniesioną przez zarządzającą hotelem. Powiadomiono mnie wprawdzie przed chwilą, że pan odmówiłeś złożenia swoich legitymacyjnych papierów, jakich zarządzająca żądać od pana miała wszelkie prawo; wszakże jest to drobnostka małej wagi wobec misji, jaką tu spełnić przychodzę.

— Jakaż to misja? życzyłbym wiedzieć.

— Natychmiast panu opowiem.

— Będę mocno za to obowiązany, ponieważ daremnie mój mózg wysilam nad rozwiązaniem owej zagadki.

— Wszak pan się nazywasz Edmund Beraud?

— Miałem już zaszczyt to panu powiedzieć.

— Opuściłeś Paryż przed trzydziestu laty.

— Tak.

— I udałeś się do Indyj.

— Tak... dla zdobycia majątku.

— Pierwsze chwile pańskiego pobytu w Indjach były dla pana bardzo ciężkimi. Będąc jednakże wychowawcą szkoły górniczej, odważnym, pracowitym, inteligentnym, otrzymałeś wreszcie rezultat pożądanym. Odkryte i eksploatowane przez ciebie kopalnie djamentów przyniosły ci wielkie bogactwa. Do osiągniętych korzyści z handlu djamentami przyłączyłeś dochody z połowu pereł...

— Zaprowadzonego przezemnie w Ceylonie. Jesteś pan, jak widzę, doskonale poinformowanym, lecz pytam, dokąd to wszystko prowadzi?

— Przed miesiącem i ośmioma dniami, opuściłeś pan Kalkutę, z zamiarem przesiedlenia się do Francji, ciągnął komisarz dalej, zatrzymałeś się w Obock, dla ułatwienia tam swoich interesów...

— Zkąd pan znać możesz pomienione szczegóły? zawołał Beraud.

— To pana nie obchodzi. Widzisz, że je znam i nie zaprzeczysz ich ścisłości.

— Rzecz pewna... Dlaczegoż miałbym zaprzeczać?

— Z Obock udałeś się pan do Port-Said, gdzie przebywałeś przez pięć dni. I wreszcie z Port-Said przyjechałeś dziś rano do Paryża.

— Aha! zawołał były kupiec djamentów z niejaką obawą, byłem więc przedmiotem jakiegoś specjalnego nadzoru.

— Rzecz pewna.

— Zatem policja mną się zajmowała?

— Tak.

— Dlaczego? z jakiej przyczyny?

— Ponieważ potrzebowała wiedzieć o wszelkich pańskich czynnościach.

Beraud poskoczył gwałtownie.

— Potrzebowała wiedzieć? powtórzył przerywanym z gniewu głosem, tłumiąc huczące wzburzenie. W czymże więc wykroczyłem?

— Nie znam szczegółów.

— Po co więc tutaj przyszedłeś?

— Aby wykonać wyrok, wydany przeciw panu.

— Wyrok?!

— Jestem komisarzem do spraw sądowych, mówił przybyły, dobywając z portfela papier stempłowany, pismem pokryty. Spełniam rozkazy, zarządzone przez prokuratora rzeczypospolitej departamentu Sekwany; a ponieważ pan nie zaprzeczasz, że się nazywasz Edmudem Beraud i przybywasz z Kalkuty...

— Po raz setny powtarzam, iż temu nie przeczę! zawołał w uniesieniu kupiec djamentów; nie mam powodów do zaprzeczania temu, co jednak mnie nie objaśnia, z jakiej przyczyny wydano panu owe rozkazy i wyrok?...

— Wyrok stawienia pana przed sądem. Rozkaz natchmiastowego przyaresztowania pana.

Beraud zbladł i cofnął się nagle.

— Pan przychodzisz mnie aresztować... mnie? wyjąknął stłumionym głosem, przykładając rękę do gardła, w którym wzburzenie głos mu tłumilo.



— Oto wyrok, rzekł komisarz, rozwijając arkusz papieru i podając go Edmundowi.

— Co mi po tym szpargale! zawołał tenże, odpychając go ręką. Ja pana pytam o powód, na mocy którego ów rozkaz został wydanym.

— Powtarzam, że nie wiem. Jestem posłusznym, nie pytając, będąc jednym z drobnych kółeczek wielkiej sądowej maszyny.

— Zdaje mi się, że tracę zmysły! zawołał Beraud ściskając rozpalone skronie obiema rękami. Brodzę w ciemnościach, nie sobie wytłumażyć nie będąc w stanie. Aresztują mnie, jak złoczyńcę... rozbójnika... Lecz o cóż mnie oskarżają? Od dwóch dni zaledwie jestem w rodzinnym mym kraju, a od kilku godzin w Paryżu i otóż na przywitanie chcą wrzucić mnie do więzienia! Lecz, panie, nie możesz mieć do mnie żadnej nienawiści, ponieważ mnie nie znasz. Pomówmy więc z sobą życzliwiej, a przekonasz się, że mam słuszość zupełną. Od lat trzydziestu pięciu opuściłem Francję. Spędziłem ten cały czas w Indjach, gdzie żył, pracując uczciwie, na co mogę złożyć dowody. Przed trzydziestu pięciu laty nie dopuściłem się żadnego przestępstwa w Paryżu, a gdybym je był nawet popełnił, pokrywałoby mnie przedawnienie. Prawdaż, czy nie? Odpowiedz pan, proszę?

— Nie przybyłem tu, ażeby z panem dyskutować, lecz aby cię zawieźć do prefektury, gdzie dziś jeszcze wieczorem zostaniesz badanym.

— Nie, panie! Ja jestem ofiarą błędu, strasznego jakiegoś niezrozumienia. To widoczne.

— Być może, panie, radbym w to wierzyć. Jeżeli tu rzeczywiście zaszedł jaki błąd, jeżeli biorą pana za kogo innego, łatwo ci będzie dostarczyć dowodów w tym razie, a wtedy twój pobyt w prefekturze długim nie będzie. Jeżeli twe odpowiedzi na zadane zapytania zdołają stanowczo odepchnąć podejrzenia, bezzwłocznie uwolnionym zostaniesz. Być może, iż za dwie godziny będziesz pan tu z powrotem. Zatem we własnym pańskim interesie unikaj, proszę, skandalu; radzę panu pójść ze mną bez hałasu.

— Iść za panem, poddać się takiej arbitralności, jest to uznać się winnym! zawołał Beraud.

— Nie! jest to tylko być posłusznym prawu, nie więcej. Jeżeli, jak zaczynam w to wierzyć, słuchając pana, jesteś uczciwym człowiekiem, mającym czyste sumienie, winienesz pragnąć jaknajrychlejszego wytłumaczenia się przed sprawiedliwością, aby położyć koniec jakiemuś błędowi, którego się stajesz ofiarą. Z przykrością zmuszony byłbym, użyć środków surowych, ubliżających panu i mnie zarazem, gdybyś opór stawiał. Powiedz sobie, że pragnę twojego dobra i pójdź za mną. Każda chwila opóźnienia przykre dla ciebie sprowadzić może następstwa, bo w takim razie badanie musiałoby zostać odłożonem do jutra.

Edmund Beraud stał, jak człowiek rażony piorunem, czemu czytelnicy zapewne dziwić się nie będą. Były pòszukiwacz djamentów był głęboko przesądnym. Od chwili wyjazdu z Kalkuty ponure przeczucia nim oswładnęły. Słyszeliśmy wymawiającym go swe czarne przewidywania w gabinecie Mortimera. Numer trzy-

nasty zatrzymanego apartamentu ciężko go pognębił; pognębiecie to znacznie się zwiększyło, gdy spostrzegł, że fiaker, wzięty przez niego na stacji drogi żelaznej, nosił zarówno numer 13-ty. Natura Edmunda Beraud okazywała się dzielną w pracy jedynie, w której zużył swoją energję i żywotne siły. Umysł jego był słabym pod wielu względami. Wiele rzeczy, do których nie należało przywiązywać żadnego znaczenia, gnębiły go, spokój mu zatruwając.

— Niech będzie przeklętem moje głupie życzenie powrotu do Francji! wyszepnął głucho. Jakaż fatalność popchnęła mnie do opuszczenia kraju, gdzie żył szczęśliwy i szanowany. Zkąd ogarnęła mnie na późne lata życia ta śmieszna miłość rodzinna. Co mnie obchodzi ci wszyscy krewni nieznani, którzy zapomnieli już o mnie? Ach! moje przeczucia nie omyliły mnie i tym razem... Dla czegoż ich nie słuchałem... dla czego?

## XXXIII.

Po chwili, zwalczywszy ogarniającą go trwogę, Edmund Beraud nagle podniósł głowę.

— Ależ ja nie uczyniłem nic złego! zawołał; czegoż więc mam się obawiać? Przypuściwszy nawet ciężącą nademną fatalność, nie może ona zmienić niewinnego w przestępcę. Jakabądźkolwiek byłaby zbrodnia, o którą ci szaleńcy mnie oskarżają, całe me życie uczciwe za mną przemawia. I zwracając się do komisarza: Jestem gotów iść z panem, dodał; pragnę jak najrychlej rozproszyc ów błąd fatalny. Jedźmy natychmiast.

— Za chwilę...

— Dla czego to opóźnienie?

— Polecono mi w zajmowanym przez pana apartamencie dopełnić poszukiwania.

— Rewizję, powtórzył miljoner, wybuchając nerwowym śmiechem. Miałebym zostać oskarżonym o kradzież?

— Powtarzam raz trzeci, że nie znam szczegółów oskarżenia. Żołnierz prawa, wykonywam jak żołnierz rozkazy. Polecono mi pana dostawić i zabrać jednocześnie wszystko, co się znajduje w pańskim mieszkaniu.

— Czyń pan więc swoją powinność.

— Cóż jest w tych dwóch skórzanych kuferkach?

— Suknie, bielizna, i różne przedmioty wysokiej wartości. Jeżeli pan chcesz przejrzeć, mogę otworzyć kuferki.

— Niepotrzebna, zabierzemy je do powozu, jaki oczekuje przed domem. A ta walizka, dodał, wskazując na stojącą na stole, przy którym Beraud pisał swe listy, cóż ona zawiera?

— Moje osobiste i wartościowe papiery.

— Zabrać ją jestem zmuszony.

— Oto są klucze, rzekł kupiec djamentów, dając pęk takowych komisarzowi.

— Niepotrzeba, odparł tenże, odsuwając je ręką, otrzymałem rozkaz przyaresztowania pana, ale nie polecono mi obchodzić się z nim, jak ze złoczyńcą. Oddasz je pan urzędnikowi, jeśli się o nie zapyta.

— I który po wybadaniu powie mi: Jesteś pan wolnym.

— Mam nadzieję.

— Jedźmy więc panie, jedźmy co prędzej.

— Niech zniosą na dół te oba kufferki, ja sam zabiorę tę małą pańską walizkę.

Tu zbliżywszy się do kominka nacisnął dzwonek elektryczny. W mgnieniu oka dwaj hotelowi służący przybiegli z wzrokiem pałającym ciekawością.

— Pan komisarz przyzywa nas? zapytali.

— Tak. Weźcie każdy po jednym kufferku, znieście je na dół i wstawcie w powóz, oczekujący przed bramą. A teraz proszę, pójdź pan za mną, dodał mężczyzna ów w szarfię, zwracając się ku Edmundowi Beraud.

Kupiec djamentów ze spuszczoną głową, zamglo-nemi nawałem myśli oczyma, stał jak w halucynacji, niewiedząc sam prawie czyli śpi lub czuwa, nie słysząc co się w koło niego dzieje. Komisarz zbliżywszy się, dotknął mu ręką ramienia.

Beraud drgnął nagle, rzuciwszy w około siebie błędnem spojrzeniem, i jak człowiek nagle ze snu zbudzony.

— Co pan chcesz? zapytał.

— Pójdź pan za mną, powtórzył komisarz.

Przytomność wróciła w jednej chwili nieszczęśliwemu. Jakkolwiek rzeczywistość nieprawdopodobną się zdawała, stanęła ona przed nim w całej swej surowości. Beraud wdziawszy kapelusz rzekł drżącym z lekka głosem:

— Jestem gotów.

Służący, wynosząc kufferki, zostawili drzwi otwarte od trzynastego numeru.

Agent komisarza wyszedł najpierwszy, po zanim Beraud, a wreszcie komisarz, zamknąwszy drzwi za sobą. Zeszli wszyscy w głąb korytarza.

Zarządzająca hotelem patrzyła przez okienko, wycięte w ścianie swego biura. Mężczyzna w szarfię zbliżył się do niej mówiąc:

— Zasłużyłaś pani na wynagrodzenie, jakie bezzwłocznie nadesłanem ci zostanie.

Kobieta skłoniła się w milczeniu. Jednocześnie ukazali się w korytarzu dwaj hotelowi służący.

— Bagaże już są umieszczone i przytrokowane, rzekł jeden z nich; szczęściem że na tłumoczkach jest gruba skóra, inaczej deszcz na wskroś by je przemoczył, ponieważ leje potokami.

W rzeczy samej, ulewa była tak gwałtowną, jak gdyby się otwarły wszystkie upusty niebios.

Trzej mężczyźni zbliżyli się do powozu, u którego okna zapuszczone były zasłonami. Agent, otworzywszy drzwiczki, wsiadł pierwszy.

— Racz pan wsiąść, rzekł komisarz do kupca djamentów.

Beraud wsiadł.

— Do prefektury! zawołał komisarz, wsiadając kolejno i zatraskując drzwiczki za sobą.

W powozie wyż wymienieni trzej mężczyźni w ten sposób się umieścili:

Beraud siedział po prawej stronie; komisarz obok niego z lewej; agent zaś, siedząc na przedniej ławeczce wprost kupca djamentów, objął nogami nogi uwięzionego.

Po otrzymanym rozkazie, woźnica zaciął konia i szybko ruszył z miejsca. Powóz toczył się ulicą Joubert, następnie przez Chaussée-d'Antin lecz zamiast skręcić na prawo przez bulwary, któredy wiodła droga do pre-

fektury, zwrócił się na lewo, jadąc ulicą Saint-Lazare, ulicą Lafayett'a i bulwarem Magenta.

Ulewa się wzmagała. Omnibusy przejeżdżały napełnione pasażerami. Przechodnie rzadko widzieć się dawali, osłonięci parasolami.

Beraud zasunięty w kąć powozu, jak masa bezwładna, z głową na piersi spuszczoną, zdawał się nie widzieć, ni słyszeć. Rozmyślał on o swych przeczuciach tajemniczych, które przed wyjazdem z Kalkuty powiadamiały go o katastrofie, pytając sam siebie z przerażeniem, jak się zakończy ta straszna przygoda, w jaką bezwiednie został wplątany.

Komisarz z agentem, spoglądali wzajem po sobie, jakoby porozumiewając się spojrzeniami. Oczy tego człowieka iskrzyły pośród ciemności, a dziwny uśmiech błakający się na ustach agenta unosił jego zwierzchnią wargę, ukazując z pod niej dwa rzędy białych zębów, jak zęby wilka, czyhającego na zdobycz.

Powóz toczył się wciąż szybko pod potokami deszczu.

Beraud podniósł głowę i spojrzął na szyby powozu, chcąc dostrzedz w jakim punkcie miasta znajdowali się obecnie, przez zapuszczone jednak na oknach zasłony nic widzieć niemógł.

— Jak prędko staniemy na miejscu? zapytał.

— Nie zadługo, odrzekł komisarz, bądź pan cierpliwym.

Dziesięć minut tak jeszcze upłynęło. Powóz przebiegł bulwar Magenta i wjechał w opustoszałe ulice bulwaru Woltera.

Były kupiec djamentów zagłębił się powtórnie w

ponure dumanie.

Nagle woźnica uderzył ręką bicia w przednią szybę powozu, a jednocześnie nastąpiło wewnątrz tegoż coś przerażającego.

Na owe hasło, ponieważ było to hasłem wskazującym, iż korzystając z wyjątkowego osamotnienia okolicy, działać należało, agent siedzący na przedniej ławeczce powozu, rzucił się na Edmunda Beraud i trzymaną w ręku chustką fularową zatkał mu usta. Jednocześnie ów mniemany komisarz do spraw sądowych pochwycił ręce milionera, i zanim tenże zdołał poruścić się z miejsca, został skrępowany łańcuchami, tak, iż nie zdołał stawić najmniejszego oporu, ni wołać o ratunek.

Pod fałszywymi postaciami komisarza i policyjnego agenta, odgadli zapewne czytelnicy, iż ukrywał się Trilby z Arnoldem Desvignes.

Powozącym był nie kto inny jak Will Scott.

Pochwycony w ten sposób Beraud, uczuł, iż zmysły mieszać mu się poczynają. Wkrótce jednak odzyskał przytomność.

— Otóż jestem zgubiony! myślał. Te lotry czychały na mój majątek. Podeszli mnie podstępem zbrodniarze, wpadłem w ich sidła, z których nie wydobędę się więcej! O! moje przecucia, moje przecucia, jakże mnie one nie myliły!

Podczas tych myśli przygnębiających wściekłość go ogarniała zarazem. Zrobił wysiłek, chcąc podnieść obie skrępowane ręce do twarzy, i zerwać z ust chustkę. Trilby pochwycił go za ramię dłonią, jakby obręczą



żelazną, zmuszając do pozostania w spokojności. Arnold Desvignes wydobywszy z kieszeni mały sztylet indyjski przywieziony z Kalkuty, zwrócił się ku nieszczęśliwemu wołając:

— Jeden ruch, jedno słowo, a zginiesz! Tu ostrze sztyletu oparł na piersiach Edmunda Beraud.

Oczy uwięzionego ponurym ogniem zabłysły.

Gdyby zbrodniarz mógł być dostrzedz ów straszny wyraz wzroku swej ofiary, zdrząłby niezawodnie pomimo swego bezczelnego zuchwalstwa.

#### XXXIV.

Edmund Beraud nie poruszał się wcale.

— Zabiłby mnie bez wahania, pomyślał. W jaki sposób bronić się przeciw tym ludziom? Jak wymknąć się z rąk tych zbrodniarzów?

Pot lodowaty spływał mu po czole.

Arnold ścisnął mu ręce silnie łańcuchami; ich stalowe drobne ogniwa, zaciśnięte około pięści uwięzionego, raniły mu ciało, wywołując krople krwi na powierzchnię skóry. Oprócz niewysłowionych cierpień moralnych, boleść fizyczna, jakiej doświadczał nieszczęśliwy, przechodziła jego siły. Powieki u oczów mu drgały. Jakiś ciemny obłok, zasiany płomienistymi iskrami wzrok mu zasnuwał. Głowa zachwiała mu się na ramionach, osunął się w tył, i zemdłał.

Desvignes, nie spuszczający z oka najmniejszego jego poruszenia, zauważył tę straszną kryzys.

— Omdlał! wyszepnął; otóż czego mi właśnie potrzeba. I nie zwlekając, wsunął obie ręce w kieszenie

zwierzchniego okrycia Edmunda.

Palce jego napotkały portfel. Tego szukał właśnie. Ów portfel w okamgnieniu z kieszeni zemdlonego przeszedł do jego kieszeni.

Trilby niespostrzegł owych łotrowskich manewrów Arnolda. Zresztą, nie obchodziło go to wiele. Will Scott w milczeniu poganiał konia, i wkrótce przybyli do Vincennes.

Ów zaimprovizowany woźnica znając dobrze okolice Paryża, jechał niezatrzymując się wcale. Przybywszy w miejsce, nazwane La Turnelle, zagłębił się w las, a okrążywszy go, zwrócił się na drogę, wiodącą do Joinville-le-Pont.

Chcąc z Joinville udać się do Saint-Maur-les-Fossés, trzeba przejechać w poprzek relsy drogi żelaznej.

Jedenasta uderzyła na stacyjnym zegarze. Pociąg nadchodził z Paryża. Zamknięto barjerę.

Strażnik otulony w kapotę przed deszczem, postyszawszy turkot najeżdżającego powozu, podszedł wołając: Stój!

Will Scott zatrzymał w biegu spienionego konia, ze skóry którego obłok pary wychodził.

Maszyna pociągu świstała, sunąc w ciemnościach, jak potwór fantastyczny z płomieniejącymi oczyma. Gdy pociąg przemknął, strażnik usunął barjerę. Droga otwartą była teraz.

Will Scott, zaciąwszy silnem uderzeniem konia, wyczerpanego z sił, dyszącego zaledwie, zawrócił na gościniec Joinville, ten, na którym przed kilkoma dniami widzieliśmy Arnolda, dążącego do Parc-Saint-Maur. Ja-

dać tą drogą aż ku kościołowi, skrzył w opustoszałą aleję, wśród pola idącą.

Podkowy znużonego konia ciężko uderzały w błotnisty grunt, przesiąknięty wodą.

Z rzadka stojące tu domy, w znacznej od siebie odległości, wszystkie były zamknięte. Nigdzie światło nawet przez szpary okiennic widzieć się niedawało.

Deszcz lał bezprzestannie, jak gdyby nowym potopem nawiedzić chciał ziemię. Od czasu do czasu zrywał się wichur gwałtowny, szamocząc gałęziami drzew w lewo i prawo.

Przybywszy na odległość kilku metrów od drogi wiodącej do Parc-Saint-Maur, były sekretarz Mortimera, otworzył drzwiczki powozu, a wychyliwszy się na zewnątrz, rzekł do Scotta:

— Zawróć na lewo, i jedź zwolna. Nie chcę, ażeby turkot powozu został dosłyszany przez zamieszkujących w willach sąsiednich. Ujechawszy około dwustu metrów, zatrzymasz się. Wsiądę z powozu i będę szedł naprzód, służąc za przewodnika.

Woźnica, posłuszny otrzymanym poleceniom zwrócił na lewo, zwolnił bieg konia, i przystanął we wskazanej odległości.

Upewniwszy się że Edmund Beraud wciąż pozostawał w omdleniu, Desvignes wysiadł z powozu.

— Jedź! rzekł do Scotta, idąc przed koniem.

Pomimo wolnej jazdy, za kilka minut przybyli do lasku ciągnącego się po nad brzegiem Marny, a przecinającego aleję de l'Echo. Arnold usiłował przebić wzrokiem ciemności, spoglądając na prawo i lewo. Dosię-

gnęli wreszcie skrętu alei.

— To tu... wyszepnął.

Jednocześnie Trilby wychylił się z powozu, mówiąc:

— Powraca do przytomności...

— Tem lepiej, bo właśnie przybyliśmy, rzekł zbrodniarz z cicha. Zejdźcie obadwa.

— A! do kroć tysięcy! zaklął Scott po angielsku, ów przekłęty deszcz leje bez przerwy, mimo grubego mojego płaszcza, przemokłem do kości! Tu zszedł z siedzenia.

Trilby nie wychodził z powozu, zajęty czuwaniem nad więźniem, który rzeczywiście odzyskawszy przytomność, spoglądał w około siebie wystraszonym wzrokiem.

Przez ten czas Desvignes wyjął pęk kluczków z kieszeni, a wybrawszy z nich jeden, otwierał furtkę ogrodową willi, przed tygodniem kupionej. Uczyniwszy to, zbliżył się do powozu, wyjął z poza poduszki siedzenia przyciemnioną latarnię, nabytą w przeddzień w składzie pod Wulkanem, zapaliwszy w niej świecę.

— Zgaś latarnię przy powozie, rzekł do Scotta, zapalisz je, gdy odjeżdżać będziecie.

— Trzeba wysiąść, rzekł Trilby, pochylając się ku Edmundowi Beraud.

Kupiec djamentów zadrżał od stóp do głowy. Czuł zbliżającą się dla siebie fatalną chwilę, nadaremnie szukając sposobów jej uniknięcia. Gdy nie poruszał się z miejsca, Trilby pochwycił go wpół i z zadziwiającą siłą wyniósł z powozu.

Mimo łańcuchów, jakimi miał ręce obezwładnione, Beraud usiłował jednak użyć nóg dla stawienia oporu,

i kopać niemi zaczął mniemanego agenta.

— A! ma potężną siłę ten hultaj, jak widzę, wołał Trilby. Skrepujcie mu nogi, bo mnie zmiążdżył jest gotów!

Will Scott wzięwszy sznur, związał nim kolana Edmunda Beraud. Nieszczęśliwy znalazł się teraz zupełnie oddanym na łaskę i niełaskę zbrodniarzów.

Dwaj irlandczykowie wynieśli go z powozu, a przeszedłszy ogrodową aleję, wnieśli go do otwartego przez Arnolda mieszkania, gdzie złożyli obezwładnioną ofiarę na podłodze.

— Idźcie po kuferki i pakiet, znajdujący się w powozie, zawołał Desvignes.

Scott z Trilbym wyszli natychmiast.

Arnold sam został z Edmundem Beraud, który, leżąc bezwładnie na ziemi, zdawał się być blizkim skonania.

Ów niecny zbrodniarz, postawiwszy latarnię na stole, sięgnął do kieszeni swego okrycia, a dobywszy z niej portfel, ukradziony swojej ofierze otworzył go przy świetle latarni. W jednej z przegródek znajdowały się bilety bankowe. Było ich trzydzieści, każdy po tysiąc franków. Przeliczywszy takowe, pewną liczbę na bok odłożył, resztę umieścił w portfelu, i schował go do kieszeni, ponieważ Scott z Trilbym wracali, niosąc bagaże.

— Cóż teraz robić będziemy? zapytał Scott, wskazując na Edmunda Beraud, którego konwulsyjne drgania rychły koniec życia zwiastowały.

— To mnie tylko obchodzi, rzekł Arnold, wasza czynność skończona. Zabierajcie co się wam należy i odjeżdżajcie.

— A koń i powóz?

— Zabierzcie je dla siebie, i zróbcie z niemi, co się wam podoba. Bądźcie wszelako ostrożni, aby ktoś nie trafił na ślad tego, co się działo tej nocy.

— Nie obawiaj się, rzekł Trilby.

— Zabierajcie pieniądze. Oto przyobiecana wam suma.

— Dwadzieścia tysięcy? Scott szepnął.

— Nie, dwadzieścia dwa tysiące. Zasłużyliście na gratyfikację, i oto ją macie. Jesteścież zadowoleni?

## XXXV.

— Czy jesteśmy zadowoleni? powtórzył Scott, zgarbiając banknoty, to widoczne! Umiesz wspaniale pracę wynagradzać. Kiedyż się zobaczymy?

— To zależy od okoliczności, rzekł Desvignes. Kto wie czy wkrótce znowu nie będę was potrzebował.

— Masz jakie dla nas polecenia na teraz?

— Przedewszystkiem ażebyście nie zmieniali mieszkania bez powiadomienia mnie o tem, i pamiętali, w jaki sposób porozumiewać się nam należy.

— Nie zapomnimy, odpowiedzieli razem.

— Odjeżdżajcie więc. Odprowadzę was do furtki, którą następnie zamknę za wami.

Wyszli wszyscy trzej razem; Desvignes odprowadził obu irlandczyków aż do powozu.

Scott, jako woźnica wsiadł na kozioł, po zapaleniu latarni; Trilby umieścił się wewnątrz powozu. Koń znudzony poprzednią szybką jazdą, wyruszył z miejsca, wlokąc się zwolna.

Desvignes zatrzymawszy się przez kilka minut przy furcie, nasłuchiwał turkotu oddalającego się powozu,

poczem zamknął takową na klucz i wrócił do domu, w którym leżał na podłodze bez ruchu Edmund Beraud.

Zamiast jednak pojechać tą drogą, jaką przybyli z Paryża, Scott skręcił w topolową aleję, jadąc nią po nad brzegiem rzeki, a następnie pod mostem drogi żelaznej Champigny. W celu łatwym do zrozumienia, nie chciał powracać tą samą drogą. O trzeciej nad ranem przybyli do wynajętej remizy przy ulicy Filipa-Augusta. Wprowadziwszy do stajni ciężko utrudzonego konia, nasypali mu pełny żłób owsa.

— Jeżeli przeżyje tę noc, rzekł Scott do Trilbego, sprzedamy go jutro za cenę, jaką zań zapłaciliśmy.

— A powóz? zapytał Trilby.

— Cóż, powóz, trzeba nam będzie nieco na nim stracić. W każdym razie zbierzemy za to dość okrągłą sumkę. Po raz pierwszy w życiu udało nam się złowić taką grubą rybę. Karol Gerard, czyli raczej Arnold Desvignes, jak chce, aby go odtąd nazywać, jest dla nas żyłą złotą.

— Jak my zarówno dla niego, odparł Trilby. Przysięgłbym, że dzięki naszej pomocy schwyta on sprawę nielada, góry złota!

— Tem lepiej dla niego. Jesteśmy zapłaceni i dobrze zapłaceni za naszą robotę. Reszta nas nie obchodzi. O! Karol Gerard ma głowę! Nie poprzestanie on na tem, ja ci powiadam, zapotrzebuje nas jeszcze i dzięki to jemu, będziemy mogli żyć z rent naszych, jak obywatele.

— Wrócimy wtedy do Irlandji, nieprawdaż? zawołał radośnie Trilby, u którego miłość rodzinnego kraju głę-

boko była rozwinięta.

— Do Irlandji? odrzekł Scott; nigdy w życiu!

— Dlaczego?

— Dlatego, że ludzie, z podobną do naszej przeszłością, nie mogą być spokojnymi o siebie w swym kraju, żyć tak bez obawy, jak we Francji, gdzie nikt na nich nie zwraca uwagi, aby tylko zachowywali pozory uczciwości i nie nikomu dłużnymi nie byli. Po zaokrągleniu naszego majątku wywędrujemy do Normandji, gdzie rozwinie handel końmi. O! to, co właśnie jest najzyskowniejszym. Jest to mój sen, moje jedyne marzenie!

— Tymczasem udajmy się na spoczynek. Upadam ze znużenia, rzekł Trilby.

— Nie, pierwiej tę budę umyć potrzeba. Nie chcę, ażeby dostrzeżono, żeśmy wyjeżdżali tej nocy.

Ów szczegół mógł w rzeczy samej sprowadzić poważne następstwa. Po umyciu zatem owej, jak ją Scott nazwał, „budy,“ wepchnięto ją do wozowni i obaj położyli się w powozie, śpiąc w nim do świtu.

Powrócmy jednak do willi, położonej w alei de l'Echo.

Po odjeździe współników, Desvignes, jak nadnienieliśmy, wszedł do mieszkania, w którym na podłodze leżał obezwładniony, bez ruchu, kupiec djamentów. Uderzenie krwi do głowy widocznem było na twarzy nieszczęśliwego. Oddychał przerwami, chrapliwie, jawnemi były ostatnie chwile agonji.

Nie chcemy opisywać wstrętnych szczegółów morderstwa, na które wzdryga się ludzka natura, dokona-



nych przez owego potwora na umierającym. Za pomocą sznura przyspieszył on zgon swojej ofierze.

Po spełnieniu zbrodni postanowił ciało nieszczęśliwego wynieść do ogrodu. W tym celu przebrawszy się, wziął zapaloną latarnię i wyszedł.

Deszcz ustał zupełnie. Wicher dał tylko gwałtownie, kręcąc gałęziami drzew, a po powierzchni nieba mknęły czarne, dziwnych kształtów chmury.

Morderca zwrócił się do małego domku wiejskiego, mieszczącego w sobie ogrodnicze narzędzia. Zauważył je tam przy oglądaniu willi. Znalazł w rzeczy samej grabie, motykę, łopatę i rydel, które zabrawszy, udał się z nimi nad głęboką jamę w rodzaju przepaści, znajdującą się w końcu ogrodu.

Ów otwór przedstawiał się jakoby krater jakiej dawnej, opuszczonej kopalni, na wpół zasypanej ziemią. Zbrodniarz zeszedł na dno owej przepaści po wążutkiej ścieżce, ciągnącej się wpośród zarośli. W głębi tej jamy leżały kupy kamieni, jakoby do budowli zebrane, porosłe mchem i wybujałą trawą. Ziemia, rozmoczona deszczem, a ztąd oślizgła, utrudniała zejście, czyniąc je prawie niepodobnem. Morderca spuszczał się zwolna, ponieważ jeden krok nieostrożny groził mu niebezpiecznym upadkiem w głębinę. Stał wreszcie na dnie otworu, pod sklepieniem kopalni.

Piwnica ta mogła zawierać około dziesięciu metrów głębokości, szeroka była na pięć metrów, a na trzy wysoka. Z niewielkim trudem i pracą możnaby ją było zamienić na grootę malowniczą. Bloki skał, ciągnące się przez całą jej długość, tworzyły rodzaj ławek naturalnych.

## XXXVI.

Zbrodniarz, postawiwszy latarnię na jednym z takich kamiennych odłamów, rzucił na ziemię narzędzia i rozglądać się zaczął we wnętrzu jaskini.

— Tu należy mi kopać, wyszepnął, uderzając nogą o ziemię, mniej tu kamieni robota będzie łatwiejszą.

I zrzuciwszy z siebie zwierzchnie ubranie, zatopił w grunt rydel. Trafił jednakże na opór, jakiego nie spodziewał się znaleźć. Być może, iż ów opór pochodził ze zwierzchniego stwardnienia ziemi; przez bezustanne chodzenie po niej robotników, eksploatujących kopalnię, pod tą skorupą grunt może miększym się znajdzie.

Przekonać się o tem należało. I położywszy rydel, ujął motykę, kopiąc nią silnie. Pośród milczenia nocy uderzenia te ponuro się rozlegały, zatrzymał się więc po chwili.

— Zbyt wiele hałasu, rzekł. Jutro w całej okolicy mówić o tem gotowi i szukać przyczyny tych tajemniczych odgłosów.

Wziął znowu rydel, prowadząc dalej pracę przerwana. Kilka kawałów odrzuconej ziemi ułatwiły mu nieco robotę. Pod zwierzchnią powłoką, jak to przewidział, grunt znacznie był lżejszym, dał się z łatwością unosić.

Morderca przeto kopał gorliwie, używając naprzemian to motyki, to rydla, które teraz nie sprawiały już hałasu i odrzucał ziemię na bok jaskini.

Po całogodzinnej pracy wydrążył otwór na dwa

metry głęboki, sześć stóp długi, a dwie stopy szeroki. Był to grób, podobny zupełnie do tych, jakie wykopują na cmentarzach.

Wtedy przystanął, otarł czoło, potem zroszone i usiadł, by spocząć na kamieniu. Nie zważając na zimno i deszcz, jaki zaczynał padać nanowo, wyszedł po chwili z latarnią w rękę, dążąc w stronę mieszkania.

Chodziło o przeniesienie ciała nieszczęsnej ofiary. Uczynił to bez wzdrygnięcia. Przyniósłszy nad wykopany grób zamordowanego, ukrył go w jego głębi, zasypując ziemią. Grudki piasku, pomieszanego z kamieniami, spadały w otchłań, sprawiając łoskot ponury. W godzinę dół został zrównanym w głębi przepaści.

Wdziawszy natenczas ubranie, morderca zebrał ogrodnicze narzędzia i wyszedł na wyższą część ogrodu, by złożyć je we właściwym budynku, poczem wrócił do mieszkania, zamknąwszy wszystkie drzwi na klucz za sobą.

Otóż nareszcie znalazł się sam! Nikogo wokoło niego, nikogo!

— No! teraz nikt mi już w świecie milionów wydrzeć nie zdoła! szepnął ze strasznym uśmiechem. Zpracowałem na nie. Sprawa była djabelnie ciężką. Nie jeden byłby cofnął się przed nią! Tak, nie jeden może, lecz nie ja! Po pracy zdobył! Lecz gdzie jest, u czarta, ów czek przeklęty? A, będzie on zapewne w portfelu nieboszczyka Beraud.

I postawiwszy na stole latarnię, zbliżył się do krzesła, na którym pozostawił swe zwierzchnie okrycie, sięgnął do kieszeni takowego, a wydobywszy portfel,

usiadł z nim przy stole pod latarnią.

— Jeden podłużny skrawek papieru, mówił z uśmiechem dzikiej radości, kładąc drżącą dłoń na pugilaresie; skrawek papieru, na nim data, cyfra i podpis. I to przedstawia pięćdziesiąt jeden miljonów! A te pięćdziesiąt jeden miljonów są tu! Są one moją własnością, moją wyłącznie, ponieważ jutro, zaopatrzone legitymacyjnemi papierami Edmunda Beraud, o jakie nawet nikt mnie pytać nie będzie, pójdę do banku wymienić czek na pieniądze. Wszakże ja nie śnię, nie! ja nie marzę! Jam obudzony, jam trzeźwy!

I gorączkowo otworzył portfel, zawierający banknoty i papiery. Nie zajmując się papierami, których znał ilość, zaczął przeszukiwać kieszonki portfela. W jednej z nich odnalazł piętnaście listów zapieczętowanych, które, jak wiemy, kupiec djamentów pisał w Hotelu Indyjskim na chwilę przed swem uwięzieniem.

— Co znaczy ta liczna korespondencja? zapytywał zbrodniarz sam siebie, rzucając na stół listy. Zobaczymy to później, obecnie czeku szukajmy.

Pierwsza kieszonka była pustą zupełnie. W drugiej, znalazłszy paczkę papierów, rozwinął z nich jeden. Był to dowód osobisty, rodzaj paszportu, wydanego przez władze Kalkuty, z podpisem francuskiego konsula, który stwierdzał tożsamość osoby Edmunda Beraud.

Ów papier, na którym wypisanemi były lata wieku kupca djamentów, nie mógł nikomu być pożytecznym. Wsunął go więc Desvignes napowrót do portfela, a inny arkusz, pokryty cyframi, na którym poznał rachunek, spisany własną swą ręką w domu bankierskim

Mortimera, przed przybyciem tamże Edmunda Beraud. Pod owym rachunkiem kapitału był umieszczony podpis bankiera.

— Trzeba to schować, wyszepnął nędznik. Lecz czek, ten czek, gdzie on jest, u czarta?

Pochwyciwszy ostatnią paczkę papierów, rozwinął ją drżącymi rękoma tak niecierpliwie, iż omal jej nie rozdarł.

Zaledwie jednak rzucił okiem na napis, wryty na arkuszu i na pierwsze linie pisma, zbladł nagle, jego oblicze przybrało wyraz obłąkania, pot kroplami wystąpił mu na czoło.

— Do kroć tysięcy piorunów! zawołał, uderzając w stół pięścią tak gwałtownie, że aż podskoczyła laternia. Ach! do miliona czartów... daremnie więc pracowałem! Ten oszust okradł mnie, jak złodziej! Nie poszedł on do Francuskiego Banku, lecz po przyjeździe udał się wprost do Rotszylda, gdzie w depozyt złożył swój czek, nie chcąc sam trudzić się jego inkasowaniem. Oto pokwitowanie z odbioru, napisane ręką samego barona Rotszylda. Wszystko stracone!

I przez chwilę, uderzony tym nagłym ciosem zawodu, siedział osłupiały, bez oddechu prawie, z oczyma utkwionemi w fatalny papier, który trzymał w ręku, nie widząc go prawie.

Każdego innego ze słabszym organizmem człowieka, mózgowa apopleksja zabiłaby mogła w oka mgnieniu; silna jednakże budowa ciała zbrodniarza i jego młodość odporne przeciwdziałały. Cyrkulacja krwi, na

mózg biegnącej, uspokajała się zwolna, regularniejszą się stawała, i w krótkim czasie były sekretarz banku Mortimera zdołał zapanować nad swem wzruszeniem. Objął myślą szybko wszystko, co zaszło.

— Rozumiem teraz, rzekł. Beraud przybył na stację Lyońskiej drogi żelaznej w Paryżu o dziesiątej minut dwanaście. Jadąc, rozmyślił się, iż zapóźno mu będzie udać się do banku dla otworzenia rachunku i poszedł do Rotszylda, do najpotężniejszego ze wszystkich bankierów świata!... Ach! gdybym był wiedział! W moich rękach owo pokwitowanie na odbiór czeku jest teraz szpargałem bez wartości. U Rotszylda widziano Edmunda Beraud. On tam kładł swój podpis, indosując czek. Pójść tam dla dowiedzenia się, czyli rachunek został otwartym, byłoby to tyle, co samemu zgubić się dobrowolnie, oskarżyć się o morderstwo... o zbrodnię... I chwyciwszy się za głowę, powtarzał: Ach! gdybym był wiedział, gdybym był wiedział!

Palce zbrodniarza drżały, gdy miał niemi papier niszczący wszystkie jego nadzieje. Twarz jego podobną była do maski zmarłego człowieka. Oczy mu nagle zapadły. Konwulsyjne drganie poruszało zbielełymi ustami. Był bliskim omdlenia.

Tak więc ten nędznik, ów zbrodniarz, morderca, który nie uczuwał ani litości, ni trwogi, ani wyrzutów sumienia, zabijając niewinnego człowieka, mdlał, jak kobieta na myśl, iż ów olbrzymi majątek kupca dżamentów z rąk mu się wymykał; że gmach, tak miasternie i umiejętnie przez niego zbudowany, który miał go zrobić milionerem, dostarczyć środków użycia, wszyst-

kich rokoszy świata, runął, zburzony surową dłonią  
przeznaczenia, że wszystko to, o czem marzył, co było  
jedynym celem jego życia i co go doń wiązało, roz-  
płynęło się jak mgła w powietrzu, prysło jak bańka  
mydlana...

Koniec tomu pierwszego.

Antyk, DK  
Krajkow ST, 2. 10. 75,  
7,50 w.